

NA OKOŁO ŚWIATA

N 20

zł. 2.50



Kolekcja
Emila Kornasia

GEBETHNER i WOLFF WARSZAWA

NAJSTARSZE POLSKIE PISMO ILUSTROWANE

TYGODNIK ILLUSTROWANY

POD REDAKCJĄ ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO

Przynosi w każdym numerze około 50-ciu ilustracji aktualnych, artystycznych i reprodukcji dzieł sztuki, około 3,000 wierszy artykułów aktualnych, literackich, politycznych, społecznych i artystycznych, szereg najwybitniejszych utworów beletrystycznych znakomitych autorów polskich, jak również systematyczny przegląd najważniejszych objawów życia kulturalnego Polski i całego świata.

JAKO DODATEK BEZPŁATNY

„TYGODNIK ILLUSTROWANY“

DOŁĄCZA

PISMA BOLESŁAWA PRUSA

MIESIĘCZNIK ILLUSTROWANY

NAOKOŁO ŚWIATA

POD REDAKCJĄ F. GOETLA

Wreszcie wysyła i nadal wysyłać będzie prenumeratorom swoim z każdym numerem pisma

PRZEGLĄD SPORTOWY

Uznając nadto, że każdy czytelnik powinien być dokładnie obznajmiony z ruchem wydawniczym polskim i obcym „TYGODNIK ILLUSTROWANY“ wyjednał dla swoich prenumeratorów 25% zniżkę w prenumeracie dwutygodnika

PRZEGLĄD BIBLIOGRAFICZNY

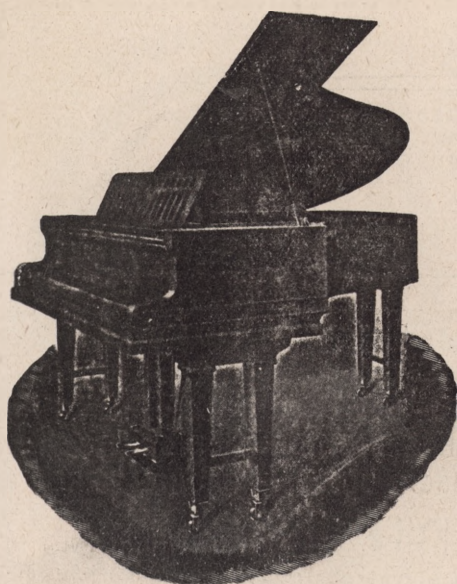
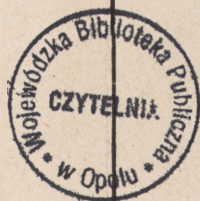
Łączna prenumerata „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“ wraz z Pismami Bolesława Prusa, miesięcznikiem Naokoło Świata i tygodnikiem Przegląd Sportowy wynosi w Warszawie: **kwartalnie 20 zł.**, z przesyłką 21 zł. 50 gr. **miesięcznie 7 zł.**, z przesyłką 7 zł. 50 gr. Prenumeratę przyjmują: administracja „Tygodnika Ilustrowanego“ Warszawa, ul. Zgoda 12, jak również wszystkie księgarnie w Warszawie i na prowincji, oraz kioski Towarzystwa Księgarni Kolejowych „Ruch“.



Wykwintne Czekoladki



Fuchs
Warszawa



FORTEPIANY I PIANINA

WIELKOPOLSKIEJ FABRYKI
FORTEPIANÓW I PIANIN

ANTONI DRYGAS

DOZNAŁY

UZNANIA WIRTUOZÓW
ŚWIATOWEJ SŁAWY

SKŁADY FABRYCZNE
W POZNANIU

ODDZIAŁ W WARSZAWIE
ŚWIĘTOKRZYSKA 27

ROK ZAŁOŻENIA FIRMY 1898

FARBY

NAIWIĘKSZA W POLSCE ZAT. W R. 1880 FABRYKA FARB I LAKIERÓW
W. KARPINSKI & W. LEPPERT.

LAKIERY

WARSZAWA - JEROZOLIMSKA № 30
OFERTY NA ŻĄDANIE.

POKOSTY



Płaszcz futrzany
z pracowni firmy
BOGUSŁAW HERSE



TRIOLAN

MYDŁO PRZETŁUSZCZONE HYGIENICZNE JE-
DYNE RZECZYWIŚCIE UDELIKATNIAJĄCE CERĘ

Tow. Akc. FRYDERYK PULS w WARSZAWIE

DOSTAĆ MOŻNA WSZĘDZIE.

W. CHOJECKI

MARSZAŁKOWSKA 122

DYWANY KRAJOWE I ZAGRANICZNE
WSZYSTKICH WYMIARÓW PLEDY,
CHUSTKI, SERWETY, KOLDRY,

MATERJE

MEBLOWE

NARZUTY

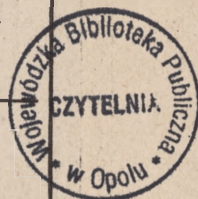
NA KOZETKI NAJPIĘKNIEJSZYCH
BARW I DESENI

FIRANKI
PORTJERY, CHODNIKI

TOWARZYSTWO „OLEUM”

WARSZAWA, MAZOWIECKA 7 — LWÓW, BATOREGO 26

POLECA JEDYNE W SWOIM RODZAJU



Stacje benzynowe

Żądac w s z c d z i e



CAROIL olej samochodowy
typu amerykańskiego, da-
jący gwarancję racjonalne-
go zużycia motoru.

CZYSTOL olej pyłochłón-
ny, chroniący od kurzu.

CARFAT smar samochodowy.

AGROL olej do maszyn
i narzędzi rolniczych.

W BLASZANKACH: 2-ii, 5-cio,
10-cio i 20-to LITROWYCH

80 oddziałów prowincjonalnych w większych miastach
Rzeczypospolitej.

Nr 368



FABRYKA
TRYKOTAŻY

*Jan
Matuszewski*

40 NOWY ŚWIAT 40

33 CHMIELNA 33

154 MARZAŁKOWSKA 154

Ł

Dr. Gerhardt

82831



Św. Mikołaj woli dziś współczesne środki lekomocji od dawnych skrzydeł...

Z DZIEDZINY KOSMETYKI:

Zima zbliża się szybkimi krokami, a za nią niepogody, szarugi i deszcze. Fatalna pogoda ujemnie oddziaływa na cerę. Aby uchronić twarz swoją od szkodliwego działania wiatrów, deszczu i niepogody, każda z pań wychodząc na powietrze, powinna lekko natrzeć twarz *Goldcremem płynnym Abaridowym*, który nie jest tłustym, doskonale wciera się do sucha i jest wprost niezastąpionym pod puder. Po natarciu *płynnym Abaridowym goldcremem* nie jest konieczne pudrowanie, dobrze jest jednak cokolwiek twarz przypudrować *pudrem Abaridowym*, który jest zupełnie nieszkodliwym, gdyż nie zawiera części mineralnych, tylko roślinne, a między innymi sproszkowane cebulki lilji białej (lilja Candida).

M-mo ERÇÈDES

W Y D A W N I C T W O
KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA

ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK
NAOKOŁO ŚWIATA

POD NACZELNĄ REDAKCJĄ FERDYNANDA GOETLA

Jest piśmem pierwszorzędnie i bogato ilustrowanem, na którego treść składają się opisy podróży, literatura egzotyczna, artykuły popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy, obszerny dział beletrystyczny, przegląd humoru, rozrywki umysłowe i t. d.

MIESIĘCZNY NAKŁAD NAOKOŁO ŚWIATA PRZEWYŻSZA
25,000 EGZEMPLARZY

co umożliwia dostarczanie czytelnikom pierwszorzędnego i ciekawego materiału w wytwornej i pięknej formie.

KAŻDY NUMER NAOKOŁO ŚWIATA ZAWIERA NA 200 PRZESZŁO SZPAL-
TACH OKOŁO 8,500 WIERSZY DRUKU I 100 ILUSTRACYJ

Każdy numer stanowi zamkniętą w sobie całość.

ILUSTRATORAMI „Naokoło Świata” są następujący artyści:

M. BEREZOWSKA, K. GRUS, JAN HOLEWIŃSKI, K. MACKIEWICZ, B. NOWAKOWSKI, PROF. SIESTRZENCEWICZ, F. SIEDLECKI, PROF. WŁAD. SKO-CZYŁAS, K. SOPOČKO, J. TOM, M. WALENTYNOWICZ, J. WOŁYŃSKI I INNI.

STAŁĄ OBSŁUGĘ FOTOGRAFICZNĄ STANOWIĄ:

ST. BRZozowski, CHUSSEAU-FLAVIENS, J. GRAUDENZ, J. MALARSKI,
Z. MARCINKOWSKI i J. RYŚ.

Adres Redakcji i Administracji miesięcznika „NAOKOŁO ŚWIATA”
Warszawa. Zgoda 12. Telefon 122-14. (Telefon ekspedycji 104-32)

FILJE REDAKCJI:

w Paryżu, Gebethner & Wolff 123, Boulevard St. Germain, 123
w Londynie. W. C. I. The Penn Club 9 Tavistock Square

Cena numeru w kolorowej trójbarwnej okładce 2 zł. 50 gr

PRENUMERATA kwartalna (za trzy numery z przes. poczt. w polec. opasce) 6 zł. 50 gr.

Cena okładki płóciennej na tom czterzeszytowy 2 zł. 50 gr.

Redakcja przyjmuje interesantów codziennie (prócz niedziel i świąt) od godziny 1 do 3-iej.



**Kolekcja
Emila Kornasia**



Budowa portu w Gdyni

Port w Gdyni

Napisał
Z. Gliński

PRZYCZYNY POWSTANIA PROJEKTU BUDOWY PORTU.

Konferencja pokojowa w 1918 r., przyznając Polsce prawo samodzielnego istnienia, rozstrzygnęła również kategorycznie sprawę dostępu do morza. Traktat Wersalski, nadając Gdańskowi prawa „wolnego miasta”, postawił Rzeczpospolitą Polską w bardzo ciężkiej sytuacji; z jednej strony otworzył on Polsce przez przyłączenie Pomorza i stworzenie korytarza, wolny dostęp do Bałtyku, z drugiej zaś, oddając jedyny na wybrzeżu port i Ujście Wisły, tej głównej arterji ziem Polskich w ręce „Wolnego Miasta” przez to samo dostępu do morza pozbawił.

W uciążliwej tej sytuacji miało Państwo Polskie dwie przed sobą drogi:

Pierwsza z nich to opanowanie wolnego miasta Gdańska przez wejście w kontakt z żywiołem niemieckim drogą współpracy na polu ekonomicznym i gospodarczym, droga niewątpliwie prowadząca do celu, lecz wobec dotychczasowej polityki senatu gdańskiego przynajmniej na pewien czas zupełnie zamknięta.

Druga droga to budowa własnego portu.

Rząd Polski wybrał tę właśnie drogę i już w roku 1918 powstał projekt budowy portu w Gdyni.

REALIZACJA PROJEKTU.

Realizację projektu rozpoczęto już w r. 1919 od wyboru miejsca na budowę. Najod-



powiedniejszym miejscu dla tego celu okazała się część brzegu między Gdynią a Oxywem zarówno ze względu na dość znaczną głębokość morza, dostępną dla największych okrętów, jak również ze względu na przyległy teren, ułatwiający bagrowanie (wybieganie ziemi) basenu. Właściwy port ma bowiem powstać na torfowiskach między wzgórzami Kępy Oxywskiej i Chyłońskiej. Torf, nadający się na opał, może być wyzyskany dla ogrzewania mieszkań.

Projekt budowy portu ma dwa warianty: Mniejszej i większej Gdyni.

Obecnie aktualny jest pierwszy, który przewiduje budowę avant-portu i jednego większego basenu.

Drugi wariant (większa Gdynia) obejmuje tenże sam projekt plus kilka basenów wewnętrznych. Avant-port znajdować się będzie w morzu; w skład jego wchodzić mają: molo północne i południowe (tamy, odgraniczające avant-port od reszty zatoki) oraz łamacz fal, zamykający wejście do portu. Prócz tego jeszcze jedno molo (peer) równoległe do mola południowego utworzy z wyżej wymienionem mołem basen zewnętrzny w avant-portcie.

Głębokość morza w avant-portcie po wyko-



Karjery żwiru w Oxywiu

naniu robót pogłębiarskich dochodzić będzie do 8 m., głębokość basenu wewnętrznego do 10 m., kanał zaś, prowadzący z avant-portu do basenu wewnętrznego, do 11 m. Basen z południową częścią avant-portu oraz terenem, znajdującym się między nimi a morzem, tworzyć ma port handlowy; północną część avant-portu z przyległym terenem przeznaczono na port wojenny. W tym stanie port obliczony jest na obrót roczny $2\frac{1}{2}$ miliona ton (obróć roczny równa się eksport + import). Gdyby taka pojemność portu okazała

się w przyszłości niedostateczną, można ją stopniowo zwiększać przez bagrowanie sąsiednich basenów, zbliżając się w ten sposób do projektu większej Gdyni, który przewiduje 7—8 milionów ton obrotu rocznego.

Wykończony port będzie mógł pomieścić jednocześnie 40—50 większych okrętów.

ROBOTY WYKONANE PRZEZ RZĄD POLSKI.

Ponieważ przez najbliższe kilka lat port tak duży nie będzie potrzebny, a przytem ciężka sytuacja finansowa skarbu na taką budowę nie pozwala, przystąpiono na razie do wykonania portu zmniejszonego. Od roku 1920 rozpoczęto roboty, które prowadziło z ramienia Rządu początkowo Ministerstwo Spraw Wojskowych, następnie Ministerstwo Przemysłu i Handlu. Przystąpiono do robót w morzu, wszelkiego rodzaju pomiarów, rzucono tor kolejowy od stacji Gdynia nad samo morze celem ułatwienia przywozu drzewa, kamieni i innych materiałów budowlanych. Przy przeprowadzaniu toru musiano pokonać znaczne trudności, ponieważ stacja leży na dość wysokiej terasie, tor zaś musiał być sprowadzony na torfiastą nizinę. Trudności te jednak pokonano. W 1920 r. stacja kolejowa posiadała tylko 2 tory, obecnie posiada ich 6.



Statki marynarki wojennej przy południowym moło

Przez wybudowanie kolei Gdynia — Kokoszyki zimą 1921/22 r. połączono Gdynię bezpośrednio z Kartuzami, a tem samem całe wybrzeże z resztą Polski przez terytorjum Polskie.

Następną pracą było wyznaczenie terenu pod budowę domów robotniczych, urzędniczych i magazynów.

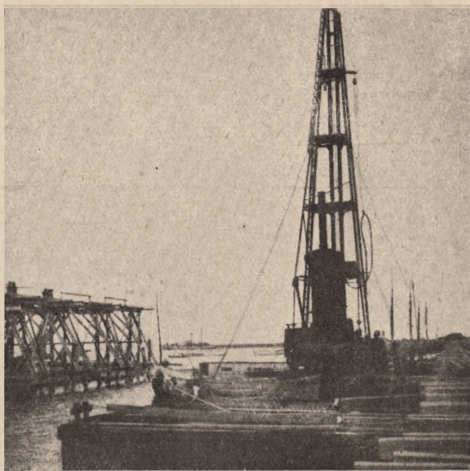
Wreszcie roboty ruszyły w głąb morza.

DARŻŁUGA.

Na terenie portu wybudowano dotychczas. wieżę ciśnień, która zaopatruje okręty w słodką wodę, elektrownię, tartak, magazyny oraz baraki dla robotników. W latach 1923/24 zainstalowały się w porcie następujące firmy: Transport (obecnie Rybatt), Pol-Bal, C. Hartwig, Compagnie Générale Transatlantique (francuska linja okrętowa) i Boismine, dostarczająca kopalniaków kopalniom francuskim. W ciągu tychże 4 lat dokonano szeregu pomiarów hydrograficznych (wodnych) oraz niwelacji terenów przyległych, co było konieczne dla obliczenia kosztów robót pogłębiarskich oraz refulowania.

Zakupiono również znaczne ilości drzewa, kamieni, żelaza, cementu i innych materiałów budowlanych.

Prócz bocznic kolei szerokotorowych założono i zaopatrzone w tabor sieć wąskotorowej kolejki portowej. Przy początku moła południowego stanęła stacja emigracyjna, gdzie



*Kafar, parowy zmontowany na pontonie
(do wbijania pali)*

dokonywają się rewizje celne, paszportowe i inne. Na końcu moła zrobiono przystań długości 150 m, szerokości 11 m.

Z ROBÓT MORSKICH.

Co się tyczy robót w morzu przez te 4 lata, wybudowano moło południowe o długości 550 m i łamacz fal, idący pod kątem prostym od końca moła o długości 170 m.

Moło prowizoryczne, które służyło do mocowania barek i kafarów, nie posiadające znaczenia dla przyszłego portu, obecnie się zasypuje.



Elektrownia portowa



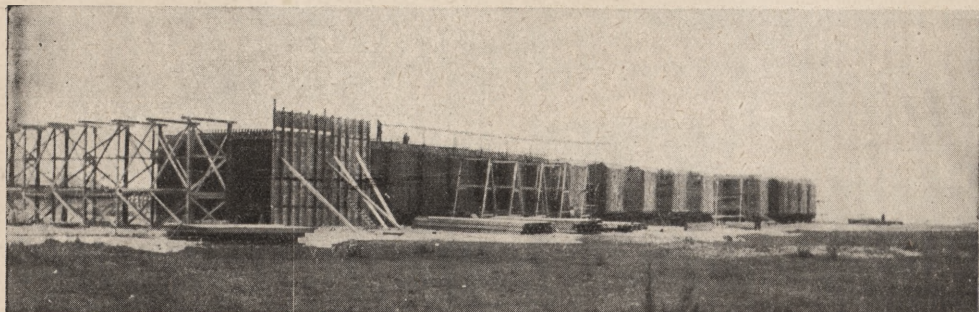
Roboty przy kesonach

Tak mniej więcej przedstawiają się roboty dokonane bezpośrednio przez Rząd Polski.

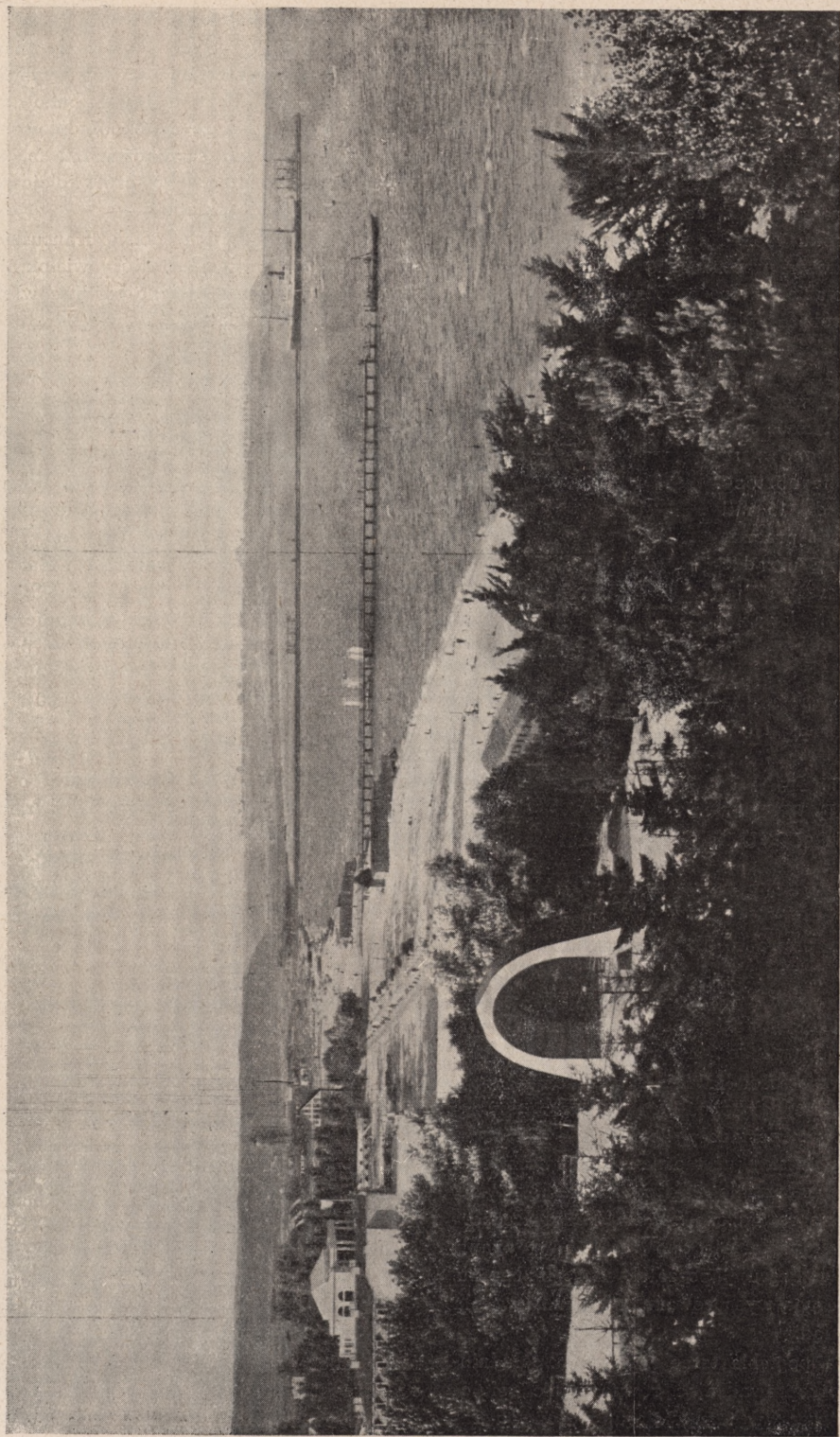
KONSORCJUM.

Podwaliny te jednak w stosunku do całości robót, jakie miały być w przyszłości wykonane, stanowiły ich znikomą część. Inflacja i brak kredytów przerywały co chwila prowadzone roboty. We wrześniu np. 1923 r. na budowę udzielono 5.400 milionów, co od razu pochłonęły pensje inżynierów i płace

robotników, musiano nawet zwolnić 100 robotników, w kamieniołomach zaś zawieszono wszystkie roboty. Rząd zdawał sobie sprawę, że w ten sposób budowa będzie się przewlekała w nieskończoność i w roku 1924 zawarł umowę z konsorcjum polsko-francuskim (przedsiębiorstwem prywatnym), które podjęło się na kredyt dalszej budowy portu gdańskiego w ciągu najbliższych lat. Na mocy powyższej umowy Konsorcjum obowiązało się w przeciągu lat sześciu wybudować port według projektu „Gdynia mniejsza” t. zn. avant-port z jednym dużym basenem. Na po-



Kesony żel-betonow. Basen wewnętrzny



Widok z Kamiennej Góry na budujący się port

czątku roku bieżącego plan robót przyspieszono i termin wykonania budowy skrócono o rok, wobec czego 31 grudnia 1929 roku port ma być wykończony i oddany do użytku.

Jak już wyżej wspomniano, konsorcjum francusko-polskie obowiązało się na kredyt budować port. Pierwszą ratę spłaty wyznaczono na rok 1927, ostateczna spłata nastąpi około roku 1934. Na wykonanie projektowanej budowy przeznaczono 50 milionów złotych polskich, z czego 35 milionów na wykonanie robót hydrotechnicznych, a więc pogłębienie dna, wybagrowanie basenu, refulowanie terenu, budowę moli i falochronów, roboty żelazobetonowe i t. d., 15 milionów zaś przeznaczono na urządzenia portowe jak hangary, krany, windy do wyładowywania okrętów, elektryfikacja, składy kolejowe i t. p.

ROBOTY WYKONANE PRZEZ KONSORCJUM.

W ciągu 8 miesięcy, podczas których budowę prowadzi Konsorcjum, wybudowane zostało przez nie molo północne, idące od przylądka Oxywja, w kierunku południowo-wschodnim. Molo to oraz obecną część południowego wybudowano z drzewa.

W przyszłości łamacz fal oraz części mola na większej głębokości jak i basen wewnętrzny będą posiadały konstrukcję żelazobetonową. Dzisiaj już można oglądać przygotowane olbrzymie żelazobetonowe skrzynie, 2 dragi sprowadzone z Danii przez Konsorcjum jak pogłębiają dno morskie w avantporcie i bagrują początek dużego basenu. Jedną dragą wybagrowano już kanał i weszła ona w ład.

Druga pogłębia teren przy molo południowym, przeprowadzając równocześnie refulowanie terenu w tem miejscu. wykonywa za-

tem 2 roboty. Refulowanie bowiem polega na tem, że wydobyty przez pogłębianie piasek używa się do wyrównania terenu przybrzeżnego t. zn. zastępuje materiał budowlany. Obecnie wąskie jeszcze molo południowe będzie poszerzone do szerokości 150 m, aby umożliwić ułożenie na niem torów kolejowych oraz wybudowanie składów.

Na czele konsorcjum polsko-francuskiego stoi Francuz inż. Le Gof, który wielokrotnie prowadził roboty budowlano-portowe w różnych częściach świata.

Roboty wykonywają obecnie firmy: duńska Hoi-gaard et Schulz oraz holenderska Ackermann, finansuje roboty wyżej wymienione Konsorcjum Batignoles Creuzot-Schneider. Obecnie przy robotach w porcie zatrudnionych jest przeszło 500 robotników.

Opracowanie projektów oraz kontrolę z ramienia Rządu prowadzi Polak, inż. Benda, który od 5 lat stoi na czele



„Kaszub“ dopływa do portu

budowy portu.

BOJKOT PRZEDSIĘBIORSTW NIEMIECKICH.

Należy podnieść fakt, że przy budowie zaangażowane są firmy i kapitały przeważnie francusko-duńskie i polskie, co stanowi po-niekąd najlepszą odpowiedź na sceptycyzm Niemców, z jakim odnosili się do budowy portu w Gdyni. Tymczasem port w Gdyni rozbudowuje się powoli, ale stale bez najmniejszego współudziału z ich strony. Już w roku 1923 wyładowanie w Gdyni wielkiego okrętu oceanicznego Kentucky (tonaż 7.000 ton), należącego do francuskiego Towarzystwa żegluga morskiej, jak również załadowanie jego sprawiło przykrą niespodziankę



Poświęcenie „Ursusa”

ekonomistom i przedsiębiorcom gdańskim. Nastąpiło to wskutek strejku robotników portowych w Gdańsku. Pomimo, że budowa portu znajdowała się wówczas dopiero w pierwszym stadium rozwoju, zarówno wyładowanie jak i załadowanie nie odbyło się zupełnie sprawnie.

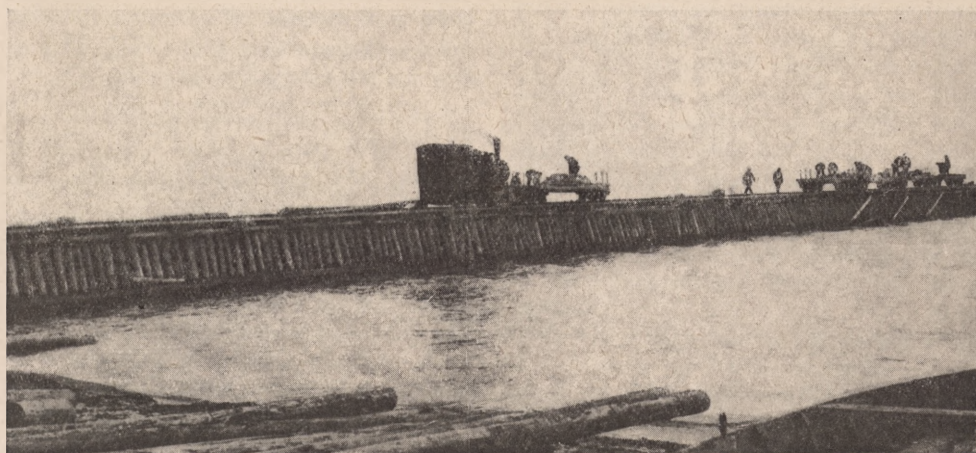
Właściwą eksploatację portu rozpoczęto jednak w kwietniu 1924 roku. Od kwietnia do 31 grudnia 1924 r. wyładowano i załado-

wano 29 większych okrętów o tonażu 66,301 ton rejestrowanych brutto.

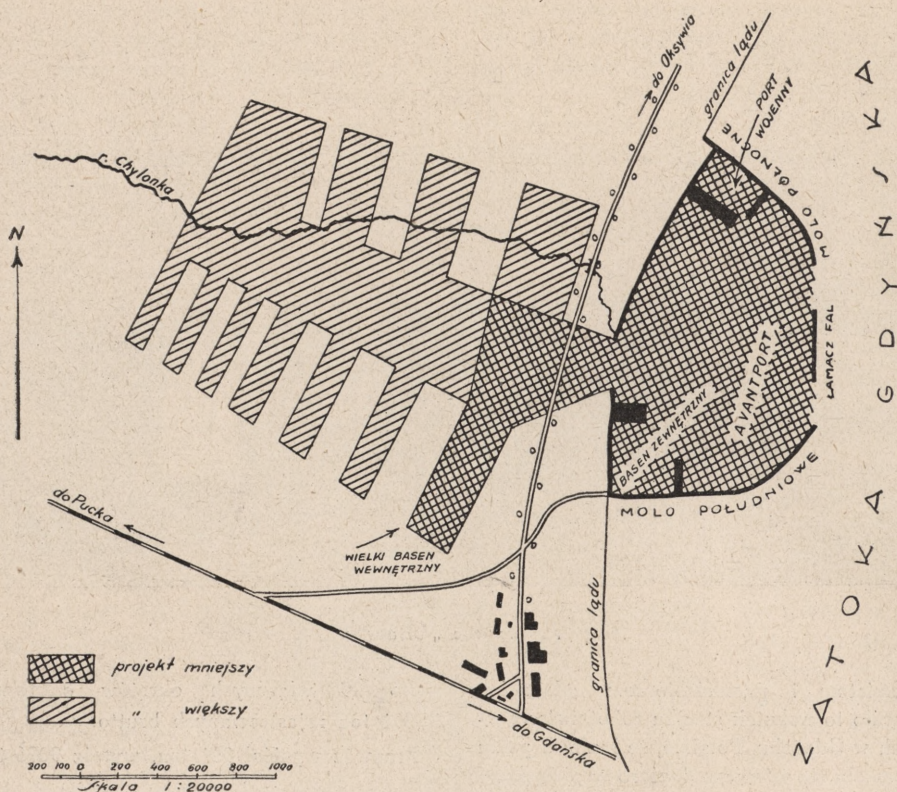
Przywóz wyniósł 981 ton, wywóz 9086 ton.

Ruch pasażerski notuje: Przyjazd 1190 osób, wyjazd 6.397.

Rok 1925 sprowadził do Gdyni do 1 lipca 30 okrętów, które importowały 1197 ton, eksportowały zaś 8254 ton towaru. Osób w tym okresie przybyło 425, opuściło port gdyń-



Molo północne



Plan portu w Gdyni

ski 8.982; tonażu brutto rejestrowanych ton 71.804, netto 43.821.

Widzimy, że w stosunku do roku przeszłego w roku bieżącym, obrót towarowy i pasażerski w porcie wzmożł się prawie o 100%.

Zarząd portu prowadzi kapitanat, na czele którego stoi kapitan Władysław Zaleski, pomimo stosunkowo młodego wieku, doświadczony marynarz, do fanatyzmu zamięłowany w swoim zawodzie. Świą niezłomową pracą, zapalem i wiarą w świetną przyszłość portu gdyńskiego nie tylko wpływa na swych kole-

gów i podwładnych, lecz i niejeden szczer ładowy, jak ja np., po rozmowie z kapitanem, powrócił zakochany w falach morskich, z gorącym przekonaniem w sercu o potrzebie rozbudowy sił morskich dla Państwa Polskiego.

Należy się spodziewać, że w roku 1930 będzie już Polska niezależna od Gdańska.

Z ufnością zatem możemy spoglądać w przyszłość, gdyż port w Gdyni uniezależni nas w takim stopniu, w jakim będzie tego wymagał nasz przemysł i handel.



Jedna z komnat w Palazzo Davanzati

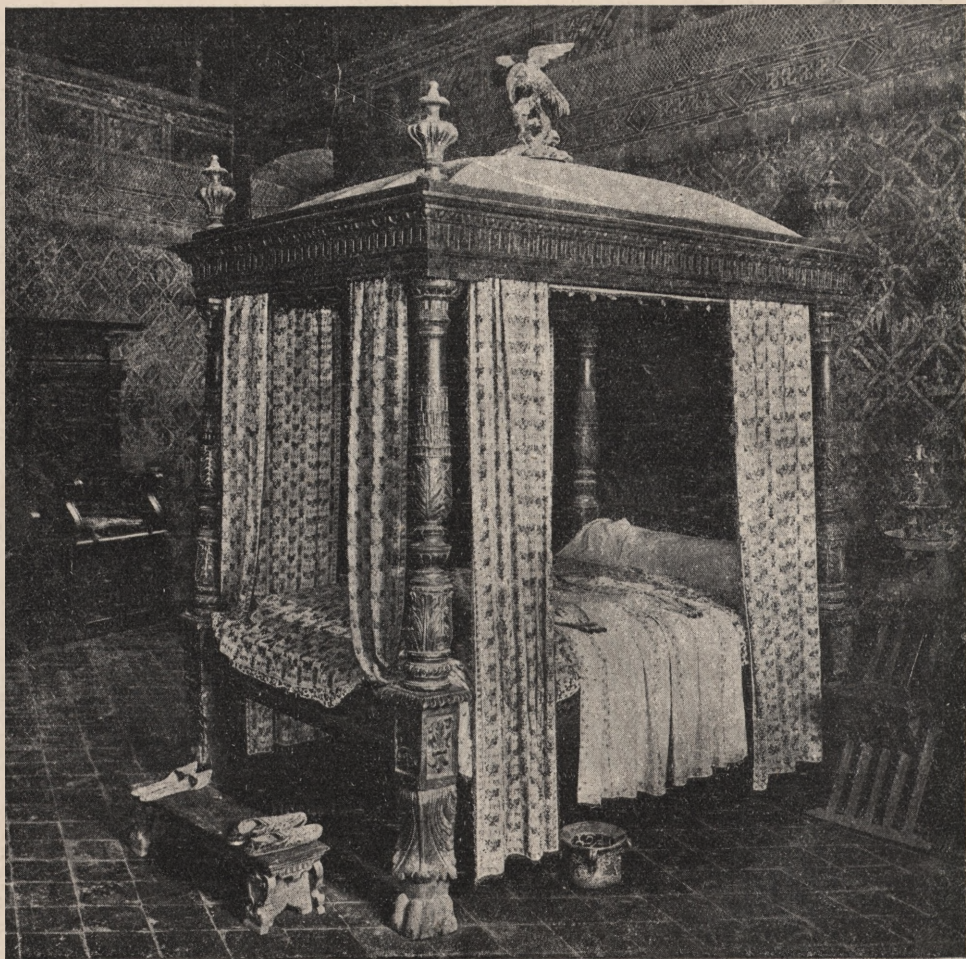
Palazzo Davanzati

Epoka walki miast włoskich o palmę pierwszeństwa, kiedy cały kraj wrzał głucho, gotów to tu, to tam wybuchnąć, wydała wiele monumentalnych pomników architektury. Każdy zamek musiał być wówczas przygotowany na odparcie sąsiadów — każdy magnat z bronią pilnować musiał swej fortuny przed wrogiem stronnictwem politycznym. Z epoki tej pochodzi jeden z piękniejszych pomników architektury florenckiej — Palazzo Davanzati. Wybudowany w r. 1300, był pierwotnie własnością rodu Davizzich. W XIV wieku, gdy fortuna ich zmalęła, przeszedł w ręce rodziny Bertolinich, a w r. 1576 nabył go Bernardo d'Anton Francesco Davanzati.

Pałac ten ma wszystkie znamiona architektury tej epoki. Z potężnych, szarych brył bije żywiołowa potęga głazu, co oparł się

kataklizmom dziejowym i czasowi i przetrwał wieki. Okute grubymi blachami żelaznemi drzwi prowadzą nas wprost do zamku. Brak tu patrycjuszowskiego dziedzica, spotykanego przeważnie w zamkach średniowiecza. Niezmiernie charakterystyczne są okna zakratowane i otwory w murach, przez które rzucano kamieniami w czasie napadu nieprzyjacielskiego. Za temi omszałemi murami broniono się, jak w fortecy.

Wąskie, strome schody, po których z trudem wspinać się trzeba, prowadzą do komnat. W ciszy echem rozlegają się nasze kroki. Zwiedzających tu mało — pałac Davanzati nie należy do najbardziej znanych i popularnych, nawiedzanych tłumnie przez cudzoziemców z całego świata. Tem bardziej



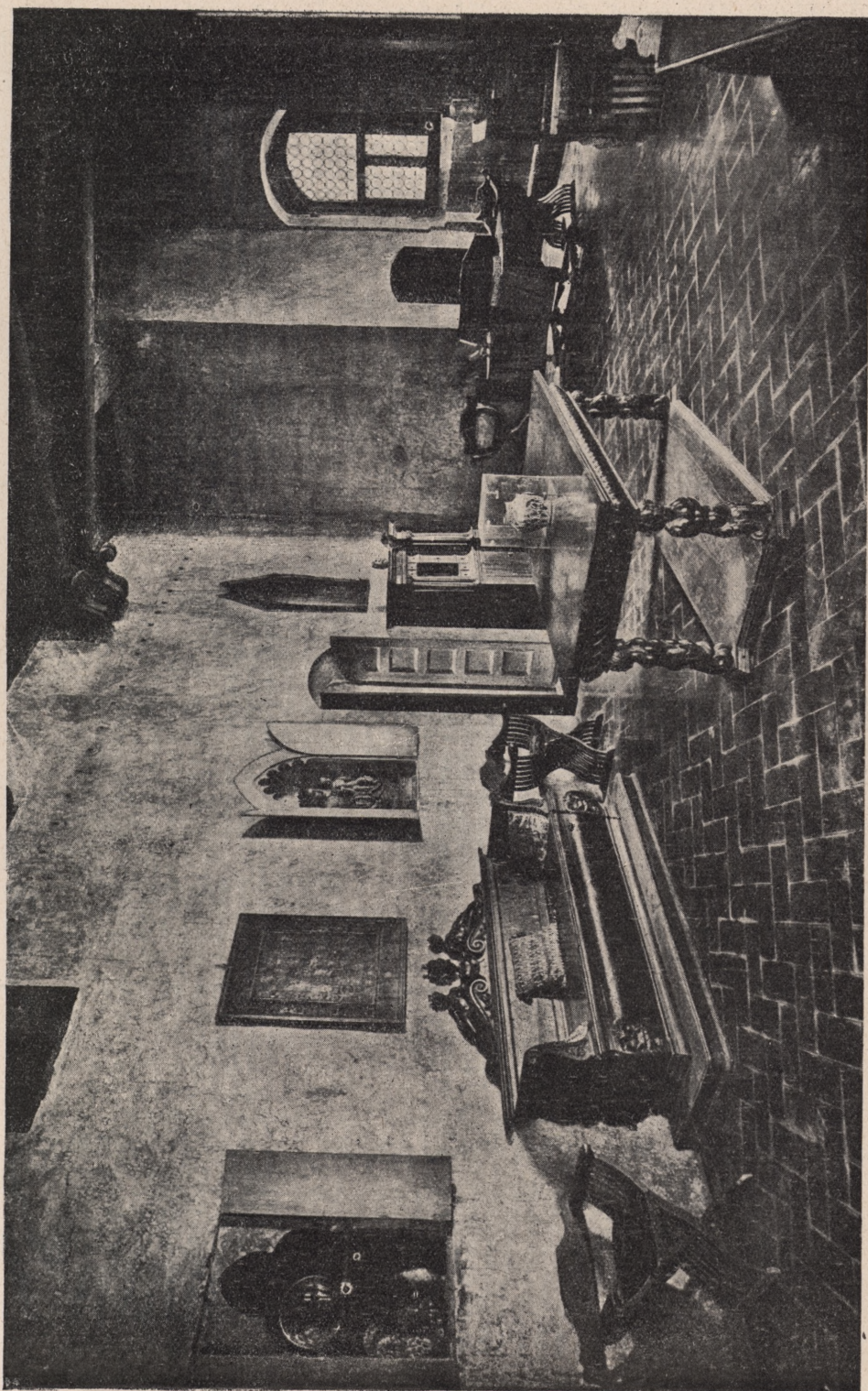
Łoże (wiek XVI)

zatraca się tu poczucie rzeczywistości i przenosi duchem w świat renesansowy.

Przestronne komnaty nie wieją pustką — to nie umarły przybytek sztuki. Robią wrażenie zamieszkałych, choć tylko pustych, że przed chwilą mieszkańcy ich wyszli do drugiego pokoju, lub na spacer. Duże, niskie łóże, ozdobione baldachimem, pochodzące z w. XVI, wygląda tak, jakby czekało na spoczynek właściciela. Przed łóżkiem na stoleczku przygotowane nocne pantofle. W pięknej, płaskorzeźbami ozdobionej kołysce spoczywa lalka, wielkości dziecka, jak niegdyś spoczywali młodociani książęta włoscy. Ile myśli, ambicji i trosk matczynych snuło się ongiś wokół tej kołyski! Mniejsze łóżko,

na krótkich toczonych nogach, pochodzi z początku XVI wieku. Grało ono wówczas rolę szezlonga. Charakterystyczne krzesła tokańskie w kształcie litery „X” z Quattrocento, oraz dobrze związane w linjach ośmiokątne stoły wykazują prostotę form i logikę kształtu. Piękno tych sprzętów tkwi w ich proporcjach i sylwetkach.

Wogóle jednak komnaty nie odznaczają się bogactwem sprzętów. Zamożność domu w tych czasach wojen i napadów, nie objawiała się w sprzętach, ale raczej w kosztownych szatach i klejnotach, które w razie niebezpieczeństwa można było zabrać z sobą. Dlatego też ważną rolę w umeblowaniu średniowiecznym grała skrzynia, będąc nie tylko



Palazzo Davanzati. Wnętrze

schowankiem, lecz i sprzętem, służącym do siedzenia. Stąd też powstał specyficzny mebel florencki, będący połączeniem ławy i skrzyni — *cassapanca*. Zwykle starannie i ozdobnie wykonana, upiększona płaskorzeźbami i ornamentami, była *cassapanca* najbardziej cenionym i potrzebnym sprzętem w każdym domu florenckim. W jednej z komnat pałacu Davanzati odnajdujemy typowy okaz takiej *cassapanki*.

Odczuwa się silną tradycję, jaką związane są sprzęty z otoczeniem. Tworzą one jedną całość, organicznie zespoloną. Wytworzyły swoistą atmosferę przeszłości i nie robią wrażenia mebli, ustawionych w muzeum na pokaz. W całości panuje zupełna harmonia i brakuje tylko postaci, któreby zaludniły puste zamczysko i napełniły je gwarem i życiem. Niemal wyczuwa się obecność cieni

dostojnych patrycjuszów, którzy dumę uważali za najwyższą cnotę, a pokorę mieli w pogardzie. Oto sala obrad. Zasiadali w niej kiedyś możni panowie, planując wielkie sprawy lub radząc, jak naród pobudzić do zemsty. Tajemne przeżycia wychylają się tu z mrocznych kątów — tu knuto mściwe zbrodnie, przysięgano wendetę. Podniecona wyobraźnia stwarza wizję przeszłości, której echa blakają się po kątach pałacu. Panuje tu wszechwładnie pyszny, bogaty i możny — renesans włoski.

Mądra, celowa i świadoma odbudowa zamku — to dzieło profesora Elia Volpi, obecnego właściciela pałacu. Czyni to z pietyzmem i głęboką znajomością rzeczy, składając w ten sposób akt hołdu człowiekowi współczesnego — tradycji wieków.

E. S



DRUGI WIELKI KONKURS REDAKCJI NAOKOŁO ŚWIATA

REDAKCJA NAOKOŁO ŚWIATA

ogłasza

WIELKI KONKURS

na artykuł popularyzacyjny z dziedziny nauk przyrodniczych
i technicznych

z następującymi wielkimi nagrodami:

pierwsza — 2000 złotych

druga — 1000 „

trzecia — 500 „

WARUNKI KONKURSU

1) Artykuł poruszać ma w sposób jasny, barwny i ścisły jakiekolwiek zagadnienie z dziedziny nauk przyrodniczych lub technicznych, przyczem prócz tematów teoretycznych omawiane być mogą tematy praktyczne z zakresu wiedzy stosowanej (jak np. rolnictwo, medycyna, wynalazczość, technika przemysłowa i t. p.)

2) Artykuł musi być ilustrowany bądź to rysunkami i wykresami, bądź też fotografiami.

3) Objętość artykułu od 300 do 600 wierszy tekstu (Wiersz około 45 liter). Minimum ilustracji 5. Prace, przenoszące 600 wierszy tekstu, będą z konkursu wyłączone.

4) Ocenie sądu konkursowego podlegać będą zarówno tekst, jak i materiały ilustracyjne.

5) Redakcja Naokoło Świata zastrzega sobie prawo zakupu prac nienagrodzonych, po cenach zwykłych, celem zużytkowania na łamach miesięcznika.

6) Nadsyłanie na konkurs prace muszą być pisane na maszynie. Rękopisy ręczne będą odrzucone.

7) Prace należy opatrzyć dowolnie obranem godłem. Utwory podpisane nazwiskiem autora będą odrzucone.

8) W oddzielnej zaklejonej kopercie należy umieścić: imię, nazwisko, względnie również tytuł naukowy i dokładny adres autora pracy konkursowej. Na kopercie wypisać jedynie godło.

9) Termin nadsyłania prac konkursowych do dnia 15 marca r. 1926.

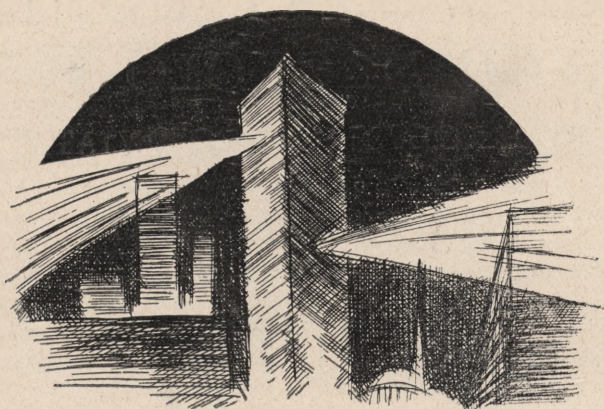
10) ADRES: Warszawa. Redakcja Naokoło Świata, dział: „Konkurs naukowo-popularyzacyjny”. Zgoda 12.

11) REDAKCJA NAOKOŁO ŚWIATA PROSI O ŚCISŁE PRZESTRZEGANIE WSZYSTKICH POWYŻSZYCH WARUNKÓW KONKURSU.

W skład Sądu Konkursowego wejdą przedstawiciele nauki i literatury. Skład osobowy Sądu Konkursowego ogłoszony zostanie dodatkowo.

Wyniki konkursu ogłoszone zostaną w maju r. 1926.

REDAKCJA NAOKOŁO ŚWIATA.



JERZY SOSNOKOWSKI

PIJANA LABINA

Ilustracje własne autora

I.

Czarny, polerowany, wyświechtany milionami stalowych guziczków opon samochodowych asfalt ulicy falował jak burzliwe morze. Śmiesznie wyglądały automobile niknące za wznoszącymi się bałwanami, nurkujące raz poraz w rozkołysanych błyskach latarni i odbić ich w czarnym lustrze.

Belowi przypominało to bardzo „jazdę po falach” w Luneparku, i tak bawiło, że musiał przystawać od czasu do czasu, by dać ujście niepohamowanej, gwałtownej potrzebie wesołości.

Ze środka ulicy wywinęła się w górę spiralna sprężyna, ujmująca w jądro swój uścisk gmach, który biał się w dalekiej perspektywie. W tej chwili zawrotnym pędem wpadły na nią auta i piły się w górę, przychając i sapiąc.

Deszcz pomarańczowych i złotych serpentyń spowinał wszystko błyszczącym gwinem.

Tak, — Bel był pijany, pijany jak bela.

Kapelusz miał na bakier, potraçał przechodniów, irytował się, gdy w błędnych jego oczach wirowały ich sylwetki, grubiejac, to

uwypuklając się dziwnie, niby odbitki we wklęsłych zwierciadłach.

Potraçał ludzi. Ktoś go oburknał niecierpliwie, ktoś uśmiechał się pobłaźliwie, a tłok był za duży, by zawołać policmana i kazać odstawić „urzędnika” gdzieś, gdzieby nie przeszkadzał ruchowi. Zwarta rzeka ludzka płynęła — i wartki prąd unosił ze sobą Bela, niby bezwładną kłodę drzewa zagarniętą podczas powodzi.

Wybory nowego prezydenta, gorące bardziej niż zwykle, wywabiły całą prawie ludność wielomilionowego miasta na ulice — a partyjne roznamienienie upajało ludzi tak samo, jak upiły Bela te niesłychane ilości alkoholu, które dziś wchłonał. Co parę kroków twardymi kantami wyrastała nad poziom głów trybuna, lub srożyła się brutalna karoserja ciężarowego auta, grzmiąc przez olbrzymie rezonatory ognistymi mowami agitatorów.

Spoceni krasomówcy wrzeszczeli w swoje dalekonośne aparaty z opętaną pasją, gestykulując jak semafony lub wiatraki. Ochrypłe ich głosy wielbiły na każdy możliwy spo-

sób wielkość i potęgę kandydatów partii, utrzymujących ich.

Świsłki odezów i proklamacyj wirowały w powietrzu, niby stubarny śnieg.

Skłębiony, pomotany dnia tego, gruby sznur aut sunął ulicami, z trudem przeciskając się przez rozegzaltowane masy ludzkie. Policja zrezygnowała z utrzymania jakiegokolwiek porządku. Przez te dni wyborów miasto było wydane na łup wyborców. A trzeci i ostatni dzień odznaczał się niezwykle rozgórzkowaniem.

Belowi głowa wirowała jak fajerwerk, przedstawiający koło rozsypujące wokół rozpedzone iskry.

To znów widział siebie na przeraźliwie wysokim tronie, z berłem i jabłkiem królewskim w rękę. Obłoki opływały stopy, jak płasające delfiny, gdzieś w dole szarzały miljonowe rzesze, zadzierając ku niemu wielbiące fizjonomie.

Błysk względnej przytomności przerywał

od czasu do czasu pijackie fantasmagorie.

Wówczas Bel sięgał ręką do kieszonki od kamizelki o brzegu wystrzępionym przez metalową dewizkę, wyciągał stalowy zegarek z wytartą kopertą, sprawdzał godzinę i grzebał pracowicie łokciami w tłumie, usiłując się spieszyć.

Bał się spóźnić. Wieczór już zapadł, a urzędowanie jego zaczynało się w momencie, gdy pierwsze latarnie zapalano w mieście.

Tam, na zbiegu 5 i 16 Alei, w centrum stolicy, na narożnym drapaczu nieba całą przestrzeń od czwartego do dwunastego piętra zajmowała, wystając aż na środek szerokiej ulicy, olbrzymia tarcza świetlnej reklamy.

Tam Bel niby zaklęty gnom, uwięziony w

czasnej stalowej kabinie, wybijał na metalowych guzikach reklamy płonące jaskrawym napisem na tarczy.

Zawód to nie był zbyt zaszczytny, jednak sąsiedztwo Bela z zaułka, gdzie mieszkał na jednej z peryferyj, szanowało w nim dziwnego czarodzieja, który „wypisuje na niebie, co chce”. Rzeczywiście, w nocy kontury tarczy gubiły się na ciemnym tle, a kolosalne litery wyskakiwały jak z czełusci, potęgując jeszcze otaczającą czerń.

Było to piękne, fascynujące, — imponowało — ale jako zjawisko. Specjalnie wybi-

tnej pozycji socjalnej nie dawało — i płaca była licha.

Belowi niejednokrotnie cichy bunt darł pierś, gdy pomyślał, że pomaga, pracuje nad tem, by jeszcze większe dochody, — jeszcze większe sumy napędzać do kieszeni grubych fabrykantów, których wyroby reklamował.

Tutaj widzenie: n a l a n a, czerwona twarz

niby dno miedzianego kotła, nad okrągłym brzuchem, — unoszona przez stukonną limuzynę. Na widok aroganckich postaci Bel dyskretnie zgrzytał zębami.

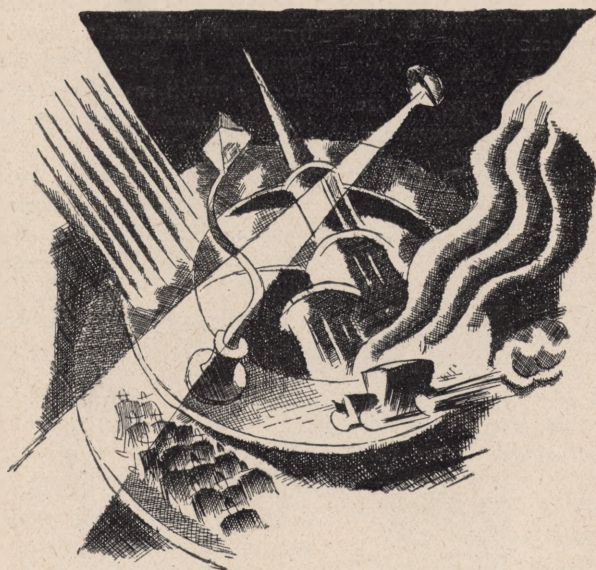
Kimże jest on dla nich? „Człowiekiem” niższej sfery.

Rozwielniozniona religia kapitału nie zniosłaby prawdopodobnie takiego świętokradztwa, by zasiadł z nimi przy jednym stole.

A ileż zawdzięczali mu oni?

Nie wszystko, to prawda, ale dużo.

Czy czyściłby ktokolwiek, powiedzmy, buty pastą „Żaba“, gdyby nie to, że on, Bel, co wieczór wyczarowywał na swojej tarczy potworną zieloną ropuchę w koronie i butach z ostrogami?



...wywinęła się spirala...

Żaba łypała krwawemi ślepiami, nadymała się i z otwartej paszczyki wypromieniały się nagle słowa:

„Lustrzany połysk buta decyduje o wyglądzie gentleman'a. Używajcie tylko pasty „Żaba” z koroną. Cena pudełka... i t. d.

Albo:

„Oregon, płyn do metalu”.

Ha! Co?

Był synem drobnego urzędnika pocztowego. Złe tam było u nich w domu, ale bądź co bądź mógł być chodzić do szkoły, skończyć ją, zostać inżynierem, doktorem, może takim fabrykantem?

Jednem słowem, kimś o „określonej” pozycji towarzyskiej i społecznej.

Ale mu się jakoś uczyć nie chciało.

Wolał dni całe spędzać nad brzegiem rzeki i patrzeć na loty jaskółek. Nazywano go niedołęgą. Był nim.

Zniecierpliwiony ojciec odebrał go ze szkół. Zmarnował się.

Nie mógł powiedzieć nawet, że winien jest sam sobie.

Nie... Posiadał bystrość i spryt niemały. Dużo czytał. Był to raczej dziwny bezwład, który jestestwo jego ujął tępemi pazurami i trzymał mocno jak w klamrach, — zupełna niezdolność do trudu, do wysiłku, świadomego swego celu. Mógł trwać — nie mógł żyć.

Naogół się orjentował. W cukierence, gdzie codziennie przed zmierzchem pozwalał sobie na partyjkę bilardu, uchodził za wyrocznie. Miał, jeżeli się tak o nim wyrazić można, przebliski twórcze.

I z tem wszystkiem nie pozował bynajmniej na zapoznanego genjusza, utyskującego na los i świat. Bogatym, możliwym zazdrościł — dołą swoją znosił nie tyle cierpliwie, ile zawsze z tym, cechującym go, bezwładem.

Och, w Indiach stałby się napewno świętym prorokiem, lub fakirem z paznogciami wyrosłemi do kolan, ze wzrokiem wieszczu utkwionym w nieokreśloną przestrzeń...

Tutaj — nie miał siły uczynić nic, coby życie jego zmieniło, poprawiło, pchnęło na inne tory.

Od czasu do czasu jednak przychodziły nań chwile jakiegoś ocknienia się, spowodowane zwykle nic nieznaczącą błahostką, i wtedy Bel, naogół dość spokojny i zrezygno-

wany, stawał się niezmiernie przedsiębiorczy i zrezygnowany.

Były to zresztą chwile rzadkie, a nazywały się: „zalaniem sobie pały”.

Były przyjemne.

Niemożliwości nie istniały, świat przedstawiał się uprzejmie w barwach jasnych, akwarelowych, jakimi malowana jest ziemia w święta Wielkiej Nocy, — w kształtach tak okrągłych, miłych i kuszących jak biodra pięknej baletnicy.

Bel nie był pijakiem, broń Boże. Ale się miało przecie przyjaciół, więc i okazijkę niejedną. No i owe momenty — — Tak — bywał wówczas bogaty, potężny i otoczony niebywałym blaskiem. Migotliwe, błyskotliwe pomysły i genialne koncepcje rozsadały mózg, a myśli szybowały zwinnie we wszystkich kierunkach, niby owe jaskółki nad brzegiem rzeki.

Ach — nie pamiętał wówczas o tem, że wieczorem, równo w pięciominutowych odstępach, będzie musiał wyświetlać swoją zniechęconą Żabę i „Oregon, płyn do metalu”.

To były momenty prawdziwie królewskie. Więc i dziś Bel miał tego w czubie.

2.

— OBYWATELE, GŁOSUJcie NA AL-WAREZA! TYLKO RZĄDY PIĘTNASTKI MOGĄ WAM ZAPEWNIĆ PEŁNE SWO-BODY OBYWATELSKIE!

Tuby agitatorów grzmiały. Kolorowe skrzydła odezw z cichym szmerem spadały na ramiona, jak rajskie ptaki.

— BOROZ — TO WZÓR CNÓT OBYWATELSKICH. TEN WIELKI MAŻ POŁOŻY TAMĘ BEZCZELNOŚCI BURŻUJÓW!

Znów dalej z piętrowego autobusu:

— POCZUCIE ŚWIĘTOŚCI OJCZYZNY WPAJANO W WAS OD DZIECKA. KOMU DROGĄ JEST PAMIĘĆ RODZICÓW, NIECH ODDA SWÓJ GŁOS NA RODYŁA. ON MIŁOŚĆ DLA WAS WYSSAŁ Z MLEKIEM MATKI!

Rechot śmiechu z tysięcy gardzieli witał to wezwanie.

— RÓWNOWAGA! CENTRUM! BERIL-LO! CENTRUM! RÓWNOWAGA! SKŁADAJCIE GŁOSY NA BERILLA!

Gdzieś wiwatowano zajadle, ale wraz podniósł się wrzask przekleństw i głuchy odgłos bójki. Wołano o ratunek. Ulica się miotła w zbożnych wysiłkach obywatelskich niby w zbiorowych torsjach. Kielbie — wyborców — setkami nawlekano na wymyślne wędki rybaków-agitatorów.

Skłębiony „lud” obficie zlewały jasnią wielkomięskie światła.

Cudem jakimś Bel dobrnął do swojego drapacza.

Z wielkopańskim gestem wsunął szczerzącymi zębami w bezczelnym i nieskrywany śmiechu, windziarzowi koronę do naoliwionej lapy, wysiadł i długim korytarzem, podpierając co krok ściany, potoczył się do swego stalowego gniazda. K a b i n a ze względów publicznego bezpieczeństwa była jak pancernik z grubych płyt i zaopatrzona drzwiami, niby kasa ogniotrwała, szczelnie się zamykającami. Długo manipulował kluczami, nim wreszcie otworzył. Przekręcił kontakt. Potężny reflektor, zwisający nisko ze sklepienia oblał go potokiem białego rażącego światła. W głębi stało pod splotem grubych lin miedzianych, kotłów, zegarów i setki mechanizmów — niby duże pianino naszpikowane sterczącymi prętami o płaskich krążkach zna-

czonych literami. Było tego dużo, bo aż kilkanaście alfabetów. Maszynierza wypisywać mogła całe zdania.

Bel zatoczył się na krzesło. Przewrócił je. Zaklął, podniósł. Usiadł, próbując ostrożnie jego statyczności.

Machinalnie przeglądając zaczął przygotowane na dzisiejszy wieczór do wyświetlenia kartki z napisem.

Zwykły był tak robić co wieczór. — wybierał na pierwszy ogień te, które mu się zdawały najsympatyczniejszymi.

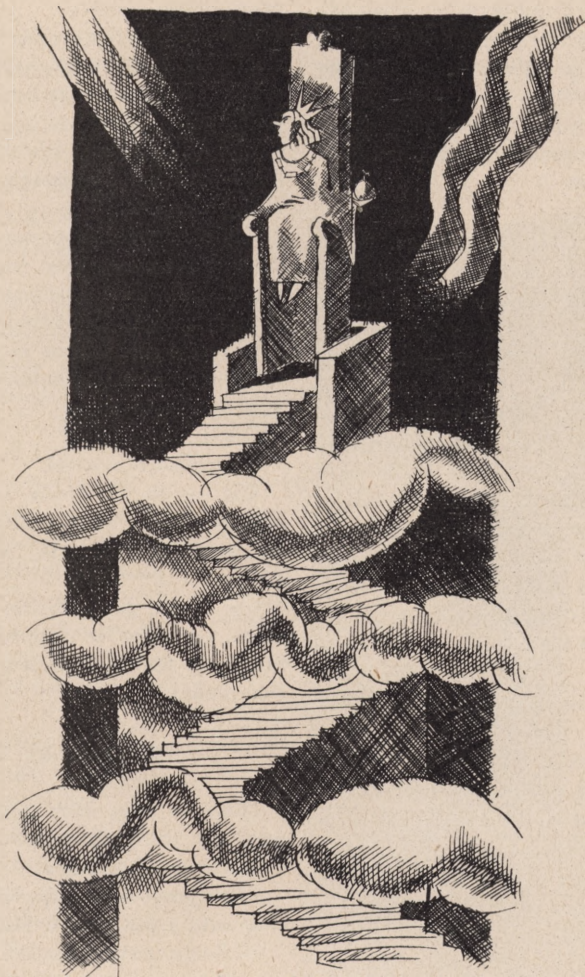
Czasem trafiały się wiersze, bowiem firmy często używały do swych reklamowych celów znanych pisarzy i poetów.

Zbierał je troskliwie i miał w domu kolekcję jedyną w swoim rodzaju.

Nosił się z cichą a złośliwą myślą wydania kiedyś tego oryginalnego zbioru w oddzielnej książce i marł ze śmiechu na myśl, co za kolosalny efekt wywarłaby ona na publiczności.

Te pięknoduchy, ci geniusze, chodzący na codzień w purpurze, z głowami w obłokach, z aureolą nad czołem, ci mieszkańcy nieba!

I nagle deszcz sonetów, ody i hymny na cześć „kawy palonki”, „ubrania na raty” lub „smarów i olejów”! Niezmożona potęga pieśniadza!



Widział siebie na tronie...

Bel oparł spierzchnięty z pijaństwa policzek o kant stołu i łkał cichym śmiechem. Podrygiwał z uciechy, aż sterczące pręty stalowe wibrowały i brzęczały leciutko. Niby rój pszczół. Oto jest!

Reklama — pióra znakomitego Owsena. „Wielki” opiewa skuteczność i doskonałość „proszku na robactwo”.

A oto druga. Co? Agitacja? „Dwójka” chce tą drogą lansować swego kandydata. Bel z wściekłością zdeptał papier nogami. Do tego się nie przyczyni. Nie i nie!

Kręcił się w kółko jak postrzelony.

Nowa fala zamroczenia ogarnęła mu głowę czarnym welonem.

Przyszedł moment.

Bel stanął nieruchomo, nasłuchując.

Niby snop wszechwiedzących promieni z mrocznych dali, które ukazały ściany kabiny rozsunięte nakształt kotary — szły głosy — głosy magów — głosy mistrzów — tak wnikliwie, przekonujące, a proste, że struga wlewały w jego czaszkę pojęcia śmiałe i piękne. Grube, fioletowe kręgi z nieskończonej perspektywy, — zrodzone tam, jako małe krążki, biegły ku niemu bezszelestnie, zwiększając się i grubiejąc, a środkiem tego kołowego korytarza biły raz wraz żółte strzały.

Wnet, podobne do gęstych obłoków trujących gazów, — podstępnie, pełzając zwolna i zdradliwie — nachodzić go jęły opary pijackie.

W gryzącym dymie Bel opędał się rękami, wyteżał osłupłe oczy i spojrzenia pełne tęsknoty słał naprzeciw fioletowych kręgów.

Wściekły podmuch wiatru zakręciłabiną, spiętrzył przedmioty w jeden stos, uniósł je i rozplątał w spiralnego węża.

Z reflektora powstało dziesięć, światełka kabiny jakby odbiły się w setce luster, — w kabinie stało się ciasno od światła.

A każde wyciągało się w żądło, w szpadę, w gwóźdź ostry i wszystkie razem mierzyły w jego głowę.

Bel zasłonił się ramionami. Lecz wiatr spiralny porwał i ramiona. Bel czuł przerażony jak roztwierają się niewolne, wydając głowę na łup wścieklej spirali.

Zmęczone powieki Bela przymknął spokoj.

Był doskonale, — precyzyjnie pijany!

Wyczuwał w kabinie obecność czegoś wielkiego, istoty potężnej, która objęła nad nim bezwzględną władzę.

Przypominał lunatyka, gdy szerokim gestem zmiotł wszystkie kartki, aż zasłały podłogę, świecąc blademi twarzami w świetle reflektora.

Wyprostował się, odetchnął głęboko i położył palce na klawiszach.

Wytrzymał chwilę.

Takie bezwątpienia musiały być uczucia wielkiego artysty, gdy jeszcze zanim pierwszy akord weźmie, wsłuchuje się z lubością w ciszę zalegającą audytorjum.

W tysiąc serc uderzą za chwilę jego pieśni, tysiąc par oczu stęsknionych wpija się weń w oczekiwaniu cudu.

Czuje się wielkim.

Wytrzymuje moment.

Wie — że za chwilę zagra pieśń, której słuchać będą tysiące i miliony. Jest większy niż największy artysta, jest wirtuozem duży.

I w chwili, gdy reflektor i cała kabina puszcza się znów w opętany, spiralny, pomarańczowy tan — Bel pewnemi dłońmi naciśka znaki...

3.

Tłum na ulicy zawahał się, jeszcze niepewny, ale już zachwycony.

— Patrzcie, patrzcie!

Zemocjonowane grupy porzucały agitatorskie auta i pędziły na złamanie karku.

— Racja, święta racja!

— To ci gada!

— Tak, tak, prawda!

Reklamowa tarcza na zbiegu 5 i 16 Alei zdało się, oszalała. Błyskawicznie wykwitwały i gasły słowa mocy.

Niby piorunowe zygzaki, zdania gonili zdania, zmieniając się z potworną szybkością.

Tłum, rosnący ciągle, nie tracił już teraz czasu na domysły. Wszyscy z zadartemi głowami, z otworzonymi szeroko ustami — chwy-

Raptem zgaszony wiatr zginął.

tali w lot migocące słowa, które na tle czarnej nocy błyszczały jak objawienie.

Zdumienie targalo tłumami. Lecz powoli zdumienie przechodziło w sympatię, w potakanie, w aprobatę, w zachłyśnięcie podziwu...

To była mowa istotnie natchniona. Człowiek, który ją wygłaszał, wart był być wodzem narodem!

Mierzył celnie. Wybierał najohydniejsze bolączki, — w ropiejące wrzody ustroju wymierzał ciosy takie, że zgromadzonym od czasu do czasu wyrwał się ciężki jęk z głębi poruszonych dusz.

To brało tłum jak narkotyk — pełną garścią — za gardło.

— Alwarez? Łotr. Zaprowadził by nas do zguby.

Nie wiercie radykałom. Radykalizm to zgubiła rozpacz.

To polityka zwierza zapędzonego p zez prześladowców w ciemny oślep bez wyjścia. To krzyk bez nadziei. Boroz? Cnota jego — lep. Czyż nic mądrzejszego na was, obywatele, podzielać nie jest w stanie nad wyszarzały, zblakły, konwencyonalny sztandar cnoty? to nie CNOTA, to niezdarstwo, to niedołęstwo. Broń i argument słabych. Nie można cnotą wojować, jak argumentem. To jest śmieszne i niezręczne.

Tłum rósł co chwila. Pojedyncze grupy ludzi obrastały w nowych, niby toczące śnieżne kule.

— Rodyl szarlstan — centrum — kupa tchórzów, machających wdzięcznie łaszczącymi się ogonami na prawo i lewo w obłęsnych ukłonach. Obywatele! Oni was oszukują, oszukują haniebnie wszyscy razem. Zbawienia niema w partiach — w partiach jest zguba. Zerwijcie z partyjnictwem. Rząd kłamie. Rząd robi z was trzodę robotniczych wołów, trochę dla swoich celów, więcej nie wiedząc

dlaczego. Wasza praca, wasza ciężka praca idzie na marne!

Uhu — — u!

Nie było o czym mówić. Ktoś wygłaszał programową mowę.

Ale jaką!

Tłum przebiegały iskry elektryczne. Tłum był podminowany. Wiadomość o fascynującej reklamie w lot obiegła miasto. Porzucono wrzeszczących agitatorów, ludzkie masy parły tam, gdzie niebo przerzynały płomieniste słowa.

Ale kto to był? Stronnictwo, partja, człowiek?



U zbiegu 5 i 16 alei



Bel przekreślił kontakt...

Gorączkowano się. Podniecenie rośnie.

Cichy i zdało się daleki poszum, jakby idących z dali morza fal, nabierał mocy.

Ścisł się wzmagał.

Elektryczna mowa potęgniała. Entuzjazm mówił błyskami. Ogniste bicze raz wraz przemierzały ogromne pole tarczy.

Ogniste bicze smagały ludzi, zapalały im w umysłach te same ognie, co na tarczy, wrzynały się w serca jak ostre kliny, mówiły o tem, o czem nie ośmielił się mówić żaden agitator, — czegoby nie wygrała żadna z partyj, — a co rząd metodycznie usypiał kojącymi obietnicami.

— Każcie otworzyć granice. Brońcie ich

przeciw wrogom. Tak, brońcie ich! Ale nie brońcie przed podwójnym kursem złota. Przy tym ruchu wy zarobicie! Wasze złoto krąży tylko po kraju. Nabijacie niem kieszenie hien. Oni muszą mieć wiele, oni muszą mieć wielkie zyski. Oni muszą mieć zaco napasć swe wielkie brzuchy. Skąd je wyprują? Z waszych żył. Nie brońcie obcemu złotu, obcej pracy, obcym przemysłom wstępu. Starajcie się natomiast robić lepiej. Nie zakazami, nie sztucznymi środkami zdobędziecie rynki — zdobędziecie je konkurencją!

Nikt już nie słuchał mówców. Samochody z krzykaczami przewracano. Głuche wrzenie targało stłumionemi głosami ludzi. Tu i owdzie wznosił się okrzyk. Masy napływały zewsząd.

— Wyrzućcie partje. One jak gromada wilków gryzą się o waszego trupa, na waszym trupie. Zrózniczkowaliście wasze życie, wasze interesa. Więcej syntezy, więcej prostoty, więcej zdrowia. Wygonicie tysiące urzędników, w których rękę władza zmienia się w tysiące batów o różnej formie. Złóżcie władzę w jedne ręce. Człowieka wam trzeba, człowieka waszego, mądrego i dobrego, w tem cała rzecz. A wy dajecie prowadzić się jak stado hiszpańskich byków... na rzeź, pod nóż torreado-

rów—najemników, hienom na paszę.

Ze zbitego bruku ludzkich głów podniósł się ryk. Nikłe kordony policyjne rozerwano. Rzucano za policmenami czem kto miał. Czerń rozkołysała się jak pszeniczne pole pod uderzeniem orkanu.

— To nasz!

— Kto to jest!

— Nazwisko, nazwisko!

— Precz z Rodylem, precz z Borozem!

— Tam nasz prezydent! Jego chcemy!

— Głupcy, przecie to mechanik tylko!

Groźne pięści wznosiły się dokoła. Pasje tętniały.

— Mechanik, nie mechanik, wszystko je-



Próżne też były wysiłki policji..

dno! Wiwat, niech żyje prezydent! Na niego głosujemy!

— Dać go tu! Niech żyje!

Ludzki mur pękł. Falangi gnały w miasto w szale entuzjazmu. Ich miejsce zajmowali nowi, — patrzyli, — słuchali i znów wiwatowali. Na władze padł strach.

Biedni agitatorzy zmykali chytlikiem, bo tłum brał się do nich nie na żarty. I w wielkiem mieście między wzgardliwymi, białymi, wyniosłe regularnymi blokami murów rozpętała się rewolta.

Ktoś wyskakiwał z tłumu, przypominał to i owo z praktyk rządu, łechtał pobudzoną wrażliwość mas, — drażnił wielogłowego byka, — aż zerwał się on z łańcucha rozumu. Niby potworna meduza na zwarjowane miasto padła psychoza, przygniatając mózgi bezkształtnym, galaretowatym, ciężkim ciałem. Kolor i odór buntu działał jak widok krwi.

Rozbito kilka sklepów z alkoholem. Cywilizowany, nowoczesny tłum zachowywał się jak banda Indian w zdobytej osadzie. Karmanjola dygotała w zmieszanych kłębowiskach.

A małe, kosmate demonki, wierne służki bogini Złośliwości koźły przewracały z uciechy po pomoście z żywych ramion. Wypełniły wszystkie kąty, każdemu szeptały coś do ucha, obejmując włochatym ramieniem szyję i w nikłych tych, podniecających do szaleństwa uściskach ludzie szaleli. Pomarańczowy, spiralny tan przeniósł się z kabiny na miasto i wziął je w swój zawrotny wir.

4.

Czyż więc nie był genialnym nasz skromny mechanik?

A może był genialnym tan pomarańczowy?

To „coś“, co stało przy boku Bela, kolosalnym swym kształtem opierając się zwycięsko wirowi?

Duch, przebiegły, mądry duch?

Duch, zrodzony w oparach alkoholu? Twórczy duch?

Pod rozkazującym jego naciskiem Bel zsiniał z wysiłku. Drewnianymi palcami wystukiwał litery za literą, słowa za słowami, miotając się na krześle, jak przygwożdżony wąż.

Do drzwi, ach, do drzwi dobijano się wielokrotnie.

Rozentuzjazmowani obywatele próbowali je wyważyć.

Ale mocna stał nie puszczając.

Próżne też były wysiłki policji.

W końcu chciano je wysadzić ręcznymi granatami.

Namyślano się jednak.

A tymczasem pomarańczowy demon zmógł Bela.

„Coś“ wielkiego odeszło.

Ciężka głowa opadła na piersi, bezwładne ręce osunęły się wzdłuż ciała. Bel zasnął kamiennym snem po godzinie swojej „mowy“.

Mojeszową tablicą zgasał,

Na ulicy domagano się dalszego ciągu, krzycz no, grożono. Ciemna tarcza milczała, milczała jak czarny grób.

Uspokajała się zwolna spieni na fala rewolty. Pomarańczowy ten, ulatując z kabiny, uleciał i z miasta. Kosmate demonki wtopiły się w noc.

Policja odetchnęła.

Powoli spychano odrętwiałe po poprzednim wybuchu masy. Nieśmiało wyłazili z kryjówek agitatorzy, niby sennie kajmany. Zaskrzeczała gdzieś, jak obudzona raptem małpa, tuba mówcy.

Zawirowały wyborcze kartki.

Katastrofa została zażegnana, wybory potoczyły się dalej. Już beznamiętne, spokojne.

A Bel spał.

Ogładano się jeszcze na tarczę — milczała uporczywie. Jej szarość wyglądała teraz jak porzucony całun.

Twarze „ludu” zwracały się coraz



Chyłkiem pomykał przez swój zaułek...

częściej w stronę agituujących samochodów.

5

Popielatym rankiem, — przez z śmieczone, puste ulice włókł się Bel ze spuszczoną niskogłową. Twarz miał barwy poranku popielatą, w ustach obrzydliwy niesmak. Nogami zmiatał całe sterty kartek z ściętymi liśćmi, jak jesienne liście. Raził go sączący się leniwie przez mgłę brzask, złościł wilgotny i chłodny oddech wsłający go dnia.

Niby ścigany jeleń w kniei chyłkiem pomykał przez swój zaułek. W bety zakopał się po uszy.

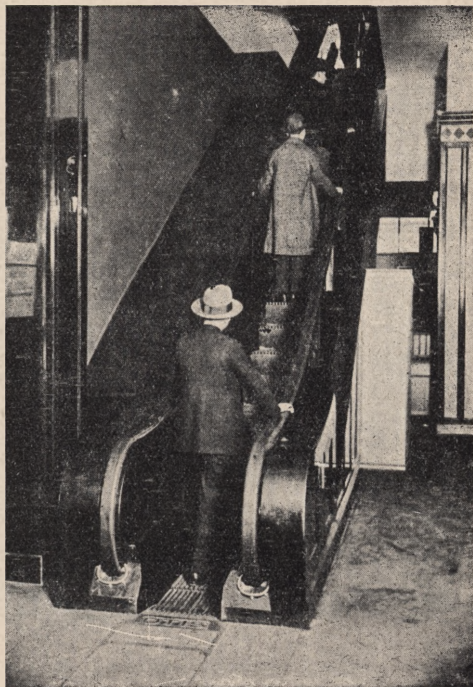
Bał się przerażliwie następstw swojego wczorajszego stanu. Nie pamiętał, co robił — wiedział tylko, że przepisanym reklam nie wyświeilił. Co zrobi, jeśli straci posad?

Przez myśl mu nawet nie przeszło, że wczoraj był prezydentem pięćdziesięcioletniego państwa.

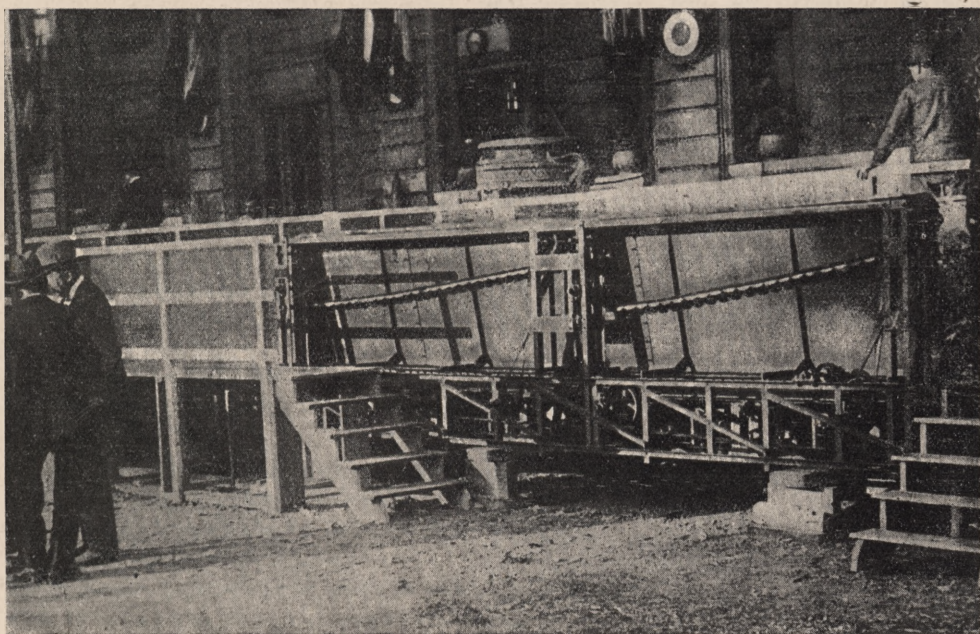
Węc — czy był on genialnym?

Ruchome chodniki

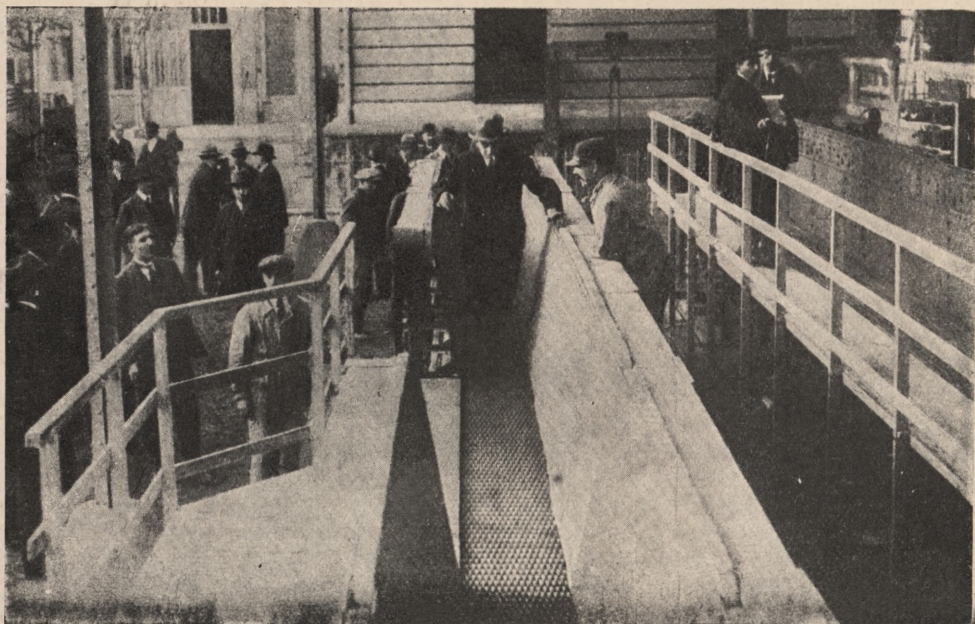
Przyspieszone tempo życia powojennego ujawnia się przede wszystkim w ruchu ulicznym, który wzrósł w ostatnich latach do niebywałych rozmiarów. Nietylko w wielkich miastach amerykańskich nietylko w stolicy świata — Paryżu, gdzie niemalże przytomności umysłu wymaga przejście z jednej strony ulicy na drugą, ale i w mniejszych miastach i stolicach, zaczyna się ciasno robić wśród samochodów, omnibusów i tramwajów. Cechą charakterystyczną przytem jest przepelnienie, panujące w tych wszystkich wehikułach. Ponieważ istnieje tendencja pewnej mechanizacji życia, zaczęto szukać środków technicznych zaradzenia zlewu i wpadnięło na pomysł urządzenia ruchomych chodników.



Pierwsze schody ruchome w wielkim domu handlowym w Kolonii



Zakładanie chodników ruchomych na jednej z ulic Paryża



*Jeden z chodników ruchomych, które wkrótce znajdą zastosowanie na ulicach Paryża.
Aparat Bouchel'a, mogący posuwać chodnik z szybkością 9 kłm. na godzinę*

Pomysł ten nie jest nowy. Już w roku 1900 na wystawie paryskiej istniał chodnik ruchomy, którym każdy mógł przejechać się dokoła wystawy. Następnie w ostatnich czasach zastosowano te urządzenia w Nowym Jorku. Obecnie Paryż, w którym środki lokomocji nie wystarczają dla zaspokojenia potrzeb ludności, ogłosił konkurs na najlepszą konstrukcję chodników ruchomych.

Chodnik taki składa się z paru platform, z których każda posiada pewną nieznaczną szybkość. Chodzi o to, aby wzrost szybkości był tak nieznaczący, iżby nie zawadzał znajdującym się na nim pasażerom i nie przy-

prawiał ich o utratę równowagi. Pasażer, jadący na ruchomym chodniku, powinien móc swobodnie przechodzić z jednego końca i z jednego chodnika na drugi podczas ruchu.

Do konkursu stanęło kilkanaście firm z chodnikami różnych konstrukcyj. Nagrodzone i wybrane są już w toku robót i wkrótce zostaną uruchomione. Aparaty ich są zastosowane w ten sposób, że można im nadawać szybkość dowolną: od 2-ch kłm. do 9 kłm. na godzinę.

Tak więc, choć częściowo rozwiązany zostanie problemat uregulowania ruchu wielkomiejskiego.

St.

Od występku do krat więziennych

Napisał

Stanisław Targowski



T. zw. „rak” do prucia kąt

Tropem zbrodni. — Kradzież walizy. — Zameldowanie. — Dochodzenie. — Urząd rejestracyjny. — Portret pamięciowy. — Daktyloskopia. — Poszukiwanie pasera. — Dedukcja w rozumowaniu śledczym. — Obława. — Spelunki złodziejskie. — Meliny. — Słowo honoru naczelnika urzędu śledczego. — Szacunek złodziejów dla przedstawiciela władzy śledczej. — Akcesoria tachu złodziejskiego i bandyckiego. — Wygrywanie głupoty ludzkiej i dążności do nieuczciwego zysku. — Specyficzne „kanty” warszawskie. — „Farmazonstwo”. — „Na sekretarza” lub „na kopertę”. — „Na zgubne”. — „Bomba”. — „Podchód”. — „Potok”. — Zakończenie śledztwa policyjnego. — Przekazanie złoczyńcy sądziemu śledczemu.

W oparach powojennych czasów zrodziło się szare, zwykle życie w Niepodległej Polsce, pełne zarówno bohaterskich czynów, jak i bogate w wiele brzydkich, odstrasających zjawisk.

Do walki z brzydotą życia należy przystępować z wielką umiejętnością podchodzenia do tych złych wydarzeń i podpatrywania ich natury i warunków powstawania.

Umieć bowiem przeprowadzić drobiazgową analizę tych bolączek i zsyntetyzować swe bogate spostrzeżenia — oto prawdziwa zdolność spoglądania w głąb życia, uchyłania

rażków najtajniejszych zasłon i odkrywania rzeczy nieprzeciętnych...

Jeżeli chodzi o formalną stronę zwykłego występu, to, niewątpliwie, nie będzie pozbawione pewnego zainteresowania rozważanie tych wielu momentów procesualnych, na które się składa łańcuch śledztwa, aby ujawnić przestępstwo i wykryć jego sprawców.

Prawda, wiele zależy od stopnia uchybienia prawom i przepisom. Niezależnie jednak od tego przyjrzymy się, w jaki sposób społeczeństwo dobrze zorganizowane walczy z występkiem i zapobiega przestępczości. Bo wiem walka to niełatwa, wymaga wielu akcesoriów natury moralnej i materialnej, a nade wszystko, energii, umiejętności, poświęcenia i zamięłowania.

Opowiem wypadek z prawdziwego zdarzenia, w którym brałem sam czynny udział.

Zimową porą wyprawiałem z Warszawy żonę z dwojgiem dzieci do Wilna. Była godzina 11 wieczorem. Na peronie dworcowym stałem w towarzystwie paru osób przed wagonem klasy drugiej. W przedziale damskim nikt oprócz moich bliskich nie jechał. Dzieci zostały ułożone na jednej ławce, żona zaś stała w drzwiach przedziału — system wagonów niemieckich — i zamienialiśmy, jak zwykle w takich razach, ostatnie zdania, któ-



Fabryka 20-cio złotych i 10-cio dolarówek na Targowej Nr. 69

re w naszych pojęciach były bodaj najważniejsze ze wszystkich rozmów, prowadzonych w ciągu ostatniej doby.

Zauważyłem mimowoli, że w pobliżu nas kręciły się jakieś dwa typy, ubrane w krótkie kurty ciemne i kaszkiety głęboko osadzone, tak że daszki zasłaniały im oczy. Była chwila, że byłem nawet zmuszony zwrócić im uwagę, aby się nadto blisko nie przeciskali między nami a wagonem.

„...No, wiozę nasze rodzinne srebra i gobeliny” — zaśmiała się w pewnym momencie żona, wskazując kuzynce wyładowaną walizę, wtłoczoną na górnej półce.

„Ostatni uścisk dłoni, ukłony, żatrzaśnięcie drzwiczek i... pociąg ruszył.

Wróciłem do domu. Pustka. Przykry nastrój. Nad ranem coś o godzinie szóstej, obudził mnie nagle przeraźliwy dzwonek u drzwi wchodowych. Pobiegłem do przedpokoju.

— Depesza! —

— „Napał zrabowana waliza stłuczona ręką dzieci zdrowe — —”

Nadana w Białymstoku, a więc w cztery godziny po wyjeździe. Przerażenie. Niepokój. W głównej komendzie policyjnej nic nie wiedzą o jakimkolwiek napadzie na pociąg

wczorajszy. Nie rozumiem z początku, co sądzić o całym wydarzeniu.

Tymczasem po kilku dniach nadszedł z Wilna express.

Cóż się okazało? Oto, w kwadrans mniej więcej po wyruszeniu ze stacji warszawskiej żona, leżąc na ławce, — w przedziale lampa była zasłonięta, — ujrzała w przeciwnym oknie od strony zewnętrznej jakąś twarz z wąsami. Gdy w przerażeniu uniosła się, raptem otworzyły się z poza niej drzwi, do przedziału wskoczył jakiś osobnik, porwał z półki walizę, skoczył następnie na stopień... Żona chwyciła za walizę, ale rzeczimieszek poderwał silniej za skórzaną rączkę od walizy, a lewą ręką trzasnął za sobą drzwiami, przygniatając żonie przedramię.

Mimo jednak bólu żona zauważyła, jak złodziej zeskoczył z walizą w biegu na stół nasypu.

W końcu listu żona wyrażała przekonanie, że napadli na nią ci dwaj, którzy przed samym odjazdem kręcili się koło wagonu.

Natychmiast przystąpiłem do poszukiwań. Ponieważ wypadek zdarzył się w pow. warszawskim, udałem się więc do komendy policyjnej kryminalnej na tenże powiat, N.-Świat 1.

Już samo wejście i schody na pierwsze piętro dawały mi przedsmak tego przybytku, do którego miałem za chwilę wkroczyć.

— Komisarz Nowak?

— Jest. Kogo zameldować?

Melduję się. Czekam w dużym pokoju. Kilka stołów biurowych, niezajętych w danej chwili przez nikogo, szafy, krzesła, książki. Zdawa widać korytarz, po którym snują się jakieś typy. Wrażenie pierwsze bardzo niemiłe. Wyobraźnia nadomiar wszystkiego pracuje intensywnie.

W jednym błysku pamięci powstają wspomnienia prawie wszystkich zasłyszanych zbrodni, kradzieży... rodzą się wizje Sherlock Holmesa, Pinckertona, Arsena Lupina i wielu, wielu innych Conan Doyłów. Wreszcie jestem zaprowadzony przed oblicze samego pana komisarza.

P. Nowak jest fachowo doświadczony w swoim zawodzie, bo też zaczął swoją karierę od wczesnej młodości w służbie policyjnej, przechodząc jej zwykłe koleje od protokulanta w jednym z cyrkulów warszawskich za czasów jeszcze przedwojennych aż do stanowiska komisarza i odpowiedzialnego komendanta policji śledczej powiatu stołecznego.

Musiałem mu więc opowiedzieć ze wszystkimi szczegółami rzecz całą. Następnie wprowadzono mnie do specjalnego pokoju, gdzie pod jedną ścianą stały dwa stoły biurowe, a pod drugą sterczały stopy łupów złodziejskich.

Młodzieniec z krzywym okiem starannie

spisał protokół mego zameldowania o kradzieży kolejowej.

— Czy pan redaktor pozna twarze tych osobników, którzy się kręcili koło państwa w dniu wyjazdu na peronie?

— Przypuszczam!

— A więc proszę przyjść jutro do nas, odkomenderuję dwóch agentów, którzy pójdą z panem do wydziału rozpoznawczego w urzędzie śledczym. Tam pan obejrzy fotografie przestępców i może pan odnajdzie podobizny tych, na których padają podejrzenia państwa.

Nazajut z poszedłem do urzędu śledczego na ulicę Daniłowiczowską. Towarzysze moi — dwaj agenci. Typy mocne, swiste, jeden szczupły, drugi tęgi, jak starszy czeladnik rzeźnicki. Pierścienie na grubych krótkich palcach. „Morusy“ i „swojaki“ bywał! Dużo widzieli w swym życiu, dużo przeszli, a przedewszystkiem złodziejski i bandycki fachy znają na wylot! Skąd? — ot znają i nie pytaj się więcej.

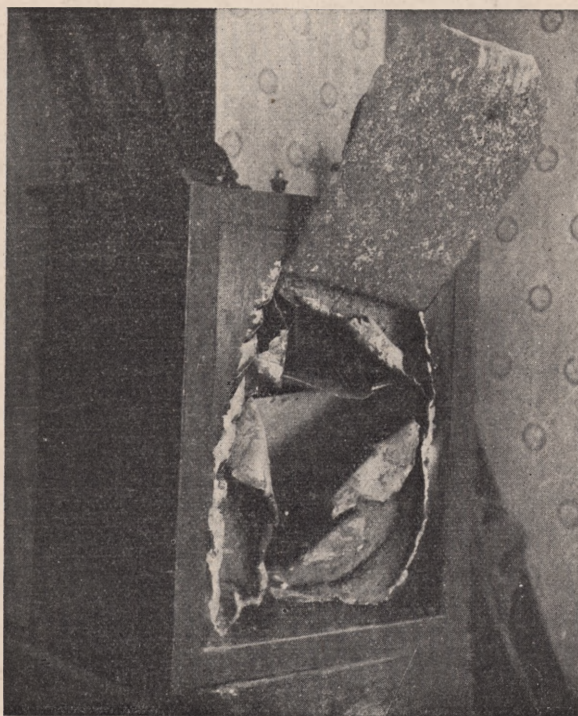
Po drodze

uczyli mnie, jak mam się zachować w wydziale rejestracyjnym. Trzeba się bowiem wszędzie „mądrze“ urządzić!

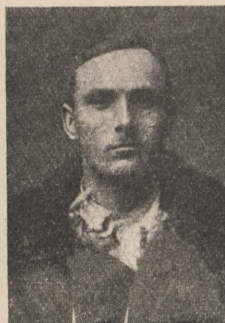
Wchodzimy do urzędu. Nastrój ciężki: czuje się już w powietrzu, że jest to lokal, w którym starają się fachowo pracować zbrukane wszelakim występkiem sumienia...

...Kartoteki... półki... półki... tysiące fotografii... albumy...

Tysiące fotografii z różnych okresów lat ubiegłych i bieżących. Klienciela zaś różna: nie każdy umie sobie zdefiniować, kogo chce



Kasa „robiona“ z tyłu



Galerja zbrodniarzy

J. Laudanski

J. Gnoński

T. Krosnodębski

B. Rybiński

(wszyscy bandyci — nie żyją już)

znaleźć. Z ogólnych dopiero wskazówek poszkodowanego „kartotekarz“ musi się zorjentować mniej więcej, z jakiej półki i z jakiej serji podać fotografie i czy jeszcze dla danego przestępstwa mogą się przydać albumy dawniejsze.

A trzeba wiedzieć, że warszawski urząd śledczy już od lat kilkunastu cieszy się bardzo dobrą opinią fachowców w innych stolicach europejskich. Znany np. fakt rozpoznania w Warszawie bandyty z nadesłanej z Rzymu stereotypowej odbitki daktyloskopijnej przy okólniku tamtejszego urzędu śledczego, zawiadamiającym o dokonaniu morderstwa na obywatelu rosyjskim. Paryż, Wiedeń i Berlin rozpoznały każdy jednego ze swych przestępców, którzy jednak w owym czasie byli rzekomo trudni do odszukania.

Tymczasem wydział rozpoznawczy warszawskiego urzędu śledczego po szczegółowych dochodzeniach i wyliczeniach na podstawie nadesłanych odbitek, doszedł w ciągu dwóch dni do wniosku, że zabójcą jest reiestrowany już kilkakrotnie w urzędzie, znany naówczas przestępcą Niłowicz. Późniejsze dochodzenie potwierdziło w zupełności to twierdzenie.

„...Portret pamięciowy“. Wielka szafa podzielona na trzy działy: typ europejski, wschodni i kobiety. Każdy zaś dzieli się na szufladki, oznaczone potrójną liczbą: pierwsza cyfra wskazuje wiek, druga wzrost, a trzecia kolor włosów.

Poważna anielska w dziedzinie śledztwa pierwiastkowego, Henryk Galton, zaprowadził system kartoteki w ten sposób, że

fotografie przestępców klasyfikował według trzech rodzajów: *wzrostu, wieku i koloru włosów*. System ten został następnie zastosowany we Francji i w Niemczech, a znacznie udoskonalony, wyparł w zupełności albumy w Warszawie od drugiej połowy grudnia 1922 roku.

...W pokoju zastawionym szafami i stołami urzęduje uprzejmy p. Aleksander Karmazyn. Zna swój dział nawyot! Dwadzieścia zgórą lat pracuje przy tych szafach. Nie dziw więc, że zna świetnie element przestępczy w stolicy.

Padają pierwsze pytania:

— Złodzieje kolejowi...

— Wzrostu?...

— Średniego...

— Wiek?...

— Mniej więcej około 40 lat!

— Kolor włosów?...

— Nie wiem, gdyż kaszkiety zasłaniały.

P. Karmazyn podaje mi z półki szufladkę z fotografiami. Rozglądam je, przypatruję się wielu typom, jest ich kilkunastu. Ale jakże mi się wydają podobni do siebie! Zwierzę się z tem spostrzeżeniem agentom. Okazuje się, że wszyscy poszkodowani przeważnie mają te same złudzenia. Przerzucam jeszcze raz: jest! Zdaje mi się, że poznałem: tak, to ten sam! Wskazuję panu Karmazynowi i okazuje się następnie z odnotowań, że... złoczyńca odsiaduje już od szeregu miesięcy karę w więzieniu!

Co za pech!

— Gdybyśmy jednak mieli odciski jego

palców, to łatwiej byłoby ustalić tożsamość — rzucił uwagę zamiłowany w daktyloskopji urzędnik.

— Jakto?

— A tak. Mamy ten dział świetnie postawiony. Właśnie świeżo w ciągu niespełna dwóch tygodni odkryliśmy np. kasiarza, który „zrobił” nuncjusza monsignora Lauri. To jest odblitek jego palców, którą zrobiliśmy wówczas, gdyśmy go rejestrowali przed paru laty. Jaskółski...

Znany Kasiarz! A tutaj są odbliski śladów palców złodzieja, który „robił” u księdza Lauri. O, widzi pan: to są wyliczenia. Rachunek prosty: rozróżnia się trojaki układ linii papilarnych na palcach: pęczkowy, wirowy i łukowy. Liczymy tylko kombinacje palców wirowych, biorąc po dwa od dużego palca prawej ręki do małego lewej. A więc tak: duży i wskazujący — 16, środkowy i średni — 8, mały i duży lewej ręki — 4, wskazujący i środkowy — 2, średni i mały — 1. Zresztą, wprawa jest tu konieczna. Przy rejestracji przestępcy odbijamy jego dzieśnięć palców: odpowiedni ułamek daktyloskopijny zamieszczamy na fotografii kwalifikacyjnej. Ot, np. 5/1, t. znaczy, że układ wirowy linii papilarnych jest tylko na wielkim palcu lewej ręki i t. p.

...W ten sposób jesteśmy w możności ustalić tożsamość każdej osoby, notowanej chociażby raz jeden w naszym urzędzie. Wszystkie bowiem wyliczenia, opatrzone specjalnymi uwagami i nazwiskami, rejestrujemy w oddzielnej szafie. Przestępca bowiem może występować pod wieloma nazwiskami, z chwilą

jednak, gdy jest u nas chociaż raz zanotowany i mamy jego odbliski i wyliczenia daktyloskopijne — ten nas nie oszuka! W Ameryce notują również i wagę przestępcy, ale w Europie nie jest to jeszcze wprowadzone. W Chinach natomiast, każdy właściciel dowodu osobistego ma odcisk swego palca wskazującego na jednej ze stron dowodu. W ten sposób bowiem nie dopuszcza się do korzystania z kradzionych lub przywłaszczonych dowodów...

Oglądałem później całe albumy daktyloskopijne: fotografie znaczniejszych przestępców, odciski palców zлочынцoв na przedmiotach namiejsu przestępstwa, a następnie odbliski daktyloskopijne palców domniemyanych przestępców, które się zgadzały z pierwszymi i służyły jako ważny dowód, obciążający obwinionego stanowiący punkt wyjścia dla śledztwa. Podziwiałem ogrom pracy, umiejętności, energii i zamiłowania fachowego!

...Potrzeba jednak na takie postawienie sprawy dochodzenia śledczego, wiele nakładu środków materialnych...

Przy tej sposobności dowiedziałem się

od współpracowników tutejszego urzędu śledczego, jak wiele zasług położył dla podtrzymania i kontynuowania solidnej i wybitnie fachowej działalności p. Zandbank, wykształcony prawnik, świetny znawca zagranicznych wzorów sprawy śledczej, dotychczasowy kierownik wydziału rejestracyjno-rozpoznawczego, pozostający na tem stanowisku od chwili osobistego samodzielnego przejścia urzędu od okupantów niemieckich. Pan Zandbank jeździł właśnie z ramienia



Kasa „robiona” na zamek

Polski na zjazd przedstawicieli urzędów śledczych do Berlina w 1922 roku w celu zapoznania się ze świeżo, bo dopiero przed czterema laty ogłoszonym wynalazkiem dyrektora policji duńskiej, p. Hakona Lockgensa z Kopenhagi, a polegającym na identyfikacji daktyloskopijnej na odległość.

...Ale wracając do kradzieży mojej walizy, okazało się, że nie jestem w stanie rozpoznać złodziejów w kolekcji typów tego rodzaju. Naturalnie, mowy nie mogło być o jakichkolwiek śladach daktyloskopijnych.

Przed urzędem śledczym powstało więc pytanie: od jakiego punktu ma wyjść śledztwo? Teren przestępstwa: linja kolejowa: Warszawa—Białystok. Przestępca: złodziej kolejowy, notabene, dobry fachowiec. Przedmiot kradzieży: waliza, srebro, gobeliny, ubranie i t. p.

— Jakież to były gobeliny?— padło pytanie doświadczonego i wyjątkowego szczęściarza w swym zawodzie, pana Kurnatowskiego, zastępcy naczelnika urzędu śledczego.

Opisałem treść obrazów trzech skradzionych gobelinów.

— Hm, hm, trzeba ich poszukać u antykwaryuszów i w „komisach”. Komu bowiem złodziej mógł je sprzedać: paserowi, który następnie mógł je jedynie dać w komis antykwarniom, sklepom komisowym i różnym Abe Gutnajerom — wyjaśniał.

Agencji rozpoczęli wnet poszukiwania. Nie wszędzie jednak mogli sami docierać, w nie-

których sklepach znano ich dobrze i pamiętano z wielu spraw. Posyłali więc tam swoich znajomych, którzy zgłaszali właścicielom sklepów chęć kupna „wyjątkowo” ładnych gobelinów. Na takie dictum sprzedający wyciągali zwykle ze wszystkich kątów najrozmaitsze płótna.

Długi czas poszukiwania te nie dawały pożądanego rezultatu. W końcu, coś po tygo-

ni, natrafiliśmy rzeczywiście na jeden z moich gobelinów. Naturalnie, jak przewidywano, był oddany do sklepu przy ulicy Świętokrzyskiej przez znanego policji pasera.

Sprowadzono go do lokalu przy ul. Daniłowiczowskiej. Odtąd śledztwo potoczyło się rażno. Mimo znanego sposobu „kręcenia” i „kluczenia”, jakiego używają paserzy, aby odwrócić uwagę śledztwa od właściwego złodzieja, Kurnatowski szybko zorientował się, kto mógł wów-



Złodziej, który zakradł się do garażu poselstwa amerykańskiego w Warszawie, pozostawił na drzwiach odciski palców

czas „zrobić” walizę.

— Bo to dla mnie bardzo proste — wyjaśniał mi potem rodzimy nasz Sherlock Holmes. — Z chwilą, kiedy poznałem pasera, który był w posiadaniu pańskich gobelinów, odrazu zorientowałem się, jaka grupa złodziejów podtrzymuje z nim stosunki. Wiedziałem dalej, że z tej grupy ten i ten odsiada właśnie swoje rekolekcje w więzieniu, tamten jest zatrzymany w areszcie śledczym, ci znowuż pokłócili się o kochankę, porzucili się nożami i kurują się w domu; na „robotę” więc mogli w owym czasie wyjść tylko ci

a ci! — imponował mi wiedzą fachową, doświadczeniem i znajomością terenu ten polski Galton.

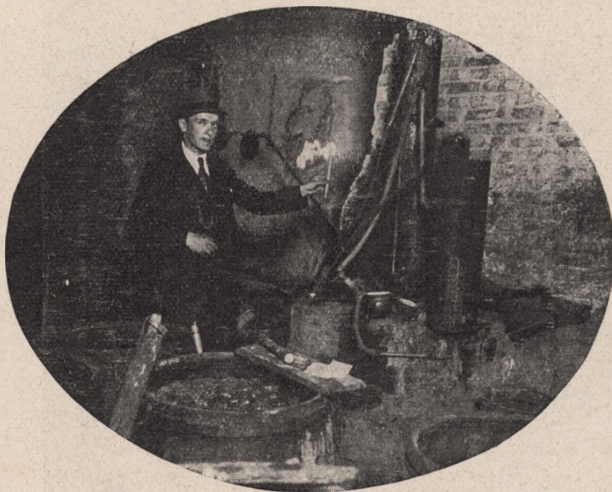
To też poddany surowemu śledztwu w krzyżowych pytaniach Kurnatowskiego i Szabrańskiego paser wił się, jak długi robak na końcu szpilki, a w końcu przyciśnięty do muru przyznał się, że „towar” otrzymał od Ryfki Kij. Od kogo zaś ona go dostała, nie wiedział, jak i nie znał jej adresu. Od czego jednak konfidenci policji wśród złodzieiów i paserów! W ciągu paru godzin ustalono, że Ryfka Kij jest od kilku miesięcy kochanką Szabera, który operuje właśnie w pociągach, odchodzących z dworca Wileńskiego. Szaber utworzył „si-twę”, t. j. spółkę z Rychłowski-m, który sta-le mieszka na Pradze. Z początku przypuszczano, że i Ryfka Kij też grasuje na Pradze, ale policja obyczajowa miała co do niej ustalone dane. Według nich wynajęła ona mieszkanko w jakiejś rudorze przy ulicy Niskiej i tam utrzymuje t. zw. „melinę”, czyli kryjówkę złodziejską. Należało więc przypuszczać, że u niej można „nakryć” Szabera i Rychłowskiego.

Szabrański, doświadczony komisarz kryminalny, zorganizował obławę na „ferejnę” piętego komisariatu. „Ferejna” tamtejsza — to cała dzielnica, zamieszkiwana przez złodzieiów, przeważnie rekrutująca się z mniejszości narodowych i zgrupowana głównie na ulicach: Smoczej, Gęsiej, Niskiej, Ostrowskiej, Miłej, Stawki, Lubeckiego, Dzi-kiej, Muranowskiej, Powązek miasteczka i t. p.

Szabrański ułożył plan i wysłał naprzód agentów cywilnych. W dwadzieścia minut później pojechaliśmy taxówką w stronę „fe-

rejny” złodziejskiej. Po drodze dowiedziałem się, że dzielnice objęte komisariatami XVI, XX, II i IV, zamieszkiwane są gęsto przez element przestępczy chrześcijański. Dawniej, przed paru laty Mokotów, Ochota, Wola, Powązki miasteczko obfitowały w bandytów i nożowników, ale obecnie należy to do przeszłości. Dzięki energii komisarsza Dobieckiego i innych, prawdziwego bandytyzmu już niema w stolicy; zdarzające się zbrodnie są raczej charakteru wypadkowego.

...Mknęliśmy rażno ulicami. Z Leszna wpadliśmy na Karmelicką.



Tajna gorzelnia w piwnicy przy ul. Grzybowskiej

...Ot wjeżdżamy do „ferejny”. Powiało odrazu jakąś atmosferą zgęszczoną. Zapadła zmierzch, Gęste, brudne tłumy wylegały na ulice i snuły się powoli, jak muchy w oliwie. Nieprzeliczone gromady zamorusanych dzieci, nawpół nagich, bawiły się nad same-mi rynsztoka-mi, a nawet

pluskały się w ściekach ulicznych, podgiąwszy powyżej kolan majtki lub sukienki. Im głębiej zapuszczamy się w dzielnicę, tem powietrze staje się bardziej zgęszczone i przesycone wyziewami i cuchnącemi zapachami, nieokreślonego pochodzenia.

Na rogu ulicy Lubeckiego i Gęsiej spotykamy pierwszą partję z obławy. Kilkanaście złapanych podejrzaných typów prowadzą agenci do komisariatu V. Komisarz Szabrański rozpoznaje wśród nich znajomych i klientów. Jedziemy dalej. Na rogu Niskiej i Smoczej spotykamy kilku agentów. Pozostawiamy więc auto i udajemy się pieszo na poszukiwania. Zwiedzamy t. zw. drugi Pekin, t. j. olbrzymią kamienicę na Stawkach, od-wiedzamy cały szereg „melin”, czyli kryjówek złodziejskich, w których agenci pod kie-rownictwem Szabrańskiego wylawiają raz

wraz dobrze znanych sobie oszustów, „farmazonów“, „smoluchów“, „bajerów“, „jubile-rów“, „sekretników“, „potoczniaków“, „doliniarzy“, „lipkarzy“, „szpryngowców“, „bombiarzy“, „alfonsów“ i t. p.

Ale nie możemy natrafić na Ryfkę Kij. Zapytywane o nią różne Dwojry, Gołdy, Zońki zapierają się wszelkiej z nią znajomości.

Minęło już dwie godziny. Agenci zebrali już „kupę“ ludu wszelakiego.

Szabera ani śladu. Rychłowskiego niema nigdzie. O Ryfke ogólne milczenie. A jednak gdzieś się ukrywają na ulicy Niskiej.

W końcu nie ma co włożyć się, Szabrański zbiera cały łup bogaty z obławy na podwórzu komisariatu V i poleca ich wszystkich odprowadzić na ul. Daniłowiczowską na sprawdzenie. Sami w towarzystwie jednego agenta wychodzimy na ulicę. Pełno gromadek: to żony, matki, kochanki, rodzeństwo schwytanych. Wsiadamy do samochodu i szybko mkniemy jeszcze raz na ulicę Niską.

Po długich poszukiwaniach, którym w tym wypadku sprzyjał zapadły wieczór, po licznych odwiedzinach wielu sekretnych „domów“, do których skwapliwie i natarchywie byliśmy zapraszani przez jej mieszkanki, Szabrowski wpadł na trop. Gdzieś w podwórzu, w dwóch cuchnących pokojach parte-

rowej oficynki, w sąsiedztwie zięjącego śmietnika, rozbiła swe namioty Ryfka Kij. Zastaliśmy ją samą, jej przyjaciółkę, z którą razem zamieszkała, służącą — rówieśniczkę, praczkę, no i... gościa, również koleżankę po fachu. Mimo lamentu i protestu Ryfka Kij powódrowała z agentem do lokalu na ulicę

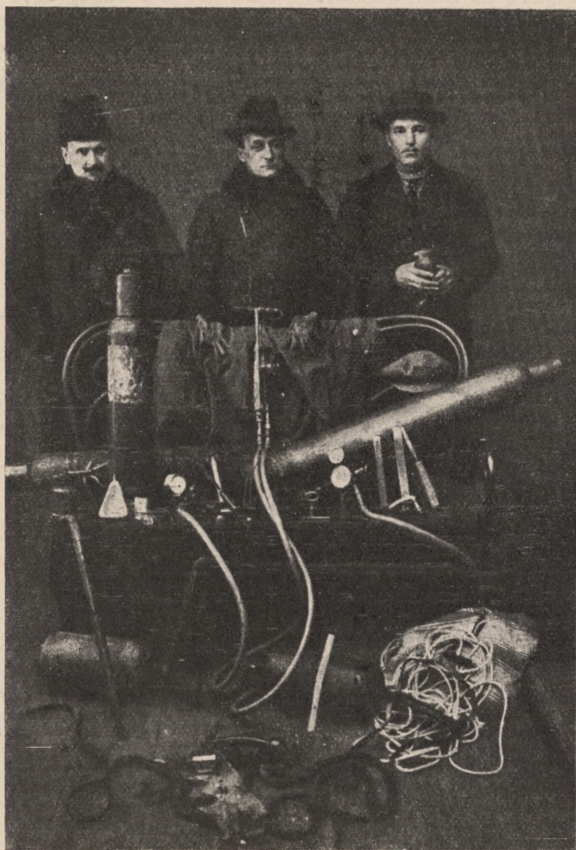
Daniłowiczowską. Mieliliśmy w ręku dawno poszukiwaną nić, po której należało dojść do kłębka.

W urzędzie śledczym zastaliśmy już wszystko w ruchu. Mimo spóźnionej pory każdego z przyprowadzonych z obławy indagowano i sprawdzano jego tożsamość.

Dla pewnych względów rzeczowych postanowiono odłożyć badanie Ryfki do dnia następnego.

Za to z niezmierną ciekawością przypatrywałem się pracy urzędu śledczego. A praca to nie tyle trudna, ile żmudna. Polega zaś na tem, że o ile któryś z przyprowadzonych

był już kiedyś zatrzymany, to miał już w odpowiedniej szufladce swoją kartę rejestracyjną z odciskiem wskazującego palca prawej ręki i z głównymi generaljami. Schwytany ponownie w czasie obławy odciskał za każdym razem swój palec na karcie ewidencyjnej. O ile zaś znalazł się w takiej opresji po raz pierwszy, to otrzymywał swą kartę ewidencyjną. Po tej formalności specjaliści urzędnicy sprawdzali rejestr karalności lub



„Najwybitniejsi“ kłasiarze Cichocki, Brocki i Strzelecki
(Uświadanie „rozprucia“ skarbcza w Banku Przemysłowców
Polskich Zgoda 7 — w r. 1920)

osób poszukiwanych; jak się okazywało z tych sprawdzań, wielu z zatrzymanych byli bądź poszukiwani przez różne sądy, bądź też ukrywali się przed listami gończymi innych urzędów śledczych.

...Przyglądałem się pilnie badanym. Przewijały się różne typy, wielu było „drewniaków“, t.j. kandydatów na „dolinarzy“ — złodzieiów kieszonkowych. Są to płotki.

Obok mnie stał nieoceniony znawca elementu przestępczego, światły p. Zandbank i objaśniał „kanty“ warszawskie, których główni aktorzy właśnie przewijali się barwnym kalejdoskopem typów. W ciasnym pokoju zupełnie nieodpowiednim na lokal, w którym dziesiątkami całemi codzien rejestruje się przestępców stulecznych, sprawdza się ich generalja, wrzała robota w całej pełni. Padły żarty, dowcipy... Spotykano dawnych i starych znajomych. Jakiś Szapiro już 84 razy rejestrował się z obławy, a ani razu nie był karany!

Nic to. Bywali za to tacy, którzy cynicznie witali się z urzędem, przed którym ukrywali się od dłuższego czasu. Kto nie był poszukiwany, ten po rejestracji był natychmiast zwalniany.

Inni zaś pozostawali już na noc w specjalnych celach. Nazajutrz, od samego rana poddawano klijeniele badaniom.

Chociaż dużo się mówi o jakichś bliżej nieznanym szerokiemu ogółowi metodach, używanych przy badaniach śledczych, to jednak należy z całą stanowczością skonstatować, że te wszystkie rzekome sposoby ustalone odgrywają drugorzędną rolę. Natomiast najważniejszą rolę przy badaniu zawodowych złodzieiów, oszustów, paserów, ba, nawet bandytów, odgrywają właściwości i cechy charakteru prowadzącego śledztwo. Przestępca

bowiem fachowy — to przeważnie świetny znawca natury agenta śledczego. Nie raz trafiało mu się w bogatej swej praktyce życiowej mieć do czynienia z naczelnikiem urzędu śledczego, jak również i z agentami. Zarówno jednak taki przestępca zna dobrze swoich tropicielów, jak i ci znają jego.

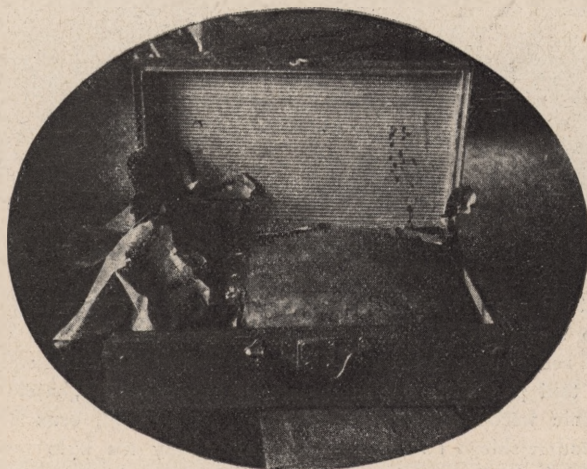
W warszawskim urzędzie śledczym powszechnie jest znany sławny polski Sherlock Holmes — Kurnatowski. Ma bogate doświadczenie, świetną pamięć, zimne nerwy i znajomość nieprzeciętną psychologii przestępców. Raz widzianej w życiu twarzy nie zapomni nigdy. Niedosć na tem. Pamięta świetnie sto-

sunki rodzinne i towarzyskie złoczyńców, z którymi go zapozna karząca ręka sprawiedliwości. A co ciekawsze: klienci pana Kurnatowskiego, zwłaszcza ci bywalisi, rekrutujący się z mieszkańców zakładów mokotowskich, lubią go i szanują. Nade wszystko wierzą mu!

Niech się nikt z tego nie śmieje: pan Kurna-

towski nieraz jest zmuszony dać słowo honoru złodziejowi, że spełni swe przyrzeczenie i... wiernie dotrzyma tego słowa. Taka zaś ufność wśród przestępców zawodowych stanowi dla urzędowego Pinkertona ważny czynnik w procesie śledztwa.

Ot, na przykład, złodziej przyznał się do kradzieży. Pozostaje jeszcze kwestja ustalenia „meliny“ i osoby, której powierzył łupy. Nie zawsze środki rozporządzalne i metody indagacji mogą być zastosowane; częstokroć też złoczyńca bywa twardy i nie chce „sytać“ pasera lub „wykapować“ towarzyszków (zdradzić). W takim wypadku danie złodziejowi przez kierownika urzędu słowa honoru, że nic złego nie spotka „wykapowanego“ pasera, otwiera mu usta i wskazuje kryjówkę łupów.



Kadłub zamordowanej kobiety w walizce, znalezionej na dworcu Wschodnim w Warszawie w marcu 1925.



Spisywanie protokołu w urzędzie śledczym

Biada zaś temu, kto z agentów śledczych nie dotrzyma takiego słowa! Nie chodzi tu o jakąś rozprawę w rodzaju vendetty korsykańskiej! Niel Ale taki pan śledczy straci raz na zawsze zaufanie wśród całego grona zawodowców fachu złodziejskiego i... trudności w innych śledztwach będą się mu piętrzyć niebotycznie. Zresztą, Balzac przedstawił po mistrzowsku w swych powieściach obyczajowo-kryminalnych stosunki i arkana śledztwa. To też nie będziemy powtarzać tych rzeczy, wyjętych z życia i aktualnych nawet i dziś.

...— O, widzi pan, to typowy „farmazon” — rzucił uwagę p. Zandbank.

— Cóż to takiego? — zapytałem, przypatrując się jakiemuś typowi, dość pospolitemu z okolic Nalewek.

— Ha, ha, to osobliwość już dziś tylko naszej stolicy. „Farmazonstwo” albo inaczej „brylanciarstwo”. Na czym to polega? Na głupocie ludzkiej i na chęci nieuczciwego zysku. Bo niech pan sam osądzi. Ten typ oszustwa zawędrował do nas po wielkiej wojnie z Rumunii, głównie z Bukaresztu i pochodzi od słowa rosyjskiego „farmazirować” (symulować, udawać). „Farmazonów” w Warszawie jest zaledwie kilkunastu i zamieszkują głównie okolice ulicy Miłej, rekrutując się

przeważnie z przemysłnych przedstawicieli mniejszości narodowych. Grupa „farmazonów” składa się z sześciu osób: „bolszewika” albo „smolucha”, „bajera”, jednego lub dwóch „jubilerów”, oraz dwóch straży, pilnujących, aby nie było „wsypy” przed policją lub agentami, to też ich zadaniem jest „stać na kapie”, (pilnować lub wypatrywać).

Najprzód wysuwa się na „robotę” „bolszewik” lub „smoluch”. Jest to świetnie ucharakteryzowany typ robocizna, rzekomo powracającego w łachmanach z Rosji sowieckiej. Pilnie rozgląda się wokoło, wypatrując jakiegoś przyjezdnego lub emigranta do Ameryki. Gdy zauważy ofiarę, podchodzi i łamanym językiem polskim pyta się o adres banku rosyjskiego. Przeważnie otrzymuje odpowiedź, że nieznajomy jest przyjezdnym i nie zna takiego banku. „Smoluch” oddala się. A tymczasem podbiega do przyjezdnego t. zw. „bajer” („picownik”) i rzuca tajemniczo pytanie:

— O co się pana pytał ten „bolszewik”?

— O jakiś bank rosyjski—pada odpowiedź. W tym zaś momencie „bolszewik”, zwołniwszy poprzednio kroku, równa się z rozmawiającymi i zwraca się do nich, pokazując prawdziwą dziesięciorublowkę złotą: „Ot,

chciałbym to zmienić". „Bajer" ogląda skwapliwie złoto, stuka i drapie, a nawet prowadzi do przygodnego banku czy kantoru wymiany i sprawdza ukasjera, czy moneta złota jest prawdziwa. Naturalnie, złoto jest dobre, a pieniądz kasjer ocenia według kursu. „Bolszewik" sprzedaje jednak „bajerowi"

znacznie taniej, bo rzekomo obawia się zbyć monetę oficjalnie. Po pierwszej tranzakcji „smoluch" proponuje im nabycie jeszcze kilkunastu sztuk, które wyciąga garścią z kieszeni. Wówczas „bajer" wyraża żal, że nie rozporządza gotówką i nie może dokonać tak zyskowej tranzakcji. Ale namawia do kupna towarzysza — owego nieznanego przy-

jezdnego. Ten łapie się zwykle na „dobry" interes i kupuje wszystkie, które, jak się to później okazuje, są fałszywe i ordynarne podrobione. Przytem jednak spostrzegają „farmazoni", czy ofiara ma dość pieniędzy. Jeśli tak, to „bolszewik" proponuje jeszcze naby-



Daktyloskopowanie sprowadzonych do rejestracji.

Dwaj przestępcy i ich kochanki

sklepu jubilerskiego. Gdy podchodzą do sklepu, przed wystawą albo przed drzwiami spostrzegają osobnika bez kapelusza z miną nudzącego się subiekta lub właściciela. Jest to jeden z szajki t. zw. „jubiler". Ten z początku wzdryga się od oglądania „brylantu", nie zajmuje się pono ekspertyzą, a zresztą nie może nawet, bo i sklep właśnie zamknął.

W drodze łaski jednak zgadza się obejrzeć w bramie, przeważnie na pierwszej kondygnacji schodowej, aby im nikt nie przeszkadzał. Tam bada kamień przez wyciągniętą z kieszeni lupę, kręci głową, robi poważną „fachową" minę, a w końcu oświadcza tonem



Gabinet z kartotekami. Stoi kierownik p. A. Karmazyn, siedzi poszkodowany X. i przegląda fotografie przestępców



Ko nendant policji, komisarz Borzęcki

największego autorytetu: — „Gdyby były dwa takie kamienie, to dałbym za nie przynajmniej 250 dolarów!” — poczem odchodzi z żalem, że jest tylko jeden kamień. Bywa nieraz, że „bajer”, zauważywszy pewne niedowierzanie ze strony przyjezdnego z prowincji, prowadzi do drugiego sklepu jubilerskiego. Historia powtarza się ta sama. Tym razem jednak rzekomy „jubiler” cenę nieco zwiększa.

Gdy „bajer” po ekspertyzie z ofiarą i „smoluchem”, prosi przyszłą ofiarę, aby się zatrzymał na pięć minut i przypilnował tego „głupiego bolszewika”, a on pobiegnie niedaleko do domu i wróci z pieniędzmi, gdyż nie sposób wypuścić okazji tak dobrego interesu. Na klatce schodowej pozostaje tylko „smoluch” i przyjezdny. Wówczas „smoluch”: — „Właściwie, to ja mam nawet cztery takie brylanty, ale poco ja mam je sprzedawać „żydu”, przecież batiuszka nie pozwolił nic sprzedawać „żydu”. Panu zaś to co innego, panu to ja sprzedam nawet taniej”.

Ofiara się łapie: w pogoni za łatwym, bo-daj nawet nieuczciwym zyskiem, wyjmując szybko z portfela kilkaset dolarów, doręcza je „bolszewikowi”, który mu wręcza brylanty i natychmiast się ulatnia. Bywa, że za takie brylanty odda oszukiwany wszystkie pieniądze i zaraz udaje się do jubilera, aby je spieniężyć. Tutaj dopiero następuje srogi rozczarowanie, rozpacz i zgrzytanie zębami. A łapia się w ten sposób codzień w miljonowej stolicy kupcy, przemysłowcy, ziemianie, adwokaci, dyrektorzy banków, sędownicy, ba, rabini nawet, a wszyscy przyjezdni przeważnie z Małopolski!

Nieco odmiennie oszukują naiwnych emigrantów lub interesantów konsulatów metodą już dość spopularyzowaną w Warszawie na „konsula”, „sekretnarza” lub „kopertę”. „Robota” polega na tem, że w chwili, kiedy emigrant lub interesant zjawia się przed samem wejściem do lokalu konsulatu lub urzędu, wychodzi zeń elegancki pan z tęgą i w lakoniczny sposób oświadcza, że konsulat zamknięty lub że na parę tygodni wstrzymane zostało wydawanie wiz i t. p. Zauważywszy zakłopotanie petenta, przedstawia się mu za konsula lub sekretarza i poleca sobie doręczyć dokumenty i pieniądze, a klientowi zaczekać na załatwienie. Próżno jednak naiwni będą czekali potem. Ów domniemany dygnitarz — jakiś Symcha Liebknecht z ulicy Dzikiej — znika z pieniędzmi i dokumentami; te drugie następnie uprzejmie odsyła poszkodowanemu.

W podobny sposób „robią” naiwnych na „kopertę” lub na „zamiarę”. Emigrant wkłada potrzebne pieniądze na paszport lub na wizę do koperty, którą w jego oczach „sekretnarz” lub „konsul” zakleja, a następnie zręcznym manewrem doręcza identyczną kopertę zaklejoną, w której później znajdzie kawałek starej gazety.

Ale cóż zrobić z głupotą ludzką? Naiwność wszak nie ma granic! Ten sposób oszukiwania prostaków na „kopertę” został już eksportowany przez naszych warszawskich „kanciarzy” zagranicę, przeważnie do Francji, gdzie padają ofiarą naiwni rodacy, po większej części robotnicy, poszukujący pracy.

„Słuchałem z niezmiernym zainteresowa-



Komisarz M. Szabrański

niem opowiadań doświadczonych agentów, którzy z prawdziwym i widocznym zamiłowaniem wyławiali z rogu obfitości sztuczek nieprzebrane dowody „przemysłności” złodziejskiej, operującej na ułomnościach natury ludzkiej. A z każdej „roboty” wprawny i zdolny agent odtworzy sobie w głównych zarysach wizerunek przestępcy.

Rejestracja dobiegała końca. Była już 2-ga godzina w nocy. Ostatni „drewniak” czy nawet „doliniarz” odciskał palec wskazujący na swej karcie rejestracyjnej.

Mimo jednak spóźnionej pory proszę pana Czesława Ceytlina, zastępcy kierownika wydziału rozpoznawczego, aby mi jeszcze coś niecoś opowiedział z życia występku. I chociaż w urzędzie śledczym praca jest bardzo intensywna i wyczerpująca, to jednak jej charakter i okoliczności mają w sobie coś fascynującego, gdyż mimo zmęczenia, uprzejmi urzędnicy z niesłabnącem ożywieniem opowiadali mi różne „bomby”, na „zgubne”, na „zamiany”, „szanżerówki” w bankach, „podchody”, z czego słynie ulica Widok, „potoki”, „doliny”, a szczególnie interesujące sprytem kradzieże i oszustwa cięższego kalibru, jak prucie kas lub podrabianie czeków i walut.

Dowiedziałem się przytem, iż najsprytniejsi międzynarodowi kasiarze rekrutują się właśnie z warszawiaków. Coprawda nie po-

techtalo to zupełnie mojej ambicji narodowej.

— Może pan redaktor obejrzy fotografię, oto tej grupy? — zwrócił się do mnie p. Ceytlin, pokazując grupę trzech mężczyzn i masę różnych przyrządów. Byli to kasiarze i ich narzędzia.

— A jak się panu zdaje, po co ten drab trzyma w rękach gołębia? — indagauje mnie p. Karmazyn.

Natężam uwagę. Mimo całą présence d'esprit nie mogę w żaden sposób wpaść na pomysł kasiarski, do czego im potrzebny jest gołąb przy „robieniu” kasy.

„Oto po „zrobieniu” kasy ufarbują krwią zabitego gołębia niektóre miejsca przy kasie, aby policji zmylić ślady, wprowadzając ją w błąd, jakoby jeden z kasiarzy zranił się przy „robocie”.

Wiadomo bowiem, że krew gołębia jest bardzo podobna do krwi ludzkiej. Zaś policja, przypuszczając, że jeden z kasiarzy się zranił, będzie szukała rannego.

„Stokroć gorsze są okoliczności śledztwa, celem ujawnienia morderców. Złodzieje i bandyci — to dwa bardzo różne gatunki przestępców. Aczkolwiek jedni i drudzy według najnowszych zdobyczy nauki to typy chore i ułomne, to jednak typ bandyty potęguje się jakąś zwierzęcością i pożądaniem gorącej krwi. Naturalnie, środki badania takich osob-



Cz. Ceytlin, kier. wydz. rejestr. rozpoznawczego

ników i ustalanie ich winy muszą z konieczności odbiegać w znacznej mierze od tych, które są stosowane do złodziei i oszustów, nader lekkomyślnych, po większej części tchórzliwych i częstokroć naiwnych. Inaczej bandyci. To są przeważnie natury twarde, nieugięte, upadłe i złe w samym założeniu rozumowania. Okrutne, mściwe, o uczuciach i nerwach stępionych, tak, że nawet ból fizyczny inaczej odczuwają, niż ludzie normalni.

...W ostatnich czasach — wtrącił p. Zandbank — fach złodziejski ogromnie podupadł. Paserzy nie mają pieniędzy. Przeżywają kryzys finansowy! — zaśmialiśmy się wszyscy. — Tem się tłumaczy fakt, że kwitnie tylko „dolina” — kradzież kieszonkowa i oszustwa na gotówkę. Prawie, że się nie słyszy natomiast o włamaniach lub podkopcach — słyszałem wyjaśnienia, — ponieważ zdobytych łupów nie mają sposobu „opylć” (sprzedać).

...Przed rozejściem się do domów pokazano mi akcesoria fachu złodziejskiego i bandyckiego. O ile złodzieje używają przy „pracy” wytrychów, „pasówek” — imitacji klucza „szperaków”, żyletek do „dolino”, łomów, „żabek”, a kasiarze — „raków” — duży wyostrzony nóż do otwierania pudełek z konserwami, „sardynek”, „borów”; retort wielkich z gazem piorunującym, żywych gołębi i t. p., o tyle bandyci z reguły siekiery lub rewolweru, rzadko lancetu lub noża, natomiast do porachunków osobistych złoczyńcy używają najchętniej noża fińskiego, albo inaczej „sprężynówki” lub „majchra”.

...Nazajutrz przed południem przyszedłem do urzędu. Interesowała mnie siłą rzeczy indagacja Ryfki Kij.

Była to sprytna „melinierka”, t. j. ukrywająca złodziei. Nie pomagały żadne tłumaczenia, aby przyznała się, gdzie i kiedy o-

trzymała gobeliny, ani też nie chciała „wykapować” Szabera, ani Rychłowskiego. Nie umiała jednak wytłumaczyć, w jaki sposób doszła do posiadania gobelinu, który sprzedawała paserowi.

Zdawało mi się, że z upartą kobietą nie poradzą. Prawda, wszystkie dane przemawiały za tem, że Ryfka wiedziała dobrze o kradzieży. Ale co zrobić z jej uporem? A jednak znaleziono sposób. Znają bowiem dobrze w urzędzie psychologję prostytutki-melinierki.

Otóż zaciętą Ryfkę Kij zamknięto w celi

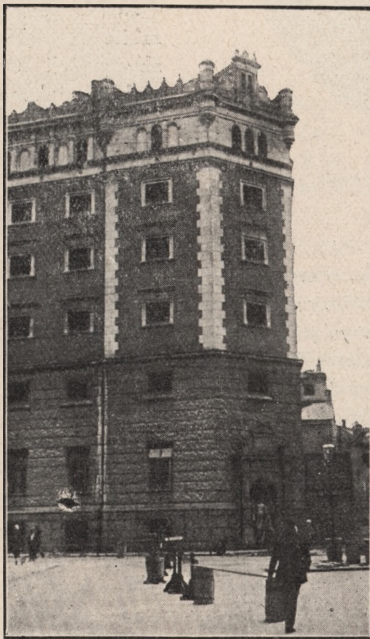
Nie było wiele czasu do stracenia. Po dwudziestu czterech godzinach musiała być wszak oddana do dyspozycji sędziego śledczego. Ryfka jednak, obawiając się o los swego kochanka Szabera, chciała go za wszelką cenę przestrzec przed grożącym mu niebezpieczeństwem ze strony policji. Jedną z kobiet, siedząca razem z Ryfką, miała być ku wieczorowi wypuszczona. Przypuszczano więc, że Kij będzie chciała posłać Szaberowi przez nią wiadomość i w tym celu da tej kobiecie dla niego „gryps”, t. j. kartkę z przestroga.

Gdy miano zwolnić z aresztu ową kobietę, zawołano ją do jednego z agentów, który wręcz jej oświadczył, działając na

„hurra”, że, o ile odda powierzony przez Ryfkę „gryps”, o tyle natychmiast będzie wolna, inaczej jeszcze posiedzi.

Bez najmniejszego wahania wyciągnęła zza pończochy żadaną kartkę. Pułapka się udała!

Rzeczywiście, na „grypsie” był adres Szabera. W ciągu dwóch godzin w urzędzie znalazł się i Szaber i Rychłowski. Na drugi dzień obydwa się przyznali do winy, notabene, w Szoberze rozpoznałem doskonale owego osobnika, który krytycznego wieczora przeciskał się koło wagonu na peronie.



Więzienie przy ul. Daniłowiczowskiej

— — — — —

Po odnalezieniu skradzionego gobelinu, pa-sera i złodziejów, rola urzędu śledczego była odegrana w całej tej sprawie. Aby się stało zadość Sprawiedliwości, urząd śledczy przygotował należycie akty i dokumenty i wraz z danymi odnośnie obwinionych, przekazał je prokuratorowi przy sądzie okręgowym.

Prokurator zaś po rozpatrzeniu sprawy przydzielił ją właściwemu sędziemu śledczemu do dalszego „urzędowania”.

Odtąd zatrzymani w całej tej sprawie obwinieni przeszli do dyspozycji tegoż sędziego, który, działając w myśl obowiązujących przepisów postępowania karnego mógł ich wypuścić na wolność do rozprawy, za uprzednim złożeniem przez nich wyznaczonej kaucji lub za dostarczeniem odpowiedniej poręki.

Sprawiedliwości stało się zadość. Winni

otrzymali karę, na jaką zasłużyli. Prawda, poszkodowany strata swoich nie wrócił. Ale powinienem skonstatować z całą sumiennością, że cały ciężar w odszukaniu winowajców i w ujawnieniu ich przestępstwa spoczął na warszawskim urzędzie śledczym, który, uzbrojony w wiedzę, doświadczenie i... tradycję, spełnił chlubnie swe zadanie. Osobiście wyniosłem bardzo interesujące wrażenie: nasze miarodajne władze zbyt mało interesują się tym bogatym aparatem całkowicie przygotowanym do walki z przestępczością w stolicy państwa, zbyt mało bowiem udzielają mu środków, aby mógł się nadal rozwijać. Wszak trochę więcej uwagi i dobrej woli, a stołeczny nasz urząd śledczy może się łatwo stać wzorem dla podobnych aparatów najkulturalniejszych państw na Zachodzie. Na to trzeba jednak mieć trochę więcej ambicji.



Zakazany owoc

Że też właśnie Amerykanie, dla których, jak to świeżo wykazał głośny proces o teorię Darwina, biblia stanowi księgę wszelkiej mądrości, wpaść mogli na pomysł zakazania alkoholu! Wszak już na samym początku pierwszej Księgi Mojżesza znajduje się ów klasyczny przykład, pouczający o fatalnych skutkach — zakazanego owocu. A gdyby „Yankesowie” oprócz biblijnych poznać także chcieli mądrości, zawarte w Księgach innych narodów starożytnych, jak n. p. Rzymian, dowiedzieliby się o głębokiej sentencji, mieszczącej się w zdaniu „Nitimur in vetitum”: „Ciągnie nas do tego, co jest zakazane!”

Stać się też więc musiało i z zakazu alkoholu w Ameryce to, co zarówno biblia jak i Rzymianie przewidywali. Ludziska na tamtej półkuli, jako nieodrodni (wbrew teorii Darwina!) potomkowie pramatki naszej Ewy,



*Rurka gumowa, opasująca ciało,
napełniona alkoholem*



Kilka łyczków whisky w kluczu od bramy

poculi dopiero wobec zakazu nieprzeparty pociąg do — kieliszka. I rozpoczęła się tragedia, godna pióra Gabrieli Zapolskiej, albo Bernarda Shaw'a.

Rząd zmobilizował istną armję dla strzeżenia ustawy przeciw alkoholowi, i to nie tylko na lądzie, ale i na morzu, gdzie dniem i nocą krążą flotyle, czyhające na „wroga” — przemysłnika „zakazanego owocu”. Ludność zaś ze swej strony przeprowadziła „mobilizację” najszczególniejszego na świecie rodzaju. I po krótkim już czasie okazało się, że ta ostatnia obmyślona była z bez porównania większym sprytem, niż rządowa. „Nitimur in vetitum” Rzymian świeciło niebawem triumfy. Sposoby, jakimi Amerykanie zdolali sięgnąć po „zakazany owoc” i zadawać przytem rządowi wraz z jego całą „armją antialkoholową” wprost niewiarogodne „prztyki”, stanowią kiedyś będą niewyczerpaną skarbnicę dla komedjopisarzy.

Przedewszystkiem powstały wszędzie niezliczone „tajne gorzelnie”, pędzone bardzo tanim kosztem, bo zapomocą gazu. Oczywiście, że urządzono je wyłącznie dla „użytku



*Łóżko sleepingowe jako środek „transportowy”
dla alkoholu*



*Pianino jako „magazyn”
alkoholowy*

domowego“, a pewna „pomysłowa” firma produkuje „masowo” aparaty, bardzo prymitywne, po których nikt poznać nie może, do czego właściwie służą. Ukrywanie ich jest więc niepotrzebne, a każdy amator whisky ma możliwość w „wolnych chwilach” wyprodukować sobie potrzebną mu „porcję” tego trunku.

Niekażdy jednak alkoholista zadowolnić się może takim własnym „domowym fabrykatem”. Prawdziwy znawca i smakosz mieć musi swoją ulubioną „markę”. Tej zaś dostarcza mu, oczywiście za drogi pieniądź, konsorcjum przemysłowe, istniejące w każdym mieście amerykańskim i robiące bajkowe wprost interesa. Ale, że „armia antialkoholowa” — niczem osławiona carska ochrona — wtargnąć może każdej chwili do mieszkania, (les extrêmes se touchent: autokratyzm moskiewski i republikanizm amerykański do identycznych doszli sposobów „czuwania” nad „dobrem” swych obywateli!) cała sztuka polega na odpowiednim ukrywaniu drogiego „zakazanego owocu”. Jak więc u nas za nieszczęsných czasów „ba-

tiuszki” wysilać się musiano na najlepsze sposoby ukrywania „bibuły”, tak „wolni Amerykanie” dziś łamać sobie muszą głowy nad wynajdywaniem odpowiednich schowek dla zdobytej flaszki wódki, wina czy likieru.

Jako doskonały pod tym względem „magazyn” okazało się — pianino. Wprawdzie flaszka w niem ukryta nie przyczynia się zbytnio do podniesienia jego walorów dźwiękowych, ale zato świadomość, iż ona tam się znajduje, działa niezwykle podniecająco na gracza lub graczkę. Do przewożenia zaś drogocennych napojów na większe odległości nadaje się znakomicie — łóżko w wozie sypialnym. W materacach jego ukryć bowiem można całe baterie flaszek, na których z pewnością nie spędza się nocy bezsennej, zwłaszcza o ile się przed zaśnięciem sięgało po — tyczek...

Są to wszystko atoll jeszcze sposoby, nie wymagające zbytniego wysiłku mózgowego. O niemalym natomiast sprycie świadczy pomysł — przechowywania sobie kilku kieliszków napoju w — kluczu do bramy, który w tym celu musi być naturalnie wydrążony.

A już wprost genialnym nazwać trzeba wynalazek, umożliwiający noszenie na ciele pewnej ilości alkoholu. Jest to mianowicie cienki wąż gumowy, napełniony whisky, koniakiem lub inną dobrą „marką” i zaopatrzony w „ustnik” dający się odkręcać przy „gulnięciu sobie” i zakręcać po tym w krainie zakazu alkoholowego podwójnie rozkosznym procederze.

Jak więc widzimy, nie małoby już było wdzięcznych tematów dla komedjopisarza, m'głby n. p. stworzyć scenę miłosną, w której kochanek jako dowód najwyższy swych szczerych uczuć wyciąga nagle z pod kamizelki — węża gumowego i częstuje swą „ubóstwianą” — łyżkiem. Albo scenę, gdzie jakiś wirtuoz fortepiano wy, popisujący się na pianinie, w którym ukryte są flaszki z whisky, i w chwili gdy w najwyższej ekstazie „wali” wspaniałe akordy — z wnętrza instrumentu wytryska — fontanna alkoholowa. O scenach, jakieby się dały stworzyć w związku z materacami łóżka w wozie sygnalnym — trudno się rozpisywać.

Nie różnanych już wprost tematów ko-

medjowych zaś dostarczyć może stwierdzone niedawno przez władze amerykańskie — czynny udział armii antyalkoholowej w — przemycaniu „zakazanego owocu”. Ten fakt w całej Ameryce wywołał śmiech homeryczny, dowiódł bowiem najwymowniej ca-

łej absurdalności pomysłu zakazania alkoholu. A jakby dla ułatwienia pracy przyszłemu autorowi takiej komedji, odkryto w dodatku także pewne „przedsiębiorstwo” w Nowym Jorku, które zarabiało bająskie sumy na wspaniałe zorganizowanym systemie regularnej dostawy wszelkich trunków „abonentom” swym w całej Ameryce. „System” polegał na wysyłkach „towaru” w eleganckich walizkach podróżnych pod adresem pierwszorzędných hoteli, kluczyki zaś do

tych walizek otrzymywali „abonenci” pocztą w kopercie. „Clou” jednak całej sprawy stanowi znaleziony przez władze w biurze pomienionego „przedsiębiorstwa” — spis „abonentów”, wśród których figurują pierwszorządne osobistości — nie wyłączając — wysokich dygnitarzy państwowych. — —

Litt.



Aparat do fabrykacji domowej alkoholu

W indyjskiej fermie

(Z cyklu podróży J. K. Strzeleckiego)

Napisała

Janina Stefańska

W umyśle przeciętnego Europejczyka Indianie pozostali tylko jako reminiscencja, przeczytanych w dzieciństwie, książek. Wprawdzie podówczas, istnienia ich nie ośmieliłby się nikt podawać w wątpliwość. Byli oni dla nas, wraz ze swymi wyimaginowanymi, lub widzianymi na obrazkach, ozdobami i bronią, bardziej realni, niż otaczające nas przedmioty. Z wiekiem jednak, krytycyzm wobec całego naszego świata dziecięcego kazał nam zaliczać wyimaginowane obrazy do rzędu fantazji, aż wreszcie zapomnieliśmy prawie o Indianach, tych wiernych towarzyszach naszego dzieciństwa.

A jednak „Czerwonoskórzy” istnieją! Wprawdzie bez „tomahawków” i zatrutych strzał, bez skalpów, dekorujących ich „wigwamy”, i innych atrybutów ich pierwotnego stanu. Cywilizacja, nie mogąc ich zetrzeć z powierzchni ziemi, ani też wchłoniąć, coraz bardziej zacieśnia wokół nich swe kręgi, pozostawiając im przestrzenie coraz mniejsze, t. zw. rezerwaty.

Proszę mi wybaczyć teraz, że będę zmuszona podać parę cyfr, ot poprostu dla uprzytomnienia sobie ich liczby i rozsiedlenia. Może jednak rozbudzona ciekawość czytelnika pomoże mu na chwilę powrócić do lat dziecińczych i porównać, co pozostało z tych bezkresnych przestrzeni, po których wszechwładnie bujali Indianie. Otóż, głównym ich siedliskiem obecnym w północnej Ameryce jest stan Oklahoma, gdzie ilość ich dochodzi do 120.000. Z kolei w Stanach Zjednocz. pod względem zaludnienia Indian idzie stan Arizona (42.000), Nowy Meksyk (21.000), Kalifornia (19.000), Półn. Carolina i inne. Razem Stany Zjednoczone mieszczą 346.902.



Wódz plemienia Stoney

Dane te pochodzą z r. 1924 i zostały zaczerpnięte bezpośrednio z „Office of Indian Affairs”, któremu też należy się tu serdeczne podziękowanie. W Kanadzie, połowa Indian zamieszkuje prerie stanów: Manitoba, Saskatchewan, Alberta i Ontario. Reszta przypada na Quebec, Columbję brytyjską i w części na inne prowincje. Przyczem olbrzymia ich większość żyje w tak zw. „rezerwach”.

Cóż to są „rezerwy”? Są to zakreślone granice, w których wolno pozostawać Indianom, rządzić się swymi prawami i utrzymywać względną swobodę. Ograniczenia te objaśnia rząd przede wszystkim koniecznością zapewnienia im swego „home” i ziemi uprawnej (oczywiście, tego gorszego kawałka ziemi!), łatwiejszą ich kontrolą i koniecznością unikania nieporozumień między tubylcami i kolonistami. Środek ten zastosowano poraz pierwszy w Stanach Zjednoczonych w r. 1786, zaraz za tem poszły rządy Kanady. W miarę rozrostu białej ludności, rezerwy te zwężano. W każdym razie wzmiankowany rok stał się dla Indian przełomowym, wpływając radykalnie na ich obyczaje i zmuszając ich do bardziej intensywnego eksploatowania ziemi, do której zostali przy-

wiązani. Początkowo każde plemię otrzymywało określoną przestrzeń ziemi, bez szczególnego wymienienia ich poszczególnych właścicieli. Z czasem metody zaczęły się zmieniać, a kontrola rządowa zaczęła się zacieśniać, regulowana przez Kongres. Rzucano myśl przesiedlenia Indian ze Wschodu od Mississipi do zachodnich rezerwatów. Tak więc w r. 1804 zaczęło się pierwsze przesiedlanie tubylców z ojczystych krain do obcych. W r. 1820 wyznaczono plemieniu Choctaw miejsce pobytu w zachodniej części Arkansas z obecną prowincją Oklahoma. W r. 1825 prezydent Monroe, znany z hasła „Ameryka dla Amerykanów”, przedstawił nowy plan osiedlenia Indian, projektujący ustanowienie „Indian Territory”, jako stałe miejsce pobytu dla wszystkich plemion. Terytorjum, uprzednio wzmiankowane, zostało odpowiednio w tym celu powiększone, o prowincję Kansas. Przyczem najliczniejszym plemionom (*Cherokee, Creek, Choctaw, Chickasaw i Seminole*) z południowych Stanów zapewniono autonomję, pozwalającą im pozostać na dawnych ziemiach. Naturalnie, w miarę postępów kolonizacyjnych „białych”, terytorjum indyjskie uszczuplano coraz bardziej, samych zaś Indian wypychano coraz dalej na południe. Od r. 1890 datuje się nowa polityka układów z Indianami, którzy zmuszeni byli oddawać całe części swego terytorjum na potrzeby kolonizacyjne rządu amerykańskiego, aż wreszcie, gdy element kolonizacyjny wzmocnił się już dostatecznie, wcielono całe terytorjum do związku jako stan Oklahoma.

Ostatecznie w r. 1908 zostało 161 rezer-

watów, mieszczących się na 52.013.010 akrach.

W Kanadzie postąpiono z tubylcami o tyle oględniej, że pozostawiono ich na dawnych miejscach, przyczem jednak zacieśniono bardzo ich stan posiadania do wąskich działek, a każdą z nich oznaczono liczbą porządkową. Liczba ta dochodzi obecnie do 100.

Nie tak to łatwo jednak było okiełznać wolnych synów prerji! Zanim zmuszono ich

do osiedlania się w rezerwach, nie mało przelało się krwi! Ostatnie powstanie Indian wybuchło w r. 1885, wywołane zresztą przez metysów, zamieszkujących Manitoba. Jeżeli mowa o metysach, to naturalnie o połączeniu kanadyjskich Francuzów z Indianami, gdyż przynajmniej odrazie Anglo-Saksonów do ras kolorowych, ta ostatnia kom-



Typ kobiety indyjskiej z plemienia Stoney

binacja nie byłaby możliwa.

Widocznie jednak zmieszanie krwi europejskiej z czerwonoskórą daje nieszczególne rezultaty, gdyż metysi odznaczają się jaknajfatalniejszą opinią. Wracając do kwestji ostatniej rewolty, metysi, oczywiście nieprzychylni kolonizacji, zbuntowali się, zapraszając słynnego wodza powstania z r. 1870, Ludwika Riela, aby stanął na ich czele. Co gorsza, powołali również wielu Indian do pomocy. Z największym tylko wysiłkiem udało się powstrzymać Indian innych prowincyj. Powstańcy w liczbie 2.000 z błyskawiczną szybkością otoczyli kolonistów i konną policję, rozlokowaną w Battlerford, Edmonton, Prince-Albert i kilku innych miastach. Pomoc mogła nadejść tylko ze Wschodu, co było bardzo trudne ze względu na brak komunikacji, zaprowadzonej dopiero po utwo-



Indianin z gór Kanadyjskich



Europejczycy i Indianie żyją w przyjuźni

rzenu linii Canadian Pacific. Jednakże z wyjątkowym pośpiechem zebrano parę tysięcy osadników, którzy, mówiąc nawiasem, nigdy ognia nie widzieli. Po licznych walkach, w których ochotnicy stracili około 200 ludzi, rewolta została stłumiona. Naczelnik zaś powstania, Riel, któremu darowano życie podczas pierwszego powstania, został tym razem powieszony z kilkoma innymi. Był to jednak moment krytyczny, nie tylko dlatego, że 2000 powstańców walecznych, zaprawionych do broni, stanęło naprzeciw ludzi nie doświadczonych i pozbawionych wojennego temperamentu, ale głównie ze względu na rzucone zarzewie, które mogło rozpalić prawdziwy pożar we wszystkich prowincjach, zamieszkałych przez Indian.

Obecnie fakt taki byłby niemożliwy, nie tylko z powodu umiejętnie zorganizowanej milicji, ale przede wszystkim dzięki przywiązaniu znacznej ilości Indian do ziemi. Większość ich bowiem zajmuje się rolnictwem, a departament Kanadyjski do spraw tej ludności oblicza ich ogólny majątek na 68.000.000 dolarów, wzrastający z roku na rok. Jest więc rzeczą niezmiernie ciekawą, w jaki sposób te koczownicze plemiona,

obecnie w znacznej części osiadłe, żyją na swej fermie. Rząd, trzeba to przyznać, robi wszelkie ku temu wysiłki, aby stworzyć im możliwe warunki życia na roli. Przedewszystkiem więc, zbudowano im ładne, białe domki, które porozrzucano w rezerwach, jako fermy-modele. Efekt jednak naogół był taki sam, jak zbudowanie pięknej klatki wilkowi, którego, bodaj, mniej ciągnie natura do lasu, niż Indianina prerje. Ten ostatni czuł się w tym białym, czystym domku po prostu, jak... w zbyt nakrochmalonej koszuli. Przytem dołączyły się tu jeszcze głęboko zachowane wierzenia, według których natychmiast należy porzucać dom, w którym ktoś zmarł. Łatwiej to przecież bez porównania uskutecznić ze skleconym, aż nadto prymitywnie, szałasem. Dość, że ten ostatni pozostał w dalszym ciągu ich siedliskiem.

Kiedy już mowa o zabobonach i wierzeniach, to trzeba stwierdzić, że oficjalnie nieznaczną tylko garstką zachowała swoją religję, wierząc w Wielkiego Ducha, od którego zależy udane polowanie, dobry połów ryb, lub też niepogoda. Reszta zapisana jest do parafii katolickich i protestanckich. Należy jednak powątpiewać o ich wykształce-



Indianin rzucający oszczep

niu religijnem, bowiem Indianie, nawet już i ci, należący do chrześcijan, podobnie jak żydzi, oczekują ciągle Mesjasza, który wypełnić ma lasy zwierzyną, rzeki rybami, a przede wszystkim wygnać ich białych ciemniejszych.

Ktoby chciał odnaleźć najbardziej prymitywną formę ich bytu, musi udać się na wschód od Tucson i Arizona, a na północ od rzeki Gila. Znajdzie tam olbrzymie lasy i prerje — krainę Apaszów. Ten, kto tą nazwą obdarzył paryskich rzezimieszków,

stemi kłębami pelza po ziemi. Skąpe urządzenie kuchenne dopełnia obrazu.

W innych jednak okolicach, szałaszy zastąpione są płóciennymi namiotami, łatwo dającymi się przenosić.

Głównem zajęciem fermera indyjskiego jest hodowla bydła, które, wystarczając na jego prymitywne potrzeby, pozwala równocześnie na prowadzenie koczowniczego życia. Strój mężczyzny nie różni się wiele od stroju naszego wieśniaka, chyba tylko olbrzymim, filcowym kapeluszem. „Orlich piór“



Obozowisko Indian z plemienia Kuteney nad jeziorem Windermere

skrzywdził tem bardzo kanadyjskich Czerwonych, którzy odznaczają się dużymi zaletami charakteru, a że nie mogą długo usiedzieć na miejscu, nie jest to ich wina, gdyż mają to już przekazane we krwi przez całe pokolenia! Tem niemniej jednak, z przeznaczonego im tu rezerwatu, wykarczowali pracowicie dość znaczną ilość lasu. Każda działka ma tu swego właściciela, różniącego się od przeciętnego farmera głównie swym koczowniczym trybem życia, ograniczonym zresztą tylko do swej działki.

Turystę uderzają w oczy niedbale zbudowane szałaszy z gałęzi, pod które dostać się można do szałasów, jedynie schylając się w kablak. Pośrodku pali się ognisko, a dym gę-

już tutaj nie znajdziecie, chyba w niektórych tylko okolicach i to od święta, przybierają głowę wieńcem piór. Kobiety ubierają się bardziej oryginalnie, owijając się wzorzystymi chustami, gęsto naszywanymi paciorkami. Te ostatnie wogóle stanowią główną ozdobę kobiet, to też wiele czasu spędzają one nad tą pracą. Niektóre z nich nie są pozbawione nawet pewnej dystynkcji, umiając podziękować za otrzymany podarunek z wdziękiem, godnym wielkiej damy. Kobiety zamężne, zmuszone do ciężkiej pracy, a jednocześnie opieki nad dziećmi, sporządzają dla niemowląt rodzaj woreczka, związanego brzegami, jakby sznurowadłem. Zamożniejsze używają w tym celu pięknie wyhaftowa-

nej paciorkami materji, biedniejsze zaś dawałają się grubszy materjałem. Pakunek taki przymocowują sobie na plecach zbytnio nie troszcząc się o dziecko. W ten sposób udają się do pracy, wyjeżdżają konno w pole i t. p.

Indjanie mają swoich znachorów, którym więcej wierzą, niż lekarzom. Oprócz leczenia ziołami i odprawiania nad chorym zwykłych guseł „lekarze” ci używają jeszcze, jako panaceum na wszystkie choroby, dużej skóry, na której wycinają oryginalne figurki, mające zażygnąć daną chorobę.

Jeżeli kto potrafi pozyskać zaufanie tych pierwotnych ludzi, może być świadkiem nader ciekawego widowiska, jakim jest ich ulubiony, prastary „taniec Wielkiego Ducha”. Polega on na skakaniu z dzikimi okrzykami wokół ogniska. Mają to być okrzyki wojenne, które w dawnych czasach zagrzewały ich pradziadów do walki z innemi plemionami lub z „białymi”. W każdym razie przejawia się tu pierwotna ich dzikość —

brak tylko dzid i łuków, aby odtworzyć obraz, jaki urobiliśmy sobie o nich w dzieciństwie.

Bardzo rozpowszechnionem zajęciem jest polowanie i rybołówstwo, w którym dochodzą do mistrzostwa. Zwierzęnę łapią głównie w sidła i wykopane w tym celu doły. W miejscowościach zaś, w których rzeki obfitują w ryby, trudnią się wyłącznie rybołówstwem. Tak bardzo cenione mięso pstrągów dostarczane jest wyłącznie prawie przez Indjan. W okresie tarła całe plemiona udają się na połów.

W pobliżu Gór Skalistych dostarczają Indjanie przewodników, doskonale znających

każdą ścieżkę. Niektóre plemiona przystosowują się łatwiej do osiadłego trybu życia, czego przykładem są stosunki, panujące w rezerwacie, w prowincji Saskatchewan. Inteligentna pomoc i kierownictwo rządu, w osobie jego przedstawiciela, p. Grahama, komisarza indyjskiego, dała tu niezwykle rezultaty. Część lesistej okolicy rezerwatu wykarczowano, przeznaczając każdej rodzinie po 80 akrów ziemi. Na każdą działkę przeznaczono

pożyczkę w sumie 125 dolarów. Prócz tego dostarczoneo wszystkim odpowiedniej ilości bydła oraz narzędzi rolniczych, za które trzeba było zwrócić pieniądze po upływie czterech lat. Kolonizacja nadspodziewanie się udała, gdyż rozpoczęta w r. 1903 dała jako rezultat w r. 1918 produkcję 5 milionów buszli ziarna. Zachęcony temi rezultatami, rząd założył fermę wzorową, z której osadnicy mogą wypożyczać najbardziej nawet udoskonalone narzędzia rolnicze. Rząd nie żałuje zresztą pieniędzy na szkoły i na instru-



Żona wodza Indjan, opowiadająca legendy p. Strzeleckiemu

ktorów. Jak wykazuje ostatnia statystyka, w r. 1921 było czynnych 326 pełnych szkół, z których 58 — rolniczych, a 15 technicznych. Rocznie uczy się w szkołach przeszło 12.000 dzieci. Doszło do tego, że w rezerwacie Morley, w pobliżu Skalistych Gór, w siedlisku plemienia Soney, niegdyś najbardziej wojowniczego, znajdziemy dzisiaj najinteligentniejszych górników. Ci synowie natury nie podejrzewali nawet, że w tych skałach szarego wapienia, stromo piętrzących się w górę, znajdują się pokłady wspaniałego węgla, który potomkowie ich łamać będą kilofem i dynamitem.



Indjanka, zawijająca swe dziecko, przed udaniem się w podróż konno



Obóz Indian plemienia Stoney w ich rezerwacie w Morley

Wartoby przyjrzeć się jednak pierwotnemu rolnictwu Indian, w epoce zetknięcia się pierwszych eksploratorów Ameryki z jej mieszkańcami. Opinią bardzo rozpowszechnioną i urobioną zresztą z książek, przeznaczonych dla młodzieży, jest, że w tym okresie Indianie, zamieszkali na północ od Meksyku, prowadzili życie koczownicze, mało uwagi poświęcając rolnictwu. Tymczasem stare źródła, dotyczące szczególnie obszarów, położonych w krainach o klimacie umiarkowanym, podają, że pierwsi kolonizatorzy europejscy znaleźli Indian osiedlonych w wioskach, rozlokowanych na brzegu obszernych równin, na zachód od Atlantyku. De Soto np. opisuje, że wszystkie plemiona, przez niego zwiedzane od Florydy do Arkansas, uprawiały kukurydzę i inne rośliny jadalne.

Jedni z pierwszych kolonizatorów, kpt. Joh. Smith, oraz jego wyprawa, utrzymywali się przez długi czas tylko z produktów, kulturowanych przez tubylców. Jakób Cartier,

pierwszy Europejczyk, który wylądował w Quebec'u, podaje, że znalazł w Montrealu mieszkańców, żyjących z produktów ziemi i uprawiających „dobre i wielkie pola zboża”. Podobne wzmianki spotykamy u Champlain'a, który wspomina o *Irokezach*, że z powodzeniem uprawiają rolę. Huron w swej „Histoire du Canada” (1636 r.), opowiada o ciekawej metodzie uprawy roli. Oto, według niego, tubylcy kopią w ziemi dołki co dwie stopy lub więcej, w które wkładają dziewięć do dziesięciu ziarn zboża. Oryginalny ten siew odbywa się każdego roku w maju, a ziarno jest uprzednio przebrane i przez kilka dni moczone w wodzie.

Według Harshbergera, kukurydza została wprowadzona do Stanów Zjednoczonych przez plemiona Meksykańskie. Łatwość uprawy i konserwowania, obfitość zbiorów i pożywność kukurydzy objaśniają przyczynę tak szybkiego i szerokiego rozpowszechnienia się tego ziarna wśród Indian. Z małemi zresztą wyjątkami, metody uprawy pozostały te sa-

me. Zresztą sami koloniści przyznają, że metody te przejęli następnie od Indian. A nawet, gdyby nie ci ostatni, ludność napływowa nie prędko wpadłaby na myśl uprawiania tej rośliny.

Z pośród innych roślin, Indianie uprawiali już bardzo dawno: bób, groch, kartofle, tytoń, dynię i słonecznik. Dane te odnoszą się wprawdzie głównie do Indian, zamieszkających na wschód od Gór Skalistych, jednakże ludność Nowego Meksyku i Arizony, aczkolwiek wiodąca tryb życia bardziej koczowniczy, dopełniała swoje środki bytowania — rolnictwem.

Słonecznik, uprawiany głównie w krainie plemienia *Pueblo*, używany też był jako pożywienie. Ziarno jego, miążdżone w żarnach dostarczało rodzaju papki, spożywanej przez Indian tego plemienia z wielkim smakiem.

Co się tyczy tytoniu, ciekawość palaczy może być tylko w części zaspokojona. Wiemy bowiem tylko, że uprawiany był od najdawniejszych czasów wzdłuż wybrzeża Atlantyckiego. Sama zaś nazwa „tobacco” jest pochodzenia amerykańskiego. Przyjęta następnie w wielu językach. Roślina ta uważana była przez Indian za świętą, a wiadomo, że żaden z religijnych obrzędów nie obszedł się bez palenia tytoniu. Czy chodziło o zażegnanie epidemii, czy o udane polowanie, łaski „Wielkiego Ducha” wzywano zawsze w obłokach dymu tytoniowego. Dzisiaj jeszcze plantowanie tytoniu połączone jest z zachowaniem całego ceremonjału, przechowanego z najdawniejszych czasów, a więc: triumfalny marsz, przybieranie młodzieńca wieńcem z liści tytoniowych i t. p.

W okolicach, cierpiących na brak wody,

np. w Nowym Meksyku i Arizonie, rozwinęła się metoda zraszania pól jeszcze na długi czas przed zjawieniem się „białego człowieka”. Dowodzą tego nie tylko dane historyczne, ale również i pozostałe do dzisiaj ślady kanałów. Obliczają, że w Dolinie Salado przestrzeń objęta kanałami dochodziła do 25.000 akrów!

Raesumując powyższe dane, departament do spraw Indyjskich (Office of Indian Affairs Bulletin 1, 1921), stwierdza, że „jeżeli naogół Indianie są zbyt powolni w stosowaniu metod, wprowadzonych w rolnictwie przez „białych”, to przyczyny szukać należy nie w ich lenistwie, lecz w pozbawieniu ich lepszej ziemi na rzecz „białych”, a pozostawieniu ziemi najbardziej nieurodzajnej. Tam, gdzie całe plemiona, lub części tychże, pozostawiono na ich rodzimej ziemi (np. Irokezów), szybko postępowali w kulturze rolnej i ulepszeniach „białego człowieka”.

Wyznanie to jest nader cenne dla Indian.



Rząd kanadyjski wypożycza Indianom narzędzia rolnicze najnowszuch typów

Ostatecznie więc, ostatnia godzina Indian jeszcze nie wybiła. Tylko powierzchny badacz, znający ich jedynie z tego, że sprzedają po miastach i na stacjach trepki własnego wyrobu t. zw. „moccasins”. może sądzić, że rasa ta już wyginęła. Jeżeli tak się sta-

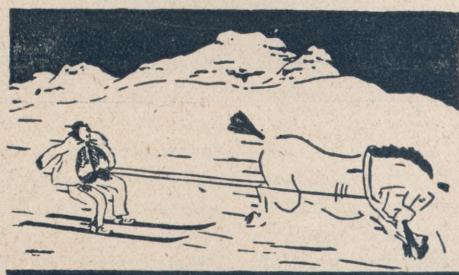
ło w znacznej mierze, to głównie za sprawą Europejczyka, który przyszedł do nich, wnosząc alkohol. Organizm ich, dawniej odporny na wszelkie choroby, stał się wkrótce podatnym tłem dla rozwoju ospy, tyfusu, suchoty i nieznanego im zupełnie syfilisu. Choroby te, czyniąc do niedawna straszne spustoszenia wśród ludności, dopiero obecnie zdołano opanować. Aczkolwiek więc teraz stan sanitarny poprawił się znacznie, to

jednak cierpią jeszcze bardzo na rozpowszechnione wśród nich choroby żołądkowe, nieraz nawet bardzo złośliwe.

Cywilizacja zabrała im wszystko: ziemię, wolność i zdrowie, obdarzając ich wzamian: niewolą, wódką i chorobami. Dzisiaj, kiedy nieznaczna już ich garstka pozostała, „biały człowiek” pragnie to w części, na swój sposób zresztą, naprawić. Oby tylko nie był to już spóźniony ratunek!

Jak dużo obecna Ameryka zawdzięcza w swej rolnej kulturze Indjanom, wykazaliś-

my już wyżej, a również i dzisiejsza Amerykanka zawdzięcza Indjanom okazywane jej przez mężczyzn względy i pierwszeństwo. Od nich to bowiem przejęte zostały różne zwyczaje np. przy przestępowaniu progu domu, mężczyzna wchodzi pierwszy, chcąc okazać kobiecie, że gotów jest zabezpieczyć jej drogę i ochronić przed napaścią. Podobne jest pochodzenie zwyczaju trzymania się mężczyzny po stronie jezdni lub lasu, aby w ten sposób zapewnić słabszej istocie bezpieczeństwo.



KRAJ 16
PRZEDMI

~~TWO KOMISPOD SA~~
WARSZAWA

NOWY
WIATÓ



Klatki z dachówkami, zalewane przez przypływ, gdzie hodują się młode ostrygi

Hodowla ostryg

Wczesnym rankiem, kiedy pierwsze blaski wschodzącego słońca zaróżowiły wody oceanu, wybraliśmy się na połów ostryg na piaszczyste wybrzeża okolic Arcachon. Z kuracyjnego miasteczka, pełnego wspaniałych hoteli i pensjonatów, wydostajemy się na plażę, gdzie o tej porze nie ma nikogo, prócz rybaków i poławiaczy ostryg. Czeka na nas duża krypa rybacka o bardzo małym zanurzeniu — mimo to niewyrotna — która zawozi nas aż do basenów, gdzie prowadzi się hodowla ostryg na wielką skalę.

Arcachon słynie ze swych „plantacji” ostryg, jeśli tak można się wyrazić. Cała ludność miejscowa żyje z tego, jeśli nie liczyć przemysłu hotelowego w sezonie. Paryż jest zasilany ostrygami przeważnie z Arcachon, jako najsmaczniejszymi i najlepiej wyhodowanymi. Położenie Arcachon jest pod tym względem bardzo korzystne, gdyż wielkie plaże, zalewane w czasie przypływu, umożliwiają zajęcie dużych przestrzeni na hodowlę.

Istnieje kilka dużych przedsiębiorstw przemysłu ostrygowego, zatrudniających ludzi miejscowych, którym lepiej się to opłaca od rybołówstwa.

Po przybyciu na miejsce czekamy dość długo, aż nastąpi kompletny odpływ. Wkładamy płaskie drewniane saboty, aby nie pograżyć się zbytnio w rozmiękły piasek. Zbliżamy się do zbiorników, w których hodują się ostrygi. Jest to rodzaj dużych klatek drewnianych, ustawionych na piasku, mających około 2-ch metrów długości i 60 cm. szerokości. Wewnątrz każdej z takich klatek znajduje się kilkadziesiąt wydrążonych dachówek, zanurzonych uprzednio w pewnej mieszance, zawierającej wapno i piasek. Podczas przypływu zbiorniki są całkowicie pokryte wodą. Potem, gdy morze odejdzie, w klatkach zostaje moc ostryg.

Do dachówek przyczepiają się nowonarodzone ostrygi w stadium rozwoju. Rozwój ten trwa zwykle do ośmiu miesięcy — po



*Dachówka pokryta nowonarodzonymi
ostrygami*

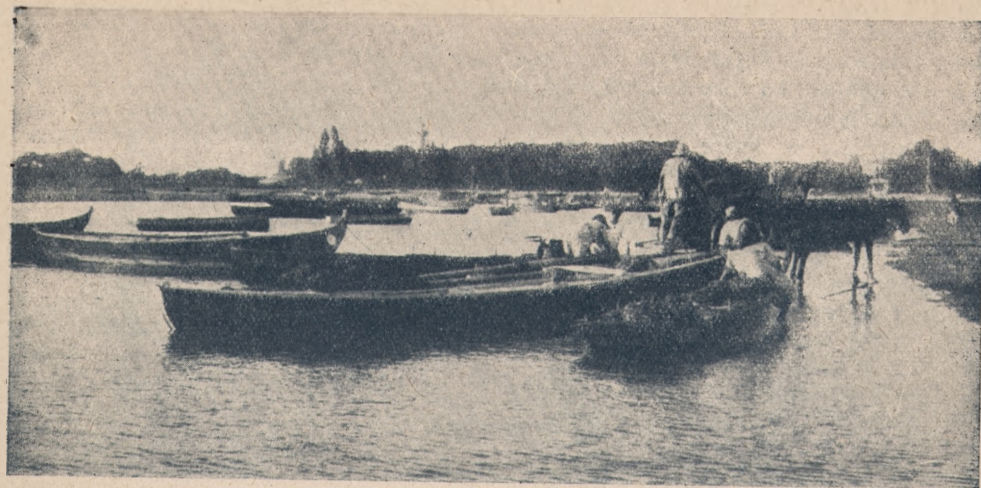
tym okresie czasu ostryga nie jest jeszcze wprawdzie gotowa do spożycia, ale zmienia się jej miejsce pobytu. Zbiorniki pokryte są gałęziami w celu uchronienia ostryg przed porwaniem do morza w czasie przypływu, oraz przed słońcem. Ostrygi bowiem nie uczepiają się nigdy nagrzaných słońcem dachówek.

Po upływie ośmiu miesięcy dachówki z przyczepionymi do nich ostrygami zostają wyjęte z klatek i zastąpione nowymi. Oderwanie dojrzałych już ostryg od dachówek nie przedstawia trudności, gdyż każda z dachówek pokryta jest warstwą wapna z piaskiem, która się łatwo wykrusza. Okres, po oderwaniu ostrygi od dachówki aż do chwili, kiedy delektuje nasze podniebienie, trwa od 18 miesięcy do 2-3 lat. W okresie tym ostryga znajduje się w t. zw. „parkach”, t. j. przestrzeniach nadmorskich specjalnie dla tego celu rezerwowanych i zalewanych w czasie przypływu.

„Park“ ma przeciętnie około 60 metrów długości i tyleż szerokości. Dno jego pokryte jest gęstym mialkim piaskiem, na którym spoczywa ostryga. Naokoło ogrodzony jest gałęziami dość wysokimi i gęstymi, które unie-



Zbieranie ostryg w czasie odpływu



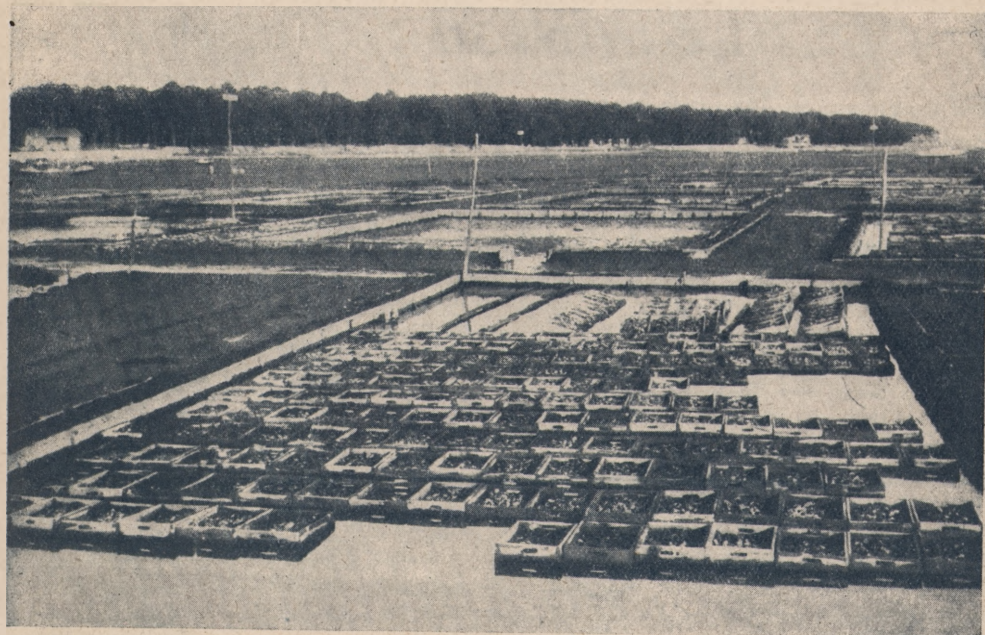
Łodzie odwożące ładunki ostryg do parków

możliwiają dostęp do parku wielkim rybom, łakomym na ostrygi.

Wygląda to jak szereg ogródków, symetrycznie położonych koło siebie i oddzielonych żywopłotami.

Dostęp do tych parków jest dość utrudniony i możliwy tylko w drewnianym obuwiu.

Tutaj odbywa się dopiero właściwy zbiór ostryg. Zbieracz, uzbrojony w rodzaj grabi na krótkiej rączce, z ręcznie wygarnia ostrygi, wrzucając je do specjalnej siatki, którą nosi ze sobą. Zęby grabi są rozstawione na takiej odległości, aby nie zabierać małych ostryg, tylko takie, które są już zupełnie



*Skrzynki z ostrygami w ostatnim stadium rozwoju w t. zw. „parkach”
zalewanych podczas przypływu*

dostatecznej wielkości. Napelnione ostrygami siatki ładuje się na łodzie, które odjeżdżają w czasie odpływu. Po dokonaniu tego zbioru ostrygi zostają umieszczone w małych skrzynkach, przy samym prawie brzegu. Jest to konieczne, gdyż ostryga przyzwyczaja się stopniowo do wody coraz mniej słonej i oczyszcza się z mułu i piasku.

Stamtąd dopiero, ostrygi zupełnie przygotowane do spożycia, wysyła się do miast Francji i zagranicy.

Cena ostryg na miejscu w Arcachon waha się pomiędzy 60 a 70 frank. za tysiąc. Co za różnica z cenami paryskimi, a jeszcze bardziej, z naszymi! To, co u nas jest luksusem, tam jest bodaj najtańszym produktem.

Smakoszom naszym, zapijającym szampnem ostrygi w drogiej restauracji, nie przychodzi do głowy, jak długą wędrówkę musi przejść każda ostryga, zanim się znajdzie na jego stole.

Stel.

W y n i k K o n k u r s u n a n o w e ł ę l u b h u m o r e s k ę

nie może być w Numerze bieżącym ogłoszony ze względu na nawał materiału. Do wiadomości zainteresowanych donosimy, że w chwili obecnej jest na ukończeniu pierwsze czytanie rękopisów, rozdzielonych między członków komisji.

W czytaniu tem przypada na każdego członka sądu około 130 nowel.

REDAKCJA



Ilustrował A. Świdwiński

Napisał

K. Łaskowski

Dorothy Miriam, stenografistka w biurze firmy „The Triumph“, wyrabiającej słynne „Brzytwy Triumph“, pracowała tego dnia z roztargnieniem prawdziwie godnym politywania dla interesów Triumph'u. Jak każdego poranku, tak i teraz przepisywała na maszynie wyrazy z daktylografa, ale jakże mało zwracała uwagi na głos, wydobywający się z brzuchomówczego przyrządu, który powtarzał słowa i krztuszenia się ochryple, powierzone mu poprzedniego wieczora przez *manager'a*. Dorothy uderzała palcami w niewłaściwe klawisze, robiła często błędy ortograficzne i opuszczała znaki pisarskie. Myślała o czemś innym, gryząc z wściekłością pastylkę gumową *spearmini'u*, która koniecznie musi się znajdować w ustach każdej młodej Amerykanki.

Po napisaniu dwunastu listów zamknęła z niecierpliwością przyrząd i głos brzuchomówczy ustał jak zaklęty. Dorothy włożyła czysty arkusz papieru i poczęła uderzać palcami w klawisze z taką szybkością, że Paderewski mógłby jej pozazdrościć. Gdy skończyła, wyjęła papier i zaczęła czytać:

„Kochana Miss Grace: — Mam kochanka, który ma 20 lat i 4 miesiące, zarabia 32 dolary na tydzień i ma 5 stóp i 4 cali wysokości. Jest on bardzo grzecznym, bierze mnie do teatru każdej soboty, ale za nic w świecie

nie chce iść ze mną na *matches base-ball'owe*, a to dlatego, że nie cierpi *base ball'ów*, ani też innych sportów. Ja, przeciwnie, lubuję się w sportach i jestem o jeden cal wyższą od niego. Czy myśli Miss, że mogę być szczęśliwą, wychodząc za męża za niego? Proszę o radę. Z szacunkiem Dorothy Miriam, lat 19 i 3 miesiące”.

Włożyła do koperty i zaadresowała: „Miss Grace Burton, Redakcja *Universal News*, Chicago“. List wrzuciła do skrzynki pocztowej. Uwolniwszy się od myśli, która ją przynęcała jak kamień młyński, zrobiła parę podskoków *fox trot'u* zanuciwszy wesoło *Maggie my little Maggie*, przejrzała się w szybie otwartego okna, poprawiła jasne włosy, przypatrzyła się nagim ramionom, wystającym z modnej sukni i rzuciła okiem na tłumy, które przesuwwały się ulicą jak mrowie. Uspokojona wróciła do zajęcia, żując niezniszczalną gumową pastylkę *spearmini'u*. Głos *manager'a*, puszczonej na wolność, rozległ się znowu.

*

* *

Powziąć decyzję — to rzecz bardzo trudna. Napętnia wątpliwością, rodzi rozbieżność myśli, ubezwładnia, a przeto zmniejsza nałożenie siły do pracy i pogarsza jakość produkcji, a to powoduje rzeczywistą stratę

w dolarach i centach. Dlatego człowiek praktyczny unika paraliżu zawilości. Jeżeli ma usposobienie takie, że decyduje się z szybkością błyskawicy, do dobrze, decyduje się sam — momentalnie; ale jeżeli tej cnoty nie posiada, to udaje się do fachowców po decyzję. Pięćdziesiąt tysięcy adwokatów, dwadzieścia tysięcy wrózek, dwanaście tysięcy spirytualistów, dwa tysiące magów indyjskich dają jako długoletni doświadczeni mistrze decyzję licznej klienteli chicagoskiej. Natomiast ród niewieści w swoich wątpliwościach udaje się do Miss Grace Burton, redaktorki działu niewieściego sekcji miłosnej wielce popularnego dziennika międzynarodowego.

Kiedy *Universal News* rozkłada się do czytania w pociągach, w tramwajach i w innych miejscach publicznych — tak, iż zdaje się, że nawałnica śnieżna pokryła tłum ludzi, — co, myślicie, przedewszystkiem się czyta? czy może odszkodowania niemieckie, zagłębie Ruhry, zbrodnie bolszewickie, przewroty światowe, rządy Coolidge'a. Bynajmniej. Nikomu na to ani się śni spojrzeć. Zato *matches baseball'owe*, *box'owanie*, rysunki komiczne i tym podobne ważne sprawy świata mają zwrócone oczy tysięcy publiczności.



Powziąć decyzję — to rzecz bardzo trudna...

A może panie — interesują się czytaniem o kuchni, o pielęgnowaniu zdrowia, o drożynie lub o czemś podobnem? Także nie! One pożerają oczyma to wszystko, co napisała Miss Grace o mężach, o rozwodach, o miłości, o modzie, o zachowaniu piękności. Jest to lektura bardzo pouczająca, podręcznik praktycznej miłości dla użytku niewieściego. Zawiera skarby z dziedziny psychologii i drogiecenne wskazówki. Wszystkie niepewności w dziedzinie uczucia są tam rozstrzygnięte, wszystkie skłonności serca popchnięte na właściwe tory. Tam można się nauczyć na czem polega sekret szczęścia. Miss Grace jest przyjaciółką, nauczycielką i wyrocznią. Jej wskazówki zajmujące cztery szpalty, są nieomyłne i bezapelacyjne.

Zaraz na czele szpalty umieszczona podobizna autorki. Popularne dzienniki w Ameryce pokazują oblicza swoich współpracowników bardziej wybitnych. Nastal czas przyznania, że czytelnik ma prawo do zapoznania się z pisarzem, aby nie był zmuszony wyobrażać sobie i wpadać w błędy co do jego fizjonomji, co byłoby rzeczą pożałowania godną. Portret redaktorki Miss Grace nie duży, ale przekonujący. Z obu jej dużych, rozumnych i smętnych ocz błyszczą gorzka wiedza życiowa; z pod wielkiego i wypukłego jej czoła przebija się siła myśli głębokich; w składzie jej ust widać zmysłowość czarującą, we fryzurze jej włosów wyrafinowaną elegancję niewieścią. Wszystkie dzienniki, mające wzięcie, przez niski wzgląd konkurencji, musiały mieć szpalte, poświęconą miłości, z portretem autorki. Ale Miss Grace jest nie-doścignioną.

Miss Grace! Jakąż tajemnicą niewytłumaczoną jest ta młoda kobieta? Jakie bóle musiała przechodzić dla pozyskania swych wiadomości o duszy ludzkiej? Jak je zdobyła? W kim była zakochaną? Kiedy? Jak? Kim ona jest? Skąd rodem? Jaki romans jej życia?

*
*
*

Pierwszą rzeczą, którą dokonała Dorothy Miriam, wsiadłszy rano na górny tramwaj, aby się dostać na tłumne miejsce pracy, było, że wyjęła ze swej torebki numer *Universal News'a*, który dopiero co kupiła przy stacji tramwajowej.

Była godzina zaledwie dziewiąta, ale wieczorowy dziennik nosił już napis u góry, wydrukowany czerwonym atramentem: „Czwarte wydanie — popołudniowe”. W Ameryce wszystko robi się z pośpiechem, dlatego wielkie dzienniki wychodzą odrazu w czwartym wydaniu, żeby potem mogły wyjść jeszcze w sześciu innych wydaniach.

Dorothy udało się rozłożyć i przeglądać strony dziennika, pomimo ścisku piekielnego, a to dzięki wprawie, która nie da się nabyć jedynie przez dłuższe ćwiczenia. Każdy jej towarzysz podróży czynił to samo tak, że cały tłum zdawał się składać z dzienników rozwartych, zaopatrzonych w ludzkie nogi. Gdy wagon tramajowy pędził, przerzucając środek ciężkości to na tę, to na drugą stronę. Dorothy znalazła swój list, w druku wydający się jej krótszym, a pod nim przeczytała taką odpowiedź:

„Nie byłabyś pani z nim szczęśliwą. Brak mi dumy z siły i uczucie jego jest przeciwne patriotyzmowi, bo obowiązkiem każdego obywatela jest oddawać się ćwiczeniom fizycznym, które zapewniają, prócz piękności i energii przyszłemu pokoleniu, siłę zdobywczą narodowi, jak również wolność i bogactwo”.

Dorothy zdziwiła się, że nie mogła przedtem zrozumieć rzeczy tak widocznej; to też odrazu przyznała słuszność temu twierdzeniu. Przez chwilę litowała się nad biednym Harry, ale to tylko — chwilę. Gdy potem znalazła się po dziesięciu minutach przed nim, czekającym na nią, jak zwykle, na narożniku ulicy State, nie zawahała się ani na chwilę wystąpić przeciw niemu wrogo. Odpowiedziała mu zimno na jego powitanie i szła dalej swoją drogą. Harry zatrzymał ją, ale Dorothy nie lubiła bolesnych i bezowocnych dyskusyj. Pokazała mu dziennik z odpowiedzią Miss Grace, mówiąc:

— Patrz tu i czytaj. Tu mój list, a tu odpowiedź, która zupełnie się zgadza z mojami pojęciami. *Good-bye Harry, poor Harry!*

I odeszła razem z tłumem, pozostawiając go samego zdumionego, nieruchomego, z *Universal News* w ręku. Czytał raz, przeczytał drugi, popychany i uderzany łokciami tłumu; wreszcie, włożywszy z furją dziennik pod pachę, puścił się w stronę ulicy Madison, oddając niejednemu z przechodniów szturchańce które sam otrzymał. Powziął wielkie postanowienie.



...włożywszy z furją dziennik pod pachę, puścił się w stronę ulicy Madison...

„To ty, przekłeta Miss Grace, — pomyślał Harry, idąc przeciw biegowi tłumu — myślisz, że ja się poddam twojej woli? Przenigdy! Wdajesz się w moje sprawy i myślisz, że ja na to zezwolę? O, nigdy! Ty się haniebnie mylisz, muszę ci to wyraźnie powiedzieć. Posłuchaj. Nie pozwolę, żebyś mi imponowała ani swoją pięknoscia, ani powagą. Czy to rozumiesz? Czy ty wiesz, kim jestem? Nie. A więc? Jeżeli jesteś dobrej woli, popraw się, popraw, Miss Grace, bo inaczej będzie źle... źle...”

Harry szukał wyrazów, któremiby mógł przekonać Miss Grace, że się w swym wyroku grubo pomyliła i szedł dużymi krokami, cały zajęty przyszłą rozmową. Dlaczego nie mogłaby przyznać, że błądzi, Miss Grace? Można by jej wytłumaczyć — i naprawiłaby krzywdę wyrządzoną. Zapewne. Czy ta kobieta nie czuje żadnych wyrzutów? Nie ma serca? Wszystko należy od umiejętnego wytłumaczenia, możliwości przekonania. Harry tedy postanowił tak przemówić do niej: „Miss Grace, od ciebie zależy życie... moje życie!... Ale nie! Lepiej powiedzieć: dwa życia, nasze życie...”

Doszedł do Madison, ulicy wielkich dzienników, z budynków których wydobywał się otworami tak silny odór, iż zdawało się, że każdy z nich cierpi na niestrawność papieru, atramentu i ołowiu. Tu z pośpiechem jedni

naładowywali szerokie wozy pakami gazet do wysokości kilkuset łokci, inni staczali przez chodniki olbrzymie cylindry papieru, które się zdawały kolumnami marmuru, przeznaczonemi dla budującej się świątyni. A wszędzie, na pakach, na wozach, na szybach okien, na chodniku, na słupach, widniał napis: „Universal News — największy i najlepszy dziennik na świecie”. News-boys, z pakami gazet pod pachą, rozlatywały się na wszystkie strony, wołając: „ostatnie wydanie News'a” — i rozprzedawali go z chyżością błyskawicy pomiędzy tłoczącą się publicznością. Było to już szóste wydanie tego dziennika. Wszedłszy do budynku i wstąpiwszy na elewator, Harry nieco zmieszany, wyjąknął:

— Redakcja News'a.

— Jakiego działu? — zapytał przewoźnik.

— Działu niewieściego.

— Na dwudziestem piętrze.

U góry oddychało się powietrzem nieco świeższem i spokojniejszym. Odzwiertny zapytał go:

— Co pan sobie życzysz?

— Pragnę się widzieć z Miss Grace Burton.

— Czy się Pan umówił z nią co do czasu widzenia?

— E, e... tak, — w osobistej ważnej sprawie.

— Proszę iść za mną.

Harry, przeszedłszy korytarz, wszedł do sali, w której ośm czy dziesięć osób bez surdutów, w koszulach, pisało na maszynach wśród gęstego dymu, wydobywającego się z palących się cygar i fajek. Zaprowadzono go do biurka, przed którym nikt nie siedział i powiedziano mu:

— Tu jej miejsce. Proszę poczekać, zaraz przyjdzie.

Harry był zdziwiony, że miał czekać. Ze wzruszenia zapomniał ułożonych przedtem

słów, więc począł sobie przypominać teraz wyrazy, któremi miał przedstawić swą sprawę. „Miss Gracel... od Pani... od Pani zależą dwa życia...” Dźwięk dzwonek, szczęk maszyn do pisania i uderzenia aparatów telegraficznych, dolatujące z dalekich sal, wreszcie niezmierny blask lamp elektrycznych — wszystko to przyczyniało się do rozstrzelania myśli i braku wyteżenia pamięci. „Dwa życia... dwa życia...” — powtarzało mu się ciągle w głowie i dalej ani rusz.

Po pewnym czasie przybliżył się do niego w starszym wieku gentleman, gładko ogolony, z okularami na nosie.

— Co pan sobie życzysz? — zagadnął go z nienacka. Harry nie zauważył go czy to

wskutek roztargnienia, czy też tego, że nieznajomy przybliżył się po cichu, przyszedł w pantoflach, więc nic nie odpowiedział.

Usiadłszy spokojnie przy biurku panny Grace, ów nieznajomy znowu zagadnął:

— Powiedzianno mi, że pan masz coś ważnego i naglego

do zakomunikowania. Powiedz że mi panco pan chcesz mi powiedzieć? I wyjąwszy z ust fajkę, począł mu się przyglądać pytająco.

— Ja... Panu?... Nic! — odpowiedział Harry ze zdziwieniem.

— Więc do kogoś pan przyszedł?

— Do panny Grace, do Miss Grace Burton.

— W ważnej sprawie?

— W bardzo ważnej. Tu idzie o życie... o dwa życia...

— O jakie życia? — zapytał ów gentleman z zainteresowaniem.

Harry zamilkł, spuścił oczy na dół i zdawało się, że usnął. Po chwili, jakby obudzony nagle z letargu, wyjął dziennik, wskazał palcem na przyczynę swego bólu i rzekł:

— Idzie o życie.



— gentleman w starszym wieku z okularami na nosie...

Nieznajomy spojrział na niego i mruknął:

— E, to nic! Da się naprawić.

Harry nie zrozumiał jeszcze, jaki zachodził stosunek pomiędzy Miss Grace i tym nieznanym *gentleman'em*, więc dalej bełkotał:

— Sku... skutki, skutki mogą być straszne... okropne.

— Dla Boga! Ja o niczym nie wiem... wczoraj mnie tu nie było — i odwracając się do innych redaktorów zapytał ich: — Kto pisał wczorajsze odpowiedzi panny Grace?

Z głębi sali odezwał się stenograficzny głos:

— Ja, panie Burton, ja. Bo co?

— E, nic! — i zwróciwszy się do Harry'ego zapytał go:

— Co pan rozumiesz przez „straszne skutki?”

Harry zmieszany nic nie odpowiedział.

Nieznajomy uśmiechnął się i rzekł:

— A, rozumiem!... Proszę no mi jeszcze raz pokazać dziennik... Jakie jest pańskie zajęcie?

— Jestem malarzem. Maluję i tapetuję pokoje.

Nieznajomy gentleman zaczął coś pisać na papierze.

Po pięciu minutach Harry czytał taki list

i taką odpowiedź, które następnego dnia ukazały się na szpalcie „Uniwersal News'a”, w dziale niewieścim, w sekcji miłosnej:

„Kochana Miss Grace: — O moją rękę ubiega się młody malarz — dekorator, chłopiec bardzo grzeczny, ale nie lubiący żadnego sportu. Czy mogę bywać w jego towarzystwie?”

Odpowiedź:

„Bez wątplenia, możesz. Jest on artystą, a artyzm czyli sztuka jest sportem inteligencji. Jeżeli ćwiczenia fizyczne dają siłę, to sztuka stwarza geniuszów, bez których żaden naród nie może marzyć o zdobyciu miejsca



...w takiej pospolitej rzeczy, jaką jest base-ball!...

pod słońcem.

• •

— Miss Grace jest prawdziwym aniołem! — wykrzykuje teraz Harry, gdy zejdzie na nią mowa z Dorothy. — To istny anioł!...

A Dorothy potwierdza to bezsprzecznie:

— Któżby myślał, że ja się kocham w takiej pospolitej rzeczy, jaką jest base-ball?!...

O, sztuko! Jakichże cudów nie zdołaś dokonać!

Chicago, Ill.,

27 września 1925 r.

Zmartwychwstałe światy

Napisał

Antoni Lange

W dziele swoim „Upadek Europy” — słusznie powiada R. Spengler, że nasza znajomość historii jest bardzo niedostateczna — a jej podział na starożytną, średniowieczną i nowożytną zupełnie dziecinny. Historia nowoczesna obejmuje jakieś 2—3 stulecia, średniowieczną 12—13, i starożytną 70—80, jeżeli nie więcej. Tymczasem w t. zw. „podręcznikach historii powszechnej” ta historia starożytna zajmuje 0,10 książki, średniowieczna 0,25 i resztę — nowożytna.

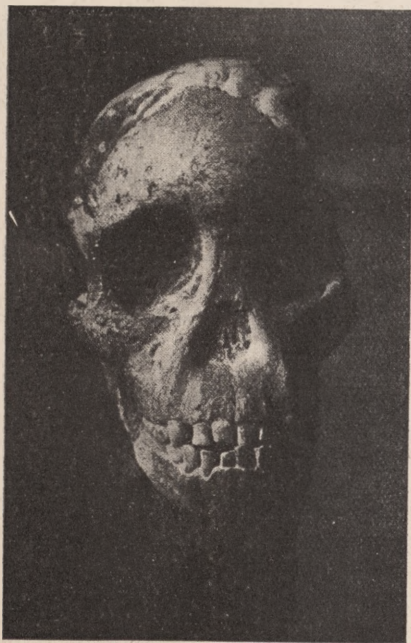
Ciemni jesteśmy zwłaszcza w przedmiocie historii dawnej, dotyczącej świata nieklasycznego, t. j. prócz Grecji i Rzymu — wszystko inne: Egipt, Babilonia, Azja Mniejsza, Indie, Chiny, Ameryka (Meksyk, Maya, Kwisze, Peru i t. d.) — jest dla nas, jakby mgłą zasnutą. Można śmiało powiedzieć, że do końca XVIII w. nie wiedzieliśmy z przeszłości rodu ludzkiego nic

więcej nad to, czego nas nauczył Herodot i Rzymianie.

Ale rozkopy, jakie porobiono przez cały niemal w. XIX oraz w naszym stuleciu — coraz dalej, a dalej wstecz cofają naszą znajomość przeszłości. Sięgamy aż w V i nawet VI tysiąclecie przed Chr. Są zaś i takie skarby, które sięgają okresów jeszcze dawniejszych (paleolitu).

CZASZKA PÓLCZŁOWIEKA.

Chcemy tu podać wiadomość o niektórych bardzo ciekawych nowoczesnych wykopaliskach. Ścisłe biorąc, zamierzylśmy mówić wyłącznie o tem, co wytworzyła ludzka ręka. Nie możemy się jednak powstrzymać od jednego wyjątku: w m. lutym r. b. pr. Darty z Rand Uniwersitetu wykopał w miejscowości Taungs w Transvaalu czaszkę istoty, która zdaniem jego stanowi brakujące, po-



Czaszka półczłowieka, znaleziona
w Transvaalu

średnie ogniwo między małpą a człowiekiem. Byłaby to głowa stworzenia, będącego na drodze ewolucji od formy zwierzęcej do ludzkiej. Jest to głowa dziecka, liczącego lat 9—10, którego zęby dochowały się wybornie. Czaszka ta nie jest czaszką małpy, ani też czaszką człowieka. Jest to czaszka istoty pośredniej. Czy nauka przyjmie opinię pr. Darta, niewiadomo. W każdym razie godne uwagi jest to odkrycie w kamieniu wapiennym czaszki z przed 30 tysięcy lub więcej lat.

WENUS PRZEDPOTOPOWA.

Ale oto wykopalisko z paleolitu. Jest to najdawniejsza rzeźba, wyobrażająca postać kobiecą. Znalazł ją dr. René de Saint Périer we Francji, w depart. Haute-Garonne, w t. zw. Grotte des Ridaux, koło Lespugue — i przedstawił ją francuskiej akademji des Inscriptions et Belles Lettres. — Robota jest wykonana w kości kła mamutowego, rysy twarzy są słabo uwydatnione, natychmiast mocno podkreślona wielkość piersi oraz po-

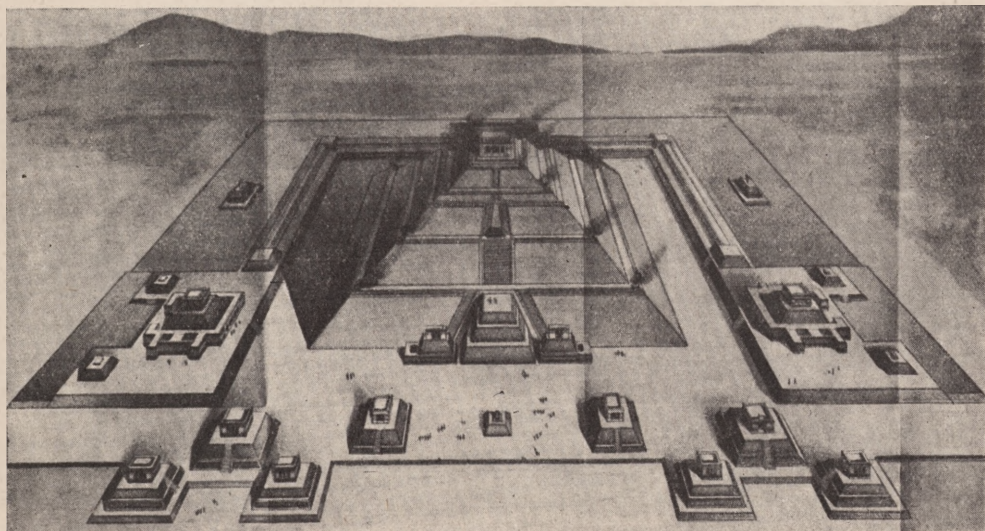


Najdawniejsza rzeźba, wyobrażająca postać kobiecą

śladka (t. zw. *steatopygia*), co widocznie uważane było za cechę piękności. Dr. de Saint Périer słusznie zwraca uwagę na podobieństwo tej rzeźby i tego ideału piękności z rzeźbami Buszme-nów i Hotentotów. Znana jest „*Venus hottentote*” w muzeum Jardin des Plantes w Paryżu, która odznacza się również aż zanadto wybitną *steatopygią*.

MIASTO Z PRZED 10.000 LAT.

Meksyk, Nowy Meksyk, Ameryka Środkowa, zwłaszcza Jukatan i Honduras — przepelnione są ruinami miast starożytnych, b. dawnych pomników kultury plemion wymarłych. — Niektóre z tych ruin mają rzekomo pochodzić z epoki na 10.000 lat poprzedzającej naszą erę, co jednak należałoby raczej traktować jako mocną hiperbolę. Taką datę nakreślono wykopaliskom niedawno odkrytym w Pueblo Benito w N. Meksyku. Architektura, rzeźba, sztuka inżynierska były tu na wysokim poziomie. Kultura Amer. Centralnej jest dziełem wysoko rozwiniętej rasy Maya; rasa ta poprzedziła meksykańskich



Piramida Słońca w rekonstrukcji



Freski w świątyni Rolnictwa

Tolteków; Toltekowie zaś poprzedzili Azteków, którzy poprostu byli spadkobiercami i naśladowcami ich cywilizacji.

Wykopaliska w Pueblu Benito są dopiero w okresie badań; monografii dotychczas niema. Ale inne nieco dawniejsze (1912) rozkopy zostały b. szczegółowo opisane. Instytut antropologiczny w mieście Meksyku — wydał w roku 1920 obszerne dzieło w 3-ch tomach (po tysiąc stron z górą każdy) p. t. *La Poblacion del Valle de Teotihuacan*, gdzie opisuje b. wszechstronnie tę miejscowość: jest tu fizjografia tego kraju, opis fauny i flory, bogactwa mineralne, etnografia, statystyka, rolnictwo, handel i przemysł, oświata, folklor

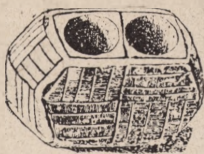
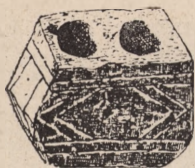


Bóstwo w kamieniu (Meksyk)

język miejscowy, obyczaje i t. d. Nakoniec archeologia: wykopaliska, budowle, posągi, ceramika z czasów przedhiszpańskich.

Miejscowość tę, Teotihuacan — badało wielu uczonych Meksykanów i innych; instytut antrop. stołeczny, komisja naukowa z Pachuca, R. Almaraz, G. Mendoza, Penafiel, Bancroft, Charnay, Holmes, Hagar i in.

Oddawna tu uderzały oczy wędrowców sztuczne góry, które, jak się okazało, są wewnątrz kunsztownie urobione; mają one budynki nadziemne i podziemne; z biegiem czasu zasypały je piaski i ziemia, wiatry nanieśli różne nasiona, rozkwitły tu zielska, trawy, krzewy. Zewnętrznie wyglądało to jak



Świeczniki świątynne z Teotihuacan; na trzecim — swastyka

wysokie wzgórza, zwłaszcza, że jest tu w pobliżu wulkan wygasły Cerro Gordo, bardzo do tych wzgórz podobny. Kiedy jednakże łopata badaczy zaczęła zdejmować te narzucone wiekami osłony — oczom ich ukazały się dziwy niesłychane.

Ukazało się miasto odwieczne, którego czas Manuel Gamio, przywódca tej całej wyprawy, określa na 2.000 lat przed odkryciem Ameryki.

Jest tu cały szereg budowli, ulic, świątyn. Nadano im nazwy przypuszczalne, jako to:

- 1) Piramida Słońca.
- 2) Piramida Księżyca.
- 3) Calle de los Muertos (ulica umarłych).
- 4) Świątynia Tlaloka czyli deszczu.
- 5) Świątynia Quetzalcoatl'a czyli Cytadela.

Piramidy i świątynie zrekonstruowano idealnie; nadto wydobyto posągi bogów, malowidła, freski, wreszcie setki najrozmaitszych przedmiotów (dzbany, igły, świeczniki, grzebienie). Są to budowle i obiekty z różnych epok, gdyż niektóre zbliżają się już do form późniejszych azteckich.

Świeżo w Honduras odkryto również starożytne wykopaliska z okresu Maya — i wogóle można sądzić, że Ameryka „prehispanica” jeszcze niejedną gotuje nam niespodziankę.



Sciana pałacu, odkopana w dolinie Eufratu
(3200 r. przed Nar. Chr.)



Nannar, bóg Księżyca, przed świątynią
(rzeźba chaldejska)

Niektórzy uczeni koniecznie chcą widzieć w tych budowlach amerykańskich wielkie podobieństwo do tworów Egiptu: zdaje się jednak, że jest to złudzenie dość powierzchowne. Choć trafiają się analogie między Egiptem a Mayą czy Meksykiem, to jednak znacznie większe są różnice.

WYKOPALISKA W CHALDEI.

Mezopotamja, ziemia Akkado-Sumerów, a później ziemia Babilonu i Asyrii — od r. 1850 mniej więcej jest przedmiotem badań archeologów. Wykopaliska te są dosyć znane, zwłaszcza dotyczące Babilonu i Niniwy.

Biblioteka Sardanapala odkryła nam rzeczy niezmiernie ważne i ciekawe. Ale nie tylko dowiedzieliśmy się z niej o Asyrii: klinowe pismo pouczyło nas o dawniejszych mieszkańcach tego kraju — Sumirach i Akkadach.

Jeżeli miało Meksykańskie liczyć 10.000 lat istnienia, to i w ziemi Akkad odkryto ostatnio ruiny



Ściana starożytna (Karkehmysz)

schody, oraz ściany, ozdobione figurami rzeźbionymi. Nie brak też starożytnej broni (z brązu) oraz wyrobów z gliny (dzbanki tzw. twarzowe).

W r. b. prowadzono badania w innej stronie Mezopotamji w tzw. Ur Chaldejskim, skąd podług Biblii wyszedł był Abraham. Wyprawą kierował p. C. L. Woolley z British Museum. Miejscowość ta dziś zowie się Tell-el-Obeid. Do najciekawszych rzeczy należy tu fragment kolumny z masy perłowej, figurki, przedstawiające jakieś bóstwa, grób

w formie urny glinianej oraz drobne przedmioty z gliny (kwiaty, wół, człowiek; model tronu, model wozu).

Również w okolicy Ur, nieco dalej, w miejscowości, gdzie się mieściła słynna wieża Zigurat także p. C. L. Woolley odkrył wspaniałą



Płaskorzeźba na murze starożytnego miasta Karkehmysz

stelę, na której wyobrażony jest bóg księżyca Nannar; siedzi on na tronie a król częściowo widzialny hold mu składa, lejąc wodę ofiarną do naczynia, z którego wytryska liść palmowy. Nannar trzyma w ręku różne narzędzia do budowy domu, nakazując w ten sposób królowi, aby przedsięwziął jakąś konstrukcję. U dołu kapłani-architekci oraz robotnicy.

KARKHEMYSZ.

Kultura babilońska miała w swoim czasie szerokie i dalekie wpływy. Pismo babilońskie klinowe, choć b. skomplikowane i trudne — jednakżeu powszechniło się w krajach sąsiednich. Korespondencja faraonów prowadzona z zagranicą a odkryta kilkanaście lat temu w Tell-el-Amarna w Egipcie — pisan była pismem babilońskim. W sąsiedztwie współczesnej Angory, gdzie leży wieś Bhogar-Köj, leżała niegdyś jedna ze stolic wielkiego państwa Chetytów, które przetrwało liczne wieki do XII—XI w. przed Chr. Było to państwo potężne, zagrożające z jednej strony Asyrii, z drugiej Egiptowi. W poemacie egipskim zwanym *Ramesseida* opisana jest wojna Ramzesa z księciem Kheta (t. j. Chetytów, w biblji Hatti), w której Egipcjanie zostali pobici.

W artykule p. t. *Skąd się wziął nasz alfabet?* (N a o k o ł o Ś w i a t a Nr. 10), podaliśmy próbę pisma Chetytów (Rys. 15 str. 126); pismo to nie zostało odcyfrowane i zapewne nigdy nie będzie. Tajemnica mowy Chetytów byłaby dla nas straconą na zawsze, gdyby nie to, że używali oni również pisma

babilońskiego. W ruinach dawnej stolicy Chetytów, Sindzirli — w Bhogaz-Köj znalaziono zgórą 10.000 cegieł z tekstem w kilku językach, ale pismem babilońskim wyklinowanych. Przeważnie mamy tu język Chetycki, którego całość najdoskonalej ogarnął czeski uczony pr. Hrozny; ułożył on gramatykę tego języka. *Über die sprache der Hettiten*). Język okazuje się indoeuropejskim, nieraz do grupy słowiańskiej zbliżony. „J e s t e m” — starosłow. *jesmi* — staroliteńskie *esmi* (dzis'esu) — po chetycku brzmi *esmi* lub *eszmi*.

Również — jak pismo — sztuka i religja były pod wpływem babilońskim. Legendy o Gilgameszu znane tu były jak w Babilonie.

Ważną stolicą Chetytów był Kark-emysz lub Karch-emysz. Nawiasowo tu zaznaczę, że niektórzy identyfikują nazwy Krk-(e)-mysz i Krk-(ów t. j. karkhemysz i Kraków.

Anglja poczyniła liczne wyprawy naukowe w te strony; ostatnia ekspedycja datuje się z r. 1919. Świeżo zaś na taką wyprawę zdecydowali się Czesi: pod patronatem Masaryka udała się grupa uczonych, mając na czele pr. Hroznego.

Bardzo obfite były wyniki tych rozkopaliisk; między innymi piękny posąg Astarty.

Nawiasowo zaznaczmy, że bagdadzka linja kolejowa płynie w pobliżu Kark-e myszu.

INDJE.

Wspominaliśmy wyżej o wpływach babilońskich w Egipcie i w Azji Mniejszej. Ale nigdy nikt nie przypuszczał, że się znajdują jakieś wpływy tego rodzaju w Indjach. Owóż ostatnio dwaj pracownicy z *Archeological Survey of India*, obaj pochodzenia indyjskie-



Odciski i bieżące z przed 4.000 lat,
odkryte w Indjach

go: Daya Ram Sandhi oraz Banerdzi — wykopali w dwóch miejscowościach oddległych od siebie o 400 kilometrów, mianowicie w Harappa (Pendżab) i w Mohendżo-Daro (Sind) przedmioty rozmiarów drobnych, ale wielkiego znaczenia dla archeologii.

Są to pieczęcie gliniane z rysunkiem najczęściej byka oraz napisami: owóz napisy te są wyrzeźbione alfabetem babilońskim, bardzo pierwotnym, jeszcze rysunkowym.

Najstarsze znane nam dotychczas wykopaliska indyjskie pochodzą z III—IV wieku przed Chr. Ale te pieczęcie pochodzą z 3000 r. przed Chr., a fakt, że je znaleziono w dwóch tak daleko od siebie położonych miejscowościach świadczy, że nie jest to jakieś zjawisko przypadkowe i lokalne. Pr. Marshall, uczonego angielskiego — uważa te *sigilla* za wyrób krajowy. Ale znany orientalista Sayce przypuszcza raczej, że jest torzeż przyniesiona z obcych krajów albo dzieło kolonistów z Sumiru czy wogóle z Mezopotamji. Pr. Autrań zwraca uwagę, że



Rzeźba egipska królowa Nefertiti

zarówno rysunki (byk), jak i forma znaków pismennych (wgruncie babilońskich, ale nieczytelnych) — przypomina jednocześnie charakter kultury egejskiej. Związek w tych niepamiętnych czasach Indji, Sumeru, Elamu i Egei w III tysiącleciu przed Chr. — byłby rzeczą wysokiego znaczenia.

Od siebie zwróćmy uwagę na odwrotne zjawisko: wśród cegieł, znalezionych w Bhogaz-köi istnieje pewna serja pism dokonana częściowo jakimś narzeczem aryjskim (czy to perskiem) czy indyjskim, określić niepodobna;

w tekście tym wspominają się bogowie indyjscy: Indra — Waruna — Nasatya. Wynikałoby stąd może, że stosunki w dawnych wiekach między narodami były bliższe, niż się nam wydaje. Wpływy babilońskie sięgały do

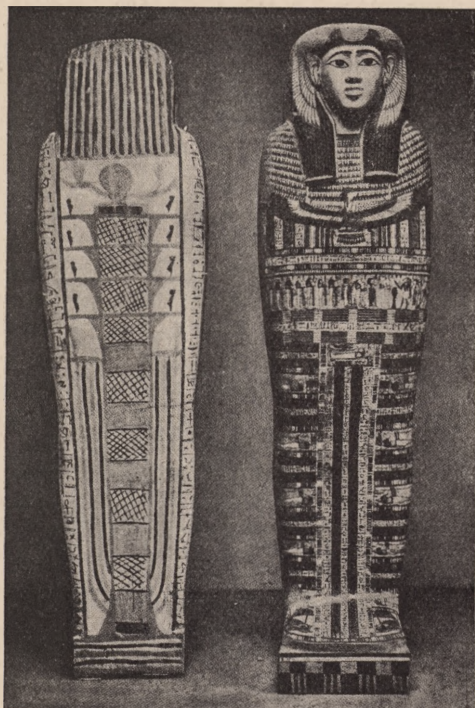
Indji, wpływy indyjskie do ziemi Cheytów.



Roboty przy odkopywaniu grobu jednej z żon Cheopsa

EGIPT.

Od czasu odkrycia grobu Tutenchamena było przekonanie, że nie da się już w Egipcie znaleźć nic wspanialszego. Ale nie chodzi tu



Mumje egipskie z XVIII wieku przed Chr.

bynajmniej o wspaniałość: niezmiernie godne uwagi są te odkrycia, które nas cofają jak najdalej w przeszłość. Oto np. ceramika egipska z doby przedfaraonńskiej (hieroglify jeszcze nieznanne), a tu znów rękojeść z kości słoniowej puginatu krzemienego z wcale dobrym rysunkiem rozmaitych zwierząt. Są to odkrycia nieco dawniejsze, zrobione przez Jacques'a i Henri de Morga-nów.

Nowa ekspedycja instytutu Boston — Harvard porobiła ciekawe odkrycia koło piramid w Giza, niedaleko Kairu. Był tam grobowiec Senneferu, najulubieńszej żony Cheopsa. Nadto jest tam grobowiec kapłana Qa'ara i syna jego Iduwa.

Niemniej ciekawe są odkrycia Towarzystwa *Egypt exploration society* na miejscu świętego miasta Akhnaton, gdzie dziś jest Tell-el-Amarna. W miejscowości tej znaleziono przed kilkunastu laty archiwum faraonów i ich korespondencję z monarchami zagranicznymi (cegły pisane alfabetem babilońskim). Niepospolite mamy tu dzieła sztuki:

choć noże są jeszcze brązowe, to jednak złotnictwo wykazuje poziom bardzo wysoki; patera (zwana „antylopią”), bransoleta ze słinkami i inne rzeczy są to prawdziwe arcydzieła. Niemniej doskonale są posągi: jak zwłaszcza młody Ahmosis, który zginął śmiercią przedwczesną, a ponad wszystko wspaniały jest biust królowej Neferriti, „najpiękniejszej kobiety, jaka żyła na ziemi”, a w każdym razie najpiękniejszej w pojęciu Egipcjan. Nie mniej wspaniała jest płasko-rzeźba, wyobrażająca króla Amenofisa III, ojca Neferriti. Biust Neferriti jest to rzeźba kolorowa; oczy były ze szkła barwnego. Figura ta znajduje się w Berlinie. Londyn jednakże sprawił sobie kopję tej główki. I New York ostatnio zbożcił swoje galerje egipskie: posiadał on grobowiec królowej z XXIII dynastji w Tebach, z XI w. przed Chr.

KARTAGINA.

Jakkolwiek Katon stale mówił: *Carthago delenda* i jakkolwiek plan swój w sposób b.



Rzeźba, wyobrażająca jedną z kapłanek Baala, znaleziona w Kartaginie

gruntowny przeprowadził, to jednak ruiny Kartaginy są b. obfite — i od dawna już niektórzy uczeni, jak Douglas, Carton i in. zwracali uwagę na potrzebę badań w tym kierunku. I. E. Douglas przed laty piętnastu pierwszy zaczął robić rozkopy i wydobyl zpod ziemi jeden z cudów Kartaginy „Fontannę tysiąca amfor”. Była to pięknie skonstruowana studnia, a napis na niej głosi, że woda z tego źródła jest najdoskonalszych zalet.

Później Icard odkrył świątynię tę samą, którą Flaubert unieśmiertelnił w swej *Salambo* — świątynię Tanit (1923); leży ona na wzgórzu i można ją w wyobraźni zrekonstruować; znaleziono cztery ołtarze, wiele stel



Posąg, znajdujący się obecnie w Muz. Kartagińskim

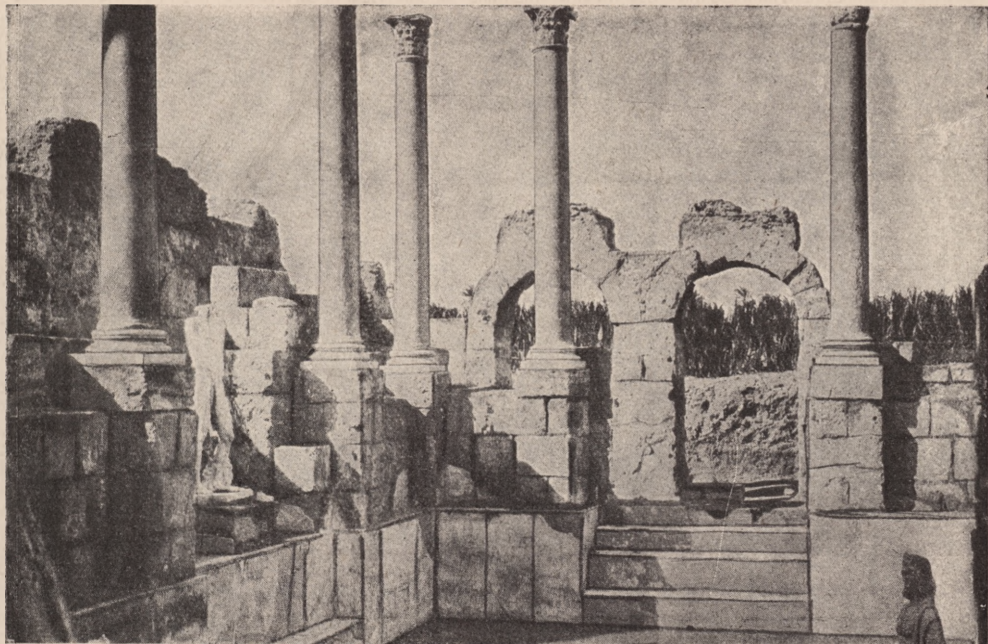
wotywnych; niektóre w typie egipskim; wiele naczyń, gdzie obok klejnotów napotykaś kości nowonarodzonych dzieci. Była to ofiara pierwotnych.

Również w 1923 r. C. Delattre w nekropolu Rab Rabs odkrył malowany posąg kapłanki Arisath. W tym samym miejscu I. E. Douglas znalazł liczne obiekty oraz mozaikę. Jest tam rodzaj tunelu, który się znajduje przy dzisiejszej stacji kolejowej Salambo; w tunelu masz np. wspaniałą głowę Gorgony, figurki innych bóstw, jak Baal-Hammon, Sokit z głową kota i in.: są tam liczne głowy kobiece, kandelabry b. zdobne, ceramika wy-

tworna z reliefami, węże, lwy i t. p. z kamienia i kości słoniowej.



Ruiny Kartaginy — forum



Leptis Magna. Łożnia

Gielly w sąsiedztwie świątyni Tanit (*Celestis* u Rzymian) odkrył ruiny świątyni Baal, którą Rzymianie poświęcili Saturnowi.

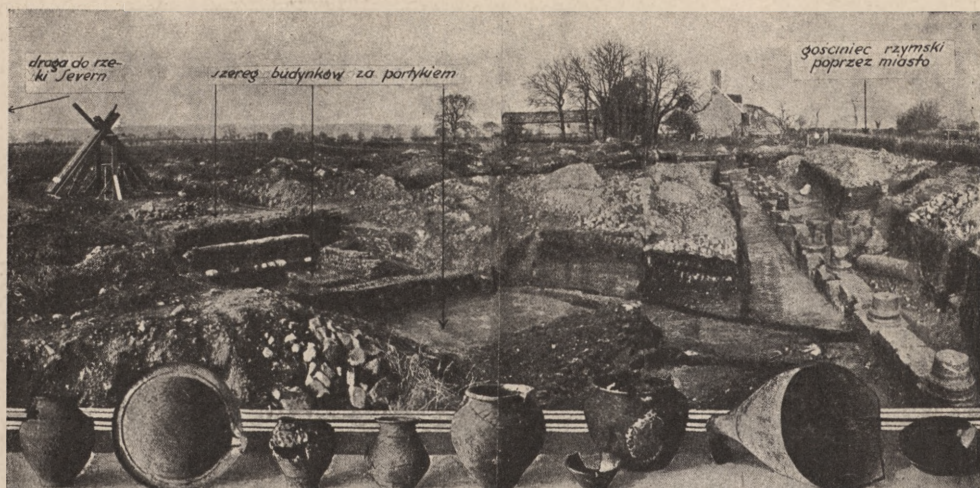
Zwolna z rumowisk wydobywa się starożytna stolica Hannibala — i same te ruiny, w pewien ład wprowadzone, przedstawiają się imponująco.

LEPTIS MAGNA.

We wschodniej części Trypolisu, w pobliżu Homs nad brzegiem morza, leży miasto Lebda. Tuż w jego sąsiedztwie znajdują się ruiny, które w r. 1920 zaczęto badać poważnie. Leżało tu miasto rzymskie Leptis Magna, które powstało na gruncie starej kolonii fenickiej Lepki. Miasto było na wzór miast rzymskich i samego Rzymu zbudowane. Zostało później piaskiem do szczętu zasypane i Lebda jest dziś nader uboga. Ale niegdyś był to kraj bogaty i żyzny; przyłączona do imperjum, uzyskała Leptis Magna *jus italicum* — i aby wyrazić swą wdzięczność posłała do Rzymu taką ilość oliwy, że dla całej Italii starczyła na lat pięć. Ostatnimi laty zajął się rozkopami gubernator Trypolisu Volpi oraz pr. Romanelli i Bar-

toccini. Pobrzeżne (nad rz. Lebda) ulice oraz dawny port są jeszcze w znacznym stopniu zasypane piaskiem, ale powoli ukazują się wille, mauzolea, pałace, świątynie, termy Septima Sewera (15.000 metrów kwadratowych), wiele posągów epoki późnej, mało oryginalnych, ale wcale dobrych. Nadto jest łuk triumfalny tegoż Septima Sewera, który był Afrykaninem i właśnie tu się urodził. Ludność też go b. kochała i przezwiała się *Septimiani*. Cesarz bywał tu nieraz i zbudował pałac dla siebie. Miasto zdaje się lepiej zachowane, niż Pompeja lub Herculaneum, gdyż tam od żaru (600 stopni) wiele rzeczy zginęło do szczętu. Tu zaś piasek wszystko pokrył. Miłośnicy literatury przypuszczają, że może się tu znajdą jakie pergaminy nieznanne, jak to było w początkach XX w., gdy z pod piasków pustyni zaczęto wykopywać stary Heliopolis egipski, gdzie znaleziono całą prawie jedną komedię Menandra „*Perikairoumene*” t.j. „kobieta z obciętym warkoczem”.

W końcu kwietnia odbył się w Leptis Magna kongres uczonych: oprócz Włochów przyjechała tu swoich badaczy Francja, Anglja, Hiszpanja i t. d.



Ogólny widok odkopanego miasta

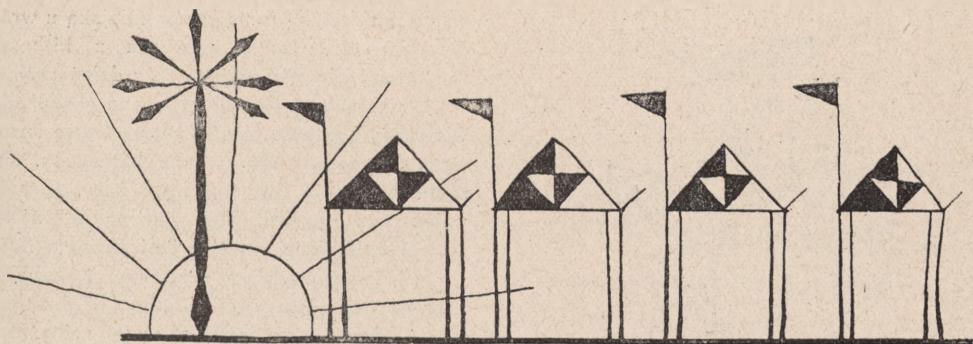
VIROCONIUM, miasto rzymskie w Anglii.

O siedem mil ang. od Shrewsbury zaczęto rozkopy miasta, które do rozkwitu doprowadził Parthicus, syn wielkiego Trajana; był on tu wielkorządcą, a nosił tytuł trybuna i konsula. Pięknie wyryty napis głosi chwałę tego syna cesarskiego, w czternastym roku jego urzędowania: wystawiła go *Civitas Cornoviarum* w 130 r. po Chr. Miasto samo nazywało się Viroconium, nazwa ta ma pochodzić od Wrekin, imienia wzgórza leżącego w pobliżu, skąd Rzymianie, mając do pomocy

garnizon z Chester (tj. Castrum), opanowali tę miejscowość.

Sprawą tych rozkopów zajęło się towarzystwo archeologiczne w Birmingham, pod kierunkiem Sir Ch. Hyde'a. Wydobyto z pod ziemi hallę bazyliki, łaźnię, warsztat i piec emaljera, mnóstwo przedmiotów domowego użytku; napis, który głosi:

Na cześć imperatora cezara, syna boskiego Trajana, Parthikusa, wnuka boskiego Werwy — (na cześć) Trajana Hadrjana Augusta — najwyższego kapłana, dzierżącego władzę trybuna rok czternasty, konsula poraz trzeci — ojca swej dzielnicy — gmina (*civitas*) kornowijska (postawiła ten pomnik).



K a i r o u a n

Napisał i ilustrował

M. Walentynowicz

W małym, niemiłosiernie dusznym, trzęsącym i brzęczącym wagonie, pełnym piasku z pustyni, a właściwie kurzu, który się wciska nawet przez szczelnie zamknięte okna, dojeżdżam do Kairuanu. Odrazu otacza mnie nastrój zupełnie inny niż ten, który panuje w zeuropeizowanym Tunisie. Prawie u samego progu malej, czystej stacyjki leżą dwa wielbłądy, na które opaleni Arabowie ładują worki i skrzynie. Na każdy nowy pakunek wielbłąd ogląda się smutnie, o długich rzęsach oczami i rozpaczliwie wzdycha. Za chwilę zapominam o wielbłądach, workach i Arabach, bo moja osoba i moje walizki wywołują gwałtowną bójkę pomiędzy polującymi na „dix sous” tubylcami. Bagaż mój wędruje z rąk do rąk i raptem z przerażeniem spostrzegam, że dwaj chłopcy mkną, migaćc golemi łydkami z nim razem gdzieś w przestrzeń po zakurzonej szosie. A więc puszczam się i ja; za chwilę galopuję, poprzędzany przez dwóch posiadaczy moich walizek. Jeden jest obleczony w dziwnie brudną i podartą koszulę, a drugi ma krochmalony kołnierzyk, który może parę lat temu był

biały, ale za to jest posiadaczem europejskich skarpetek, podwiązek i bucików na gumie. W ten wspaniały i uroczysty sposób odbyłem wjazd do Kairuanu. Jestem u celu. Obdrapany „Hotel de France” o europejskim wyglądzie nazewnątrz, z miękkimi meblami w hall’u, z których jakoś gwałtownie wylażyło pierze, z zasuszonym krokodylkiem na ścianie, słoikami z marynowanymi pajakami i skorpionami, z rocznikami ilustrowanych pism z przed 40 laty — nie odznaczał się specjalnym komfortem. Wybór jednak był łatwy, bo drugi taki przybytek, poza własną, czasami funkcjonującą elektrycznością i jednym fotelem trzcinowym więcej, odróżniał się od mego trzy razy droższą ceną. W dzielnicy europejskiej mieszczą się owe dwa hotele, poczta, bank i europejska kawiarnia z jedynym w okolicy platanem. Z tej racji jest nawiedzana przez wszystkie psy miejscowe, które za własnym psim interesem wpadają na chwilkę do ogródka, gdzie rośnie to przyjemne drzewo.

Przez potężną bramę zębatach murów miejskich, otaczających cały Kairuan, wchodzi-



Tragarz arabski na wielbłądzie

my do samego miasta. Święte miasto jest napewno dużo więcej świętem, niż miastem, bo w naszych pojęciach absolutnie nie zasługuje na ten tytuł. Ma ono kilkaset, przeważnie parterowych, krzywo murowanych domków i uliczek tak wąskich, że dwa mijające się wielbłądy objają boki i o siebie i o pobielane mury kamienic. Nawet główna ulica, taki Nowy Świat czy Aleje, (rośnie tam z pół tuzina drzewek pieprzowych) — ma najwyżej z 5 metrów szerokości. Przecina ona całe miasto i jest ośrodkiem handlowo-spacerowo - przemysłowym dla całej, 40.000 mieszkańców liczącej, miejsciny. Prócz kilkunastu meczetów, z których trzy są dostępne dla Europejczyków, a jednego z nich, naprawdę dużego, bo aż na 600 kolumnach z ogromnem podwórkim, — z budowli, na tamtejsze stosunki monumentalnych, Kairouan posiada t. zw. „suki” coś w rodzaju Konstantynopolskiego „czerszi kebir”, tylko w minjaturze. Są to sklepione korytarze, oświetlone przez dziury w suficie i mające po bokach małe pokoiki — sklepy. Kiedyś odbywał się tu bardzo ożywiony handel niewolnic, a teraz mieszczą się drobni rzemieślnicy, fabrykujący pantofle i uprzęż na osły i konie. Strasznie żałowałem, że się to tak bardzo zmieniło: wolałbym zamiast arabskich

„papuczi” kupić z parę gazelookich arabskich odalisek, a przynajmniej obejrzeć, już nigdy niemożliwy do oglądania, „targ na dziewczęta” i to w ilości kilkuset sztuk.

Po drugiej stronie murów, czyli w tak zw. Kasbachu za taką samą bramą miejską u wrót już pustyni — mały rynek z kilkoma drzewkami pieprzowymi — cały dzień ruchliwy, wrzaskliwy i tłoczny. Tu rano obskubane wielbłądy i smutne osiołki zwożą trawę i wodę, tu sprzedają się zwiedłe karczochy, suszone daktyle i figi, trzcinowe flety, ślicznie upiękzone prymitywną plecionką, żółte, złotem haftowane pantofle i niezliczona ilość garnków, garnuszków, dzbanków i kubków z jaskrawej żółto-różowej gliny. W krótkim cieniu drzewek i murów stoją zamyślane osły, te tak niesłusznie skrzywdzone, przemile zwierzątka. Osieł dla mnie jest teraz synonimem pracowitości, rzetelności, cierpliwości, wyrozumiałości na ludzkie słabości i boskiego wprost nic nie robienia z przeciwności losu. Nosi on na plecach, a ściślej na ogonie, z godnym naśladowania stoicyzmem czterykroć większych od siebie Arabów, stogi siana i wagony chrusu bez słowa skargi, bez gestu rozpaczki lub zniechęcenia. Jedyłą małą wadą jego jest może zbyt łudząco przypominający zardzewiałą piłę, ale dużo donioślejszy głos. I pomiędzy temi właśnie ofiarami ludzkiej niesprawiedliwości pomiędzy rozłożonemi wprost na ziemi na brudnych matach artykułami spożywczymi, pomiędzy wróżbitami, kuglarzami, bolejącymi wielbłądami, białymi koń-



Stary kuglarz

mi z malowanemi na czerwono ogonami i grzywami, przechadzają się Arabowie. Przechadzają się z godnością i powagą grandów hiszpańskich, te tak dziwnie wyglądające postacie, całe zawinięte w białe ciepłe burnusy, z głowami obwiazanymi białymi chustkami i czasami z europejskim włochatym rękawnikiem, wdzięcznie zarzuconym jednym końcem na głowę, a drugim owiniętym wkoło szyi. To mieszkańcy pustyni — bedui — wieśniacy, jak ich nazywają „mieszczuchy Kairuańskie”. A ci ostatni są o wiele bardziej eleganccy: nie noszą zdeptanych żółtych pantofli, lecz europejskie sznurowane buciki, skarpetki wzorzyste, podwiązki na gołych, niebiesko tatuowanych nogach, kolorowe chitony pod burnusami, a na głowie płaskie, szczelnie oblegające głowy — fezy z długimi, czarnymi, jedwabnymi pomponami i owinięte walcem z waty, takim, jak się u nas zabezpiecza okna na zimę.

Ale powaga, spokój i godność prędko przyska pod wpływem najłżejszej emocji np. przy kupowaniu spleśniałej figi. Wtedy illegmatyczny Arab zmienia się we wrzaskliwego giestykulującego Włocha, a robi to jeszcze głośniej i z większą jeszcze energją. Przysiada, skacze, macha pięścią koło twarzy sprzedającego, aż ten ostatni wpada też w trans handlowy i wiernie zaczyna naśladować klienta i stara się nawet go przekrzyknąć i wykonać większą ilość gwałtownych ruchów. Publiczność bierze czynny udział w



Osiódek przywiązany do wielbłąda

handlu i raptem, względnie spokojny rynek zmienia się w krzyczący, skaczący i kotłujący się ul. Targ dobity i przekupnie znów zaczyna drzeć nad zakurczonym towarem, a publiczność błdzić tu i tam, niemiłosiernie rażąc oczy swemi białymi burnusami w przeraźliwie jaskrawem słońcu.

Stary wróżbiarz wyciąga do mnie nabiżaną miedzianemi gwoździemi kulę drewnianą, na żelaznym drągu, tę arabską różdżkę czarodziejską i wtyka ją w ziemię. Obracając ją, pośpiewuje jakieś zaklęcia — rozpoczyna wróżbę. Przystaje, patrząc ciekawie, jak on pokręconym palcem kreśli na piasku gwiazdy, trójkąty, koła, stawia jakieś znaczki kabalistyczne, a potem, patrząc na mnie rozszerzonymi oczami i machając kulą, wykrzykuje jakieś przepowiednie. Oczywiście nie rozumiem ich, ale zaczyna im się ciekawie przysłuchiwać tłum poważnych gapiów, więc czempredziej rzucam franka i uciekam. Boję się, żeby ten stary spryciarz nie opowiedział słuchaczom, że dziś rano wdychałem, posyłając mdlejące spojrzenia w zakratowane, haremowe okno, w którym wdzięcznie się uśmiechała prześliczna cudza żona. Ach te Arabki! Nie dziwię się, że Arabowie mają po kilka żon: mieliby szalony kłopot z wyborem, gdyby się mogli tylko z jedną żenić, bo prawie wszystkie są prześliczne; nawet tatuowane gwiazdki na policzkach, brodzie i nosie dodają im tylko uroku. A olbrzymie srebrne bransolety na nogach, przypominające wielkością dobre średniowieczne kajdany, naturalnej wielkości półksiężycy w uszach, paciorki „ze wszystkiego” robią z najbrudniejszej jakąś Schecherozadę. Trud-



Kobziarz



Zaklinacze węzów

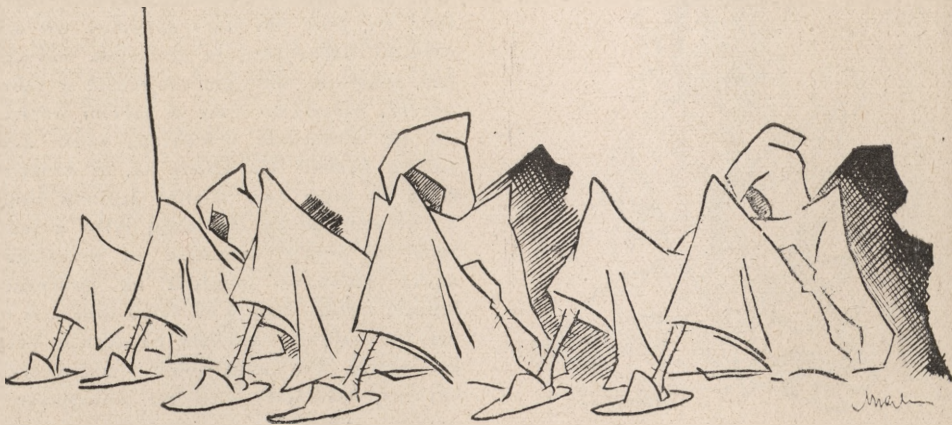
no je zobaczyć, bo są bardzo wstydliwe i nigdy nie odsłaniają twarzy, chyba, że żaden Arab nie patrzy, wtedy bardzo skwapliwie i z wielką przyjemnością to czynią.

Na środku drogi, w cieniu małego ze związanymi uszami osiołka śpi jakiś murzyn, ma zarzuconą wtył głowę i szeroko otwarte usta, do których ciekawie zaglądają natrętne muchy. Po chwili osiołek, potrącony przez ciężko człapiącego miękkimi kopytami wielbłąda, przeskakuje przez śpiącego i idzie

ukraść trochę trawy od swego kolegi, przywiązanego do czwartej nogi, stojącego na trzech — wielbłąda. Wielbłąd ma tę czwartą nogę związaną w kolanie rzemieniem i wygląda jak gdyby ktoś mu mocno na odciśnięcie nadeptał, a osiołek podtrzymuje go, aby się nie wywrócił, stając tak tylko na trzech pokręconych kikutach, a czwarty przytykając boleśnie do oskubanego z sierści brzucha.

Teraz przeciskam się przez zwarte koło widzów, aby zobaczyć zaklinacza węzów. W długiej po pięty białej koszuli, z rozwianą grzywą czarnych włosów, z jednym okiem, patrzącem na widzów, a drugim na koszyki złożone w środku koła, tańczy pod dźwięki kobzy i dużego bębna — sam czarodziej. W rękę ma oczywiście taką samą kulę, jak

mój wróżbita; tańczy, przechylając się rytmicznie, tupie bosemi piętami i podśpiewuje, piszczałki kobzy grają coraz wyżej i głośniejsze, bęben warczy i z kosza zaczyna powoli wychylać się płaski łeb kobry. Szybkim ruchem zaklinacz wyrzuca ją na piasek, potem drugą, trzecią, czwartą, kobza piszczy nie do zniesienia, bęben wydaje niemożliwe trele, biała koszula z czarnym pióropuszem kręci się jak opętana, a kobry, stojąc na ogonach z nadętymi kapiszonami, kiwają się wahadło-



Dolce far niente

wo i obracają ku tańczącemu; publiczność zaczyna klaskać miarowo w dłonie i pod te suche uderzenia kilkudziesięciu rąk zaklinacz na czworakach bryka pomiędzy syczącymi węzami i bodzie je głową. To się widocznie kobrom wcale nie podoba, bo się cofają od niego, a jedna nawet chyłkiem ucieka do koszyka, lecz musi wrócić i patrzeć w dalszym ciągu na harce białej koszuli, bo ogon ma już przyciśnięty kamieniem, jako karę za dezercję. Muzyka gra ciszej, koszuli się znudziło udawać kangura, więc przechodzi do sedna sprawy t. j. do zbierania pieniędzy. Kobry, stojąc na ogonach, przypatrują się ciekawie tej procedurze, co znowuż mniej interesuje publiczność, która raptem przypomina sobie o swoich pilnych interesach i, pomimo życzliwych okrzyków zaklinacza, gwałtownie znika.

Na głównej ulicy stoi kilkanaście drewnianych straganów, na których przedewszystkiem siedzi na podwiniętych nogach sam kupiec, a potem różne inne smakołyki, więc: jakieś sztywne słodkie ciastka, żółte, tuż obok pieczone w oliwie obwarzanki, placki, a wszystko to udekorowane srebrnymi i złotymi papierkami od czekolady i herbaty i papierowymi kwiatkami. Takież papierki i kwiatki powtykane są we flaki, wiszące obok na drugim straganie, co widocznie mocno przypada do gustu muchom, bo rójami pokrywają te smakowite kaski, mało zwracając uwagi na kropidlą z włókien palmy, którem sprzedający chce je nastraszyć. Kairuańskie muchy przekonały mnie do powiedzenia „chytiry, jak mucha”. Na nic się zda ich wywożenie za miasto, co się skutecznie za pomocą wózka z rozwieszonym popsutem mięsem, bo muchy te wracają, ale nie fatygują się lecieć same, tylko skrupulatnie pokrywają plecy idących i jadących, aby w ten sposób, bez zmęczenia, wrócić na dekorowane flaki i słodkie obwarzanki.

Kairuan zwiedziłem w okresie ramadanu, miesięcznego postu, w czasie którego od

wschodu do zachodu słonca prawowity Arab nie ma prawa nic wziąć do ust. Więc nie jedzą, nie piją i nie palą przez cały dzień, a jedynie albo drze mią pod ścianami domów, albo się kłóca i biją. Dopiero przed

zachodem wszystko się uspakaja i zasiada w milczeniu przed kawiarniami (są i tam). Na stolikach mają przygotowane kubki z wodą, przed każdym stoi filiżanka kawy (pół czarnej), obwarzanek, obwachiwany z wielkim apetytem na wszystkie strony przez ostatnie pół godziny i papieros. I gdy tylko mu-ezzin z minaretu zaśpiewa o wielkości Allacha i Mahometa — w jednej chwili niknie



Misjonarz



Czytanie bajek

woda, kawa i obwarzanek, a ulice zasnuwają błękitne kłęby dymu papierosowego. Teraz zaczyna się przyjemna część dnia, upału niema, w „kawiarniach” tłok, czarna kawa, dużo gorsza od tureckiej, ale w ten sam sposób przyrządzona, herbata z ziołkami aromatycznymi, a z przewagą mięty, wypijają się w ilości niepomiernej. Palacze, z tych nałogow-szych, palą w długich fajeczkach t. zw. „kif” coś w rodzaju haszysz-a i siedzą potem ze

zbaraniałą twarzą przez dobre pół godziny. Mali chłopcy w plecionych koszykach, lub na blaszanych tackach roznoszą śmiesznie ma-lutkie bukietki z pączków róż i jaśminu, ułożonych w misterną, ornamentowaną kulkę, którą każdy Arab wacha i z gracją zatyka

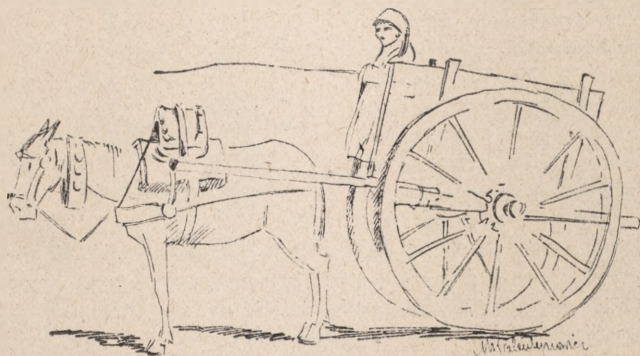


sobie za prawe ucho, co czasami niekoniecznie pasuje do brodatych i wyschniętych twarzy staruszków. Osły i wielbłądy śpią w specjalnych zagrodach za murami miasta, a ich właściciele — beduińscy spędzają wieczór w kawiarni.

Nie jedna nasza śpiewaczka pozazdrościłaby młodemu chłopakowi, który pod akompaniamentem fletów śpiewa beduińskie pieśni miłosne. Ze skupieniem i przejęciem wsłuchują się oni w tę dziwną dla naszego ucha, a jednak pełną nastroju piosenkę, śpiewaną bez przerwy przez godzinę przynajmniej. Cisza absolutna panuje w odrapanej z tynku i z glinianą podłogą bramy kasbachu, w której urządzona jest kawiarnia beduinów. Skulone białe postacie, wachające bukieciki róż i słuchające pieśni smętnych i żalonych, każą zapominać, że ma się przed sobą ludzi dzikich właściwie zupełnie, spędzających życie w namiotach z brudnych szmat razem z wielbłądami i osłami w obliczu milczącej pustyni. Obok w innej krzywo lepićnej i skromnie pobielanej izbie kawiarni na podium chudy Arab w dużych okularach przy świetle naftowej latarni z ogromnej książki czyta bajki. Te same, siedzące z pokurczonymi nogami na drewnianych ławkach zasłuchane białe postacie. Cisi kelnerzy w długich po pięty białych koszulach roznoszą herbatę. Przez dobrą godzinę słuchałem opowieści, którą się czyta codziennie 3 godziny przez 1½ roku.

Nie rozumiałem absolutnie nic, wsłuchiwałem się jedynie w nadzwyczajnie żywą intonację czytającego. Mój cicerone, handlarz dywanów, Mahomed ben Ali Mehri, który w haniebny i bezczelny sposób naciągał mnie na kupno całkiem mi niepotrzebnego dywanu i z tej racji stał się wielkim moim przyjacielem, od czasu do czasu podpowiadał mi treść i, słuchając, sam dopowiadał sobie nadzwyczajne przygody króla, który w brzydki sposób szukał swoich sojuszników, i za to został nagrodzony (?) przez los cudną żoną i bogatym królestwem.

W bok od głównej ulicy, po przejściu kilku, prawie zupełnie ciemnych, wąskich i krętych zaułków, dochodzę z Mahmudkiem do siedziska derwiszów. W dużej niskiej sali, podpartej czerwono malowanymi kolumnami na matach, rozestanych na podłodze, to samo godne i milczące towarzystwo. Gra gdzieś w ciemnym kącie bęben, postępuje kobza — czekamy. Na środek sali występują dwie czarno ubrane postacie derwiszów, tak bez nadziei brudne, że czerwone fezy są absolutnie czarne, tylko na czubku głowy znac ich dziewiczy kolor. Przedewszystkiem zbieranie pieniędzy, a potem muzyka zaczyna grać głośnie, derwisze robią głupio zadumane miny i zaczynają tańczyć. A więc kiwają się na wszystkie strony, okręcając się powolutku, wymachując z gracją rękami, człapią nogami po matach i mruczą coś pod nosem. Stopniowo muzyka staje się głośniejszą i żywszą, ruchy bardziej urywane i gwałtowne, aż dwie czarne figurki zmieniają się w jakieś



djabelskie postacie, tańczące na łysej górze. Słabe oświetlenie nie pozwala dojrzeć wszystkich ruchów, a widać już nie ludzi, lecz jedynie rozwiane opończe. Do tańczących zbliżają się inni derwisze, tacy sami brudni z roziskrzonymi oczami i przekrzywionymi twarzami. Stoją wpatrzeni w wirujących kolegów, sami się zlekka kiwają w takt muzyki i znac przechodzące przez nich konwulsyjne drgawki. Za chwilę tańczący, staniając się i patrząc nieprzytomnym wzrokiem, giną gdzieś w ciemnych kątach sali, a na ich miejsce wyskakuje ich kolega. Z apetytem zajada on pokryty niezliczoną ilością kolców kaktus i zagryza to żywymi skorupionkami. Publiczność uważnie przygląda się tym kulinarnym popisom, zachowując się dużo kulturalniej od Europejczyków i nie wyrażając swego zachwytu przez klaskanie, tupanie, krzyki, ryki i obrzucanie przedmiotu swego zachwytu różnorodnego rodzaju wiechciami. Muzyka pobrzękuje w kącie, a miejsce już najedzonego brudasza zajmuje drugi, skacząc susami po rozestawianych matach, wyrzucając przez wykrzywione usta chrapliwe okrzyki, wymachując długim, cienkim, o drewnianej rękojeści, nożem. Wtem zatrzymuje się gwałtownie, przechyla wtył głowę i oburącz wbija szybkim uderzeniem nóż w gardło. Potem z zadartą głową, z wyciągniętymi wtył rękami obchodzi publiczność, niosąc przed sobą na jakie dwa centymetry wbity w szyję nóż. Uderzając z rozmachem młotkiem w sterczącą drewnianą rękojeść, ktoś z widzów stara się wbić go jeszcze głębiej, na co delikwent reaguje bardzo przykrem charczeniem. Po chwili łapie jedną ręką za błyszczące ostrze, wyciąga je szybko, a drugą przyciska przebite miejsce, a po jej odjęciu pokazuje zebrany małą czerwoną plamkę na brudnej skórze. Jeszcze dwa franki za widowisko i przedstawienie skończone.

Zbliża się godz. 12 t. j. czas, gdy cały

Kairouan spożywa pierwszy obfity posiłek. Na ulicach pustawo, tylko od jednych zamkniętych drzwi do drugich, z poza których dochodzą wesole głosy, biegają białe postacie żebraków z garnuszkami w rękę i krzyczą coś, co rażąco przypomina „Ja Św. Anna”. Po spożyciu posiłku — drzemka. O g. 3-ej rano po mieście biegają jakieś pobożne, a uczynne Arabcy, bijąc w bęben i dmąc w drewniane piszczałki, budząc wszystkich do spożycia ostatniego posiłku przed wschodem słońca. Z dziwnym uporem taki jegomość wracał parę razy pod okno hotelu i budził „niewiernych” serenadą o wątpliwej wartości artystyczno-muzykalnej. Przy łaźni gwar i tłok. To ci, co zbyt burzliwie spędzili dzisiejszą noc, śpieszą przed wschodem słońca obmyć grzeszne ciało. Pod ściami na ślepy żebrak lyka z pośpiechem ogromną bułkę, starając się zjadać jeszcze przez żuchwę jej bezzębnymi szczękami. Gruby Arab, widocznie bardzo poważna osoba, bo na fezie ma trzy pokłady wałków z waty, sapiąc, pali ost tnią fajkę kifu. Wciąga on głęboko dym, przyczem malutkie oczka wychodzą mu nawierzch, jak u raka, a wąsy się jeżą



Palacz kifu

groźnie w moją stronę. Siedząc na ziemi i beznadziejnie zwisiwszy ręce przez podkurczone kolana, młody murzyn zazdrośnie spogląda to na żebraka, to na palacza, wzdycha i zaczyna piosenkę bez końca, wybijając takt bosami, białemi od kurzu, nogami. Za chwilę smętny głos z minaretu w porannej ciszy wita wstający dzień imieniem Allacha. A ranne słońce oświeca ciągnące ku miastu z tajemniczej pustyni po przez pagórki piasku karawany obciążone trawą, wodą i chrustem i długie szeregi wracających na pustynię wielbłądów, na których, kiwając się, przelumpowany, a sentymentalny beduin nuci piosnkę słyszaną wczoraj przy „półczarnej”, herbatce z miętą i fajeczce kifu.

Czerwona krowa

Pod względem znaczenia hodowli w gospodarstwie panują u nas dotychczas bardzo chaotyczne poglądy. Gospodarstwo rolne opierać się może na trzech rodzajach produkcji: roślinnej, zwierzęcej i przemysłowej. W wyjątkowych tylko warunkach przedsiębiorstwo rolne może się zajmować wyłącznie jednym z wyżej wymienionych działów produkcji. Również wyjątkowo tylko okaże się opłacalną wyłączna wytwórczość zwierzęca. np. w sąsiedztwie wielkich miast, gdzie sprzedaż mleka lub wypasanie trzody chlewnej zapewni najwyższe zyski. Naogół w naszych warunkach potrzeba stosowania obornika zmusza do prowadzenia zarówno produkcji roślinnej, jak i zwierzęcej, i dopiero przy właściwym ustosunkowaniu tych dwóch działów warsztat rolny osiąga najwyższą wydajność.

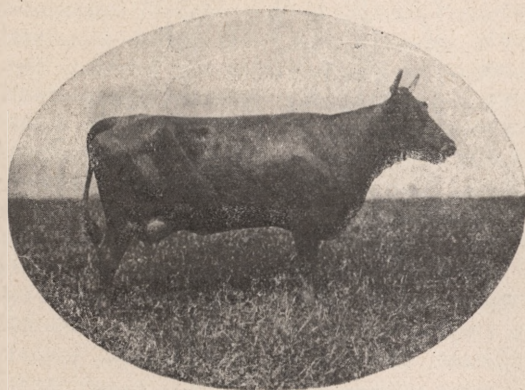
Ważną zaletą tego rodzaju gospodarstwa jest mniejsze ryzyko. W razie klęski, część dochodu jest ubezpieczona w produkcji, której klęska nie dotknęła. Poza tem gospodarstwa hodowlane, zwłaszcza pastwiskowe, naogół potrzebują mniejszej ilości rąk robo-

czych, co w dzisiejszych powojennych warunkach, gdy skala wymagań robotnika niepomniernie wzrosła, a wydajność pracy się zmniejszyła, jest dla rolnika kwestją pierwszorzędного znaczenia.

Jeżeli zastanowimy się nad kwestją opłacalności na przyszłość i zestawimy ceny głównych produktów pokarmowych: żyta i mięsa za ubiegłe stulecie, to, obok wybitnej ten-

dencji zwykłej, stwierdzimy znacznie silniejszą tendencję zwykłą na mięso. Ta stała tendencja zwykła na produkty zwierzęce jest zupełnie zrozumiała, gdyż zapotrzebowanie tych towarów wzrasta znacznie szybciej, niż możność jego pokrycia. Przyczynia się do tego z jednej strony większe spożycie mięsa przez ludzi, z drugiej zaś, wskutek postępu kultury zanikanie pastwisk, które idą pod uprawę, i stałe zmniejszanie się procentowego stosunku bydła do mieszkańców. Przed wojną hodowla u nas znajdowała się (głównie w Królestwie Kongresowym) w bardzo ciężkich warunkach, gdyż Rosja, stosując protekcyjne taryfy kolejowe, zarzucała formalnie nasz rynek produktami taniej hodowli stepowej (woły ukraińskie,

masło syberyjskie). Obecnie na cały szereg lat Rosja przestała być dla nas groźnym konkurentem. Z rynku światowego ustąpiły również Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, które od czasu wojny przestały prawie zupełnie eksportować mięso, a już od 1913 r. importują znaczną ilość bydła.



„Jaskółka” z ohory w Boguszyńcach

Tak więc, i koniunktury handlowe, możliwości eksportu oraz konkurencji na rynkach światowych przemawiają za tem, aby hodowli naszej poświęcić baczną uwagę i w tym kierunku z najwyższym wysiłkiem pracować.

Aby jednak osiągnąć należyte rezultaty, trzeba użyć do hodowli takich zwierząt, któreby jaknajlepiej wyzyskiwały paszę, aby

możliwie największa część spożytego pokarmu szła na właściwą produkcję.

Dzisiejsze rodzaje zwierząt domowych pochodzą od odpowiednich form dzikich. Człowiek oswajał te zwierzęta od niepamiętnych czasów, aby je eksploatować dla swych celów, i starał się rozwijać w nich te cechy, które były dla niego najbardziej korzystne. Tak więc, u konia wierzchowego starał się osiągnąć jak największą szybkość, u konia roboczego zaś siłę pociągową, u krowy mlecznej maksimum wydajności mleka; u bydła opasowego i świń jaknajwiększą masę mięsa i tłuszczu przy najmniejszej ilości części mało użytecznych. Widzimy więc, że oddawna człowiek dążył do zróżniczkowania, do, że się tak wyrażę, specjalizacji zwierząt domowych, zależnie od wymagań, jakie tym zwierzętom stawiał, i jakie były dla człowieka korzystne. Dzięki różnym, w tym celu stosowanym przez człowieka zabiegom, powstały rasy zwierząt domowych.

Przez rasę należy dzisiaj rozumieć pewną grupę zwierząt domowych, jednakowej lub podobnej postaci, która powstała przez zastosowanie się do tego samego rodzaju warunków bytu (klimat, gleba, spożywanie) i która cechy swe trwale przekazuje potomstwu.

Dopiero od XVIII-go wieku, od czasu rozwoju nauk biologicznych, datuje się świadomy wpływ człowieka na powstawanie ras, a więc hodowla w dzisiejszem znaczeniu tego wyrazu.

Pierwszym krajem, który zdobył nowoczesnej wiedzy biologicznej zastosował praktycznie w hodowli, była Ameryka, która do dnia dzisiejszego zajmuje na tem polu czołowe miejsce. Wkrótce jednak i inne kraje zachodniej Europy rozpoczęły pracę w tym kierunku i wytworzyły swoje własne rasy zwierząt domowych, nieustępujące angielskim.

Dzisiaj prawie każde państwo zachodniej Europy posiada własne, u siebie stworzone rasy koni, bydła i trzody chlewnej, dostosowane do rodzaju gleby, warunków klimatycznych i potrzeb ludności.

Polska, pomimo że posiadała niegdyś dla hodowli wybitnie sprzyjające warunki, dzięki zacofaniu i ciemności, pozostawała w tyle za całą Europą: nie potrafiła u siebie stworzyć żadnej rasy, oddając niejednokrotnie

zagranicę cenny materiał hodowlany, na którym u nas nikt nie umiał się poznać.

Dopiero w ostatnim lat dziesiątku ubiegłego stulecia zajęto się u nas sprawą hodowlaną; rozpoczęto sprowadzać z zagranicy materiał zarodowy i organizować zrzeszenia hodowców. Brak jednak zainteresowania ze strony szerszego ogółu, a następnie zawierucha wojny światowej, szalejąca na naszych ziemiach, podcięła korzenie poczynającej się rozwijać hodowli. Dodać należy, że przed wojną usiłowania naszych hodowców nie przedstawiały jednolitego kierunku: sprowadzano według własnego widzimisię różne rasy, często zupełnie dla nas nieodpowiednie, wytwarzając w ten sposób jeszcze większy chaos. Zresztą, nawet rasy, o ustalonej na zachodzie reputacji, przeniesione w nasze warunki, okazywały wielkie braki, gdyż, wskutek surowego klimatu i odmiennej paszy, w następnych pokoleniach podlegały zwyrodnieniu, okazując utratę pożądanых cech (mleczność, wzrost) i skłonność do pewnych chorób.

W Królestwie Kongresowem do oparcia hodowli na materiale własnym, krajowym nawoływać poczęli Aleksander Nitkowski i dr. Witold Świącicki na łamach „Gazety Rolniczej”. Im to zawdzięczamy pierwsze wytyczne popierania hodowli bydła rodzimego.

Podnieść należy dalej wielkie zasługi prof. Chaniewskiego, który z niestrudzoną energią propagował kierunek rodzimy hodowli, i dzięki któremu przy pomocy sekcji chowu bydła Centralnego Towarzystwa Rolniczego powstał wreszcie związek hodowców bydła czerwonego polskiego. Wszystkie te usiłowania pozostawały początkowo bez poparcia, bo nikt poza kilkoma z większych właścicieli w Królestwie do tej hodowli nie dał się nagiąć.

W Małopolsce sprawa przedstawiała się znacznie lepiej: tam, dzięki pracy profesorów Studium rolniczego w Krakowie Adametza i Kleckiego, oraz kilku świadomych swego celu hodowców już w r. 1895 powstaje „Towarzystwo hodowców czerwonego bydła polskiego”. Pierwsza obora tego bydła powstała już w r. 1883 u p. Hermana Czecha w Kobiernicach, w r. 1890 zdobyła na wystawie w Wiedniu honorową nagrodę. Następnie założone zostały i zdobyły sobie w krótkim czasie rozgłos obory Krakowskiego Towarzy-



Buhaj w zaprzęgu (Boguszyce)

stwa Rolniczego w Brzerzanowie (r. 1889); Stefana hr. Romera w Jodłowniku i p. Róży Zduniowej w Rabie Wyżniej.

Polskie bydło czerwone, a właściwie czerwono-brunatne w swej dzisiejszej postaci jest prawdopodobnie produktem skrzyżowania bydła myszatego praeuropejskiego z przewiezionem z Azji bydlęciem bantengowatym. Bydło praeuropejskie pochodzi od indyjskiego bantenga. Droga lądową z Azji Mniejszej dostało się to bydło do Afryki północnej, skąd zawędrowało do Europy.

Znajdujemy je dzisiaj jeszcze we względnie pierwotnym stanie, w jakim było, jako szczep praeuropejski jednomaścistego myszatego bydła, w dużych zgrupowaniach, rozrzuconych po całej Europie. Bydło to uważane jest za typ czysty, nieskrzyżowany, pochodzący (pomijając dzikiego przodka, indyjskiego bantenga) od kopalnej formy europejskiej (bos longifrons Osen) bydła długoczołowego.

To bydło czołowe praeuropejskie, skrzyżowane następnie z pokrewnym bydlęciem bantengowatym azjatyckim, przyprowadzonym prawdopodobnie do Europy w czasie wędrówki ludów, dało, jako rezultat krzyżówki, jednomaściste bydło czerwone. Była to zatem krzyżówka podobnego z podobnym, gdyż i bydło praeuropejskie wywodzimy od indyjskiego zebu, czy bantenga. (Bantenga spoty-

kamy w Polsce jeszcze w XVII w., później zupełnie zaginął).

Bydło to, tylko jako rasa hodowana, żyje w środkowej Europie, wykazując liczne warianty w maści (natężeniu barwika i budowie, zależnie od natężenia skrzyżowania). Potworna domieszka krwi bantenga spowodowała u tych ras jednomaścistych zmianę barwika pierwotnego (dzikiego, jak u sarny) na czerwono-brunatny; dała skłonność do opasu (banteng osadza tłuszcz pod skórą w postaci garbu) i wysoką zawartość tłuszczu w mleku, połączonego z wczesnym dojrzewaniem.

Anglja prawdopodobnie bardzo dawno, bo w VII w. po N. Chr., sprowadziła bydło czerwone z Polski; kształtowało się ono w innych warunkach gleby i klimatu; dlatego powstała w bydle czerwonym angielskim inna harmonja cielesna: rozwinęła się jedna jego strona — kierunek mięsny — gdy tymczasem w Polsce pozostała w całej pełni dawna różnorodność użytkowania tego bydła. Angielskie bydło czerwone, zwane dewońskim (od hrabstwa Devonshire), jest dzisiaj najlepszą rasą bydła mięsnego, które zdobywa rynki australijskie, a nawet amerykańskie.

W bydle czerwonym polskim należy różnić dwa typy: typ pierwotny nieuszlachtowany oraz bydło czerwone (zarodowe) polskie.

Typ nieuszlachetniony jest bardzo rozpowszechniony wśród włościan w Małopolsce i b. Królestwie Kongresowem. Jest to bydło małe, cienkiej kości i suchej budowy. Maść wykazuje wahanie od jasnej „sarniastej” do ciemno-wiśniowej. Charakterystyczną cechą jest jasna obwódka koło pyska lub ciemna, zależnie od natężenia ogólnej maści danej sztuki, pręga grzbietowa. Skóra jest twarda, niezbyt przesuwalna. Głowa bardzo długa, wąska, klinowata; rogi krótkie,

zgrabne, jasne z ciemno zabarwionym końcem, o charakterystycznym biegu: najprzód biegną w bok, potem nachylają się ku przodowi, zginając się wdół, aby znów końcami wzniesić się lekko ku górze. Miednica, średnio szeroka w

krzyżu, zwęża się silnie w kościach siedzeniowych. Odnóża o słabej kości, zarówno jak kręgosłup, są w stosunku do wysokości w kłębie i krzyżu bardzo wysokie (stąd to bydło nie nadaje się do pracy pociągowej); wymię bardzo małe.

Pomimo tych licznych usterek bydło to robi dodatnie wrażenie żywych i zgrabnych okazów.

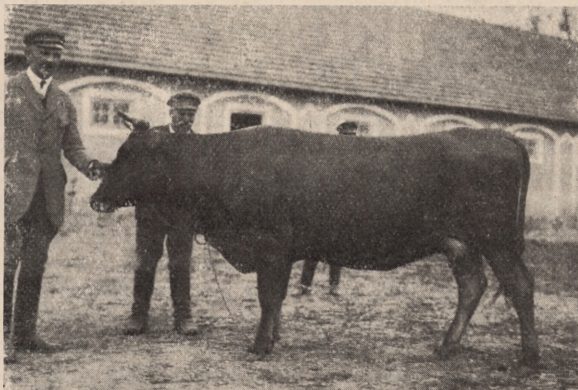
W Królestwie najlepszy typ tego bydła znajduje się w południowej części, w okolicy gór świętokrzyskich. Odznacza się ono tam jasnym, prawie białym podbrzuszem, jasnym zakończeniem ogona i ciemną słuzawicą.

Dzięki zupełnie przypadkowemu krzyżowaniu, bydło czerwone zatraciło poczęści swe dodatnie cechy, i chociaż uszlachetnionych krewniaków tego bydła mamy dosyć na kontynencji europejskiej, wszelkie krzyżowanie jest niepożądane i jest niszczeniem tej cennej krajowej rasy. Tak pisze o tem prof. Moczarski: „jeżeli o krzyżowaniu bydła czerwonego czemkolwiek może być mowa, to tylko w dalekiej przyszłości; na razie

jest to rasa, którą przedewszystkiem od niepożądanych przygodnych krzyżówek uchronić należy; rasa, u której niespożyte wrodzone zalety muszą być uwydatnione”.

Bydło czerwone zarodowe polskie jest rezultatem długoletniej pracy hodowców i przedstawia już w stosunku do wyżej omawianego bydła pierwotnego typ zdecydowanie poprawny. Poza charakterystycznymi znamionami tej rasy, znajdujemy tu budowę

większą, cięższą, o pełnych stosunkowo kształtach, maści wiśniowej (nieraz bardzo ciemnej, zwłaszcza u stadników) i dość silnie rozwiniętych znamionach mleczości. Typ zarodowy jest prawie wyrównany. Wadą dziedziczną (jeżeli chodzi o mleczość)



Piękny okaz czerwonej krowy

nie do usunięcia tego bydła jest skłonność do tuczenia się (wpływ bantenga) i dlatego nie uda się zapewne, nawet przez intensywne żywienie dojść do wysokiej mleczości, albowiem tylko część białka i węglowodanów paszy zużyta będzie na produkcję mleka, reszta zaś będzie osadzana, jako tłuszcz organizmu.

Przeciętna mleczość w 13 oborach zarodowych w Małopolsce zachodniej wynosiła w r. 1909 — 2447 kg. ze średnim tłuszczem 3,69%; w b. Królestwie Kongresowem 2500 kg. mleka przy 4% tłuszczu.

Od tego czasu jednak do dnia dzisiejszego produktywność znacznie się podniosła.

W r. 1921, po szeregu wystaw bydła czerwonego polskiego, odbyła się w Rabie konferencja hodowców, której celem było zastanowienie się nad kierunkiem, jaki należy obrać w hodowli bydła czerwonego w Polsce. Obok licznych przedstawicieli hodowców i inspektorów związków hodowlanych, wzięli udział w konferencji profesorowie szkół rolniczych z prof. Adametz'em na czele, pierwszą dziś w Europie powagą na polu nauki

hodowli. Jemu należy w pierwszym rzędzie zawdzięczać wyświeślenie pochodzenia czerwonej rasy polskiej, jego też zasługą było skierowanie na właściwą drogę usiłowań hodowców galicyjskich, którzy postawili sobie cel uratowania rodzimej rasy od zalewu ras obcych. Jego też głos w kwestji obecnego stanu hodowli, jak również kierunku jej w przyszłości, należy uznać za miarodajny.

Prof. Adametz w pierwszym rzędzie stwierdza duży postęp, w porównaniu z tem, co można było widzieć przed 20 laty. Specjalnie u bydła włościańskiego rozwinęły się nadzwyczajnie oznaki produkcyjności, i poprawiła się znacznie budowa poszczególnych części tułowia, a zwłaszcza zadu: spadziste, wąskie zady i spiczasta miednica albo zniknęły zupełnie, albo występują w daleko mniej ostrej formie. Również oznaki mleczności wykazują stanowczą i znaczną poprawę. Co się tyczy obrania na przyszłość najodpowiedniejszego kierunku hodowli bydła czerwonego, to, zdaniem prof. Adametza, kierunek czysto opasowy na większą skalę, jak to ma miejsce w Anglii, nie będzie miał zbyt dobrego powodzenia w naszym kraju. Najkorzystniejsze warunki rozwoju znajdzie u nas kierunek mleczny, albo jednostronny, albo kombinowany z pewną opasowością; w przyszłości weźmie napewno górę kierunek kombinowany. Skarżąc na małą mleczność bydła czerwonego są nieusprawiedliwione; przyjęto w nauce, jako regułę, że średnio dobra

krowa powinna dawać na rok 5 razy tyle mleka, ile sama waży; przyjmując dla naszego bydła średnią żywą wagę 500 kg., będziemy mieli prawo żądać od niego 2500 litrów mleka rocznie, tymczasem taką mleczność osiąga było czerwone nawet w swym nieuszlachetnionym typie, gdy w oborach zarodowych osiągnięto już przeciętną mleczność 3500 litrów, a u pojedynczych sztuk nawet więcej. Ci, którzy porównywają mleczność

naszego bydła z mlecznością ras obcych, popełniają ten błąd, że nie uwzględniają zupełnie stosunku żywej wagi zwierzęcia do rocznej produkcji mleka, lecz zestawiają ze sobą cyfry absolutne. Jedyne rasy nizinne mają pod tym względem przewagę nad bydłem naszym. Przewaga ta okaże się pozorną, jeżeli uwzględnimy, pomijając już znaną zdrowotność naszego bydła, że koszt paszy na 1 litr wyprodukowanego mleka są znacznie niższe niż u ras nizinnych. Poza tem, bydło nasze góruje znacznie nad nizinem zawartością tłuszczu w mleku, wynoszącą tu średnio około 4,5%, a więc o 0,5 proc. więcej niż u alpejskiego, a o 1% więcej, niż u nizinnego. Właściwość ta istnieje u naszego bydła z natury, a umiejętny i konsekwentny dobór mógłby ją jeszcze spotęgować i dojść do zawartości tłuszczu, jak u sławnych Yerseyów do 5 — 6%. Na ten moment zwraca prof. Adametz hodowcom specjalną uwagę. Ta tłustość mleka bydła polskiego ma ogromnie ważne znaczenie, ze względu na eksport zagraniczny, daje bowiem odpowiedź na pytanie, jakie produkty zwierzęce eksportować będziemy, kiedy hodowla bydła czerwonego stanie na odpowiednio wysokim poziomie. Wywóz mleka bez odpowiedniej

przeróbki jest ogromnie utrudniony. W wywozie sera przewagę nad nami mieć będą kraje, gdzie serowarstwo rozwinięte jest od dawna i zdobyło sobie rynki światowe. Jedynym więc najkorzystniejszym dla nas pro-

duktem wywozu będzie masło; wprowadzić i pod tym względem będziemy mieli konkurencję przemysłu masłarskiego na Syberji, który przed wojną rozwijał się kolosalnie, lecz sprostać konkurencji pozwoli nam właśnie jakość naszego bydła czerwonego, t. j. wysoka zawartość tłuszczu w jego mleku. Dalej, przy ocenie wartości bydła czerwonego, należy zwrócić uwagę na możliwość eksportowania materiału zarodowego; możliwość ta



Cielęta przed oborą w Boguszycach z Łomżyńskiej

istnieje, gdyż przeważna część bydła na północno-zachodnim Bałkanie, w Bośni, Hercegowinie, Albanji i t. d. należy do rasy bydła czerwonego a ponieważ znajduje się ono tam w prymitywnej formie, nasz materiał zarodowy znalazłby tam chętnych nabywców. A pamiętać należy o tem, że sprzedaż zarodowej młodzieży większe zyski przynosi, aniżeli najlepiej nawet prowadzona produkcja mleczna.

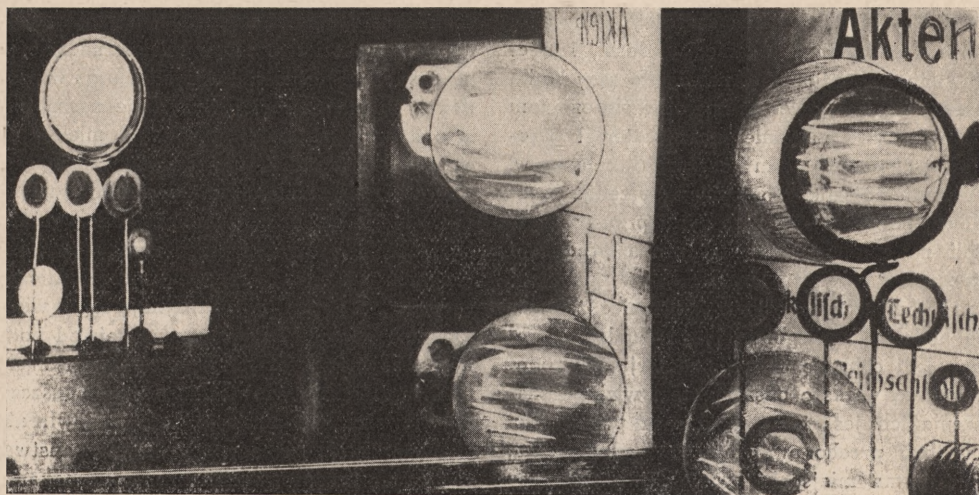
Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, że ostoją hodowli, szczególnie jeżeli chodzi o produkcję i ochronę dobrego materiału zarodowego, są większe obszary; tem większe znaczenie ich jest tam, gdzie rasa prymitywna ma być przechodowana na rasę kulturalną, jak to ma miejsce w wypadku naszej rasy czerwonej. Pod tym względem reforma rolna, usuwająca większą własność, napewno korzyści nie przyniesie.

Reasumując wszystko, co wyżej o czerwonym bydle polskiem powiedziano, stwierdzić możemy, że posiada ono nieocenione wprost zalety: 1) jest to rasa rodzima, a więc przystosowana do naszych warunków gleby i klimatu; 2) przez to samo w wysokim stopniu odporna na choroby; 3) posiada ona olbrzymią żywotność, gdyż pomimo braku opieki i pomimo krzyżówek najróżnorodniejszym materiałem, zachowała się w czystości po dzień dzisiejszy; 4) pod względem mleczno-

ści nie ustępuje innym rasom, a pod względem zawartości tłuszczu w mleku znacznie je przewyższa; 5) z pośród wszystkich ras w produkcji mleka najlepiej wyzyskuje naszą paszę, a więc najtaniej produkuje mleko; 6) z pośród wszystkich u nas hodowanych ras, najlepiej się nadaje na produkcję mięsa i w kierunku opasowym posiada wybitne skłonności; 7) otwiera przed nami możliwość eksportu masła, mięsa i zarodowej młodzieży; 8) w formie prymitywnej znajduje się w wielkiej ilości w całej Rzeczypospolitej, od podnóża Tatr po przez Galicję zachodnią i Śląsk, okolice Mińska Mazowieckiego aż do puszczy Kurpiowskiej; podniesienie jego hodowli nie wymaga zatem pomocy z zewnątrz państwa, ale da się przeprowadzić własnymi środkami.

Niestety, zarówno jak w wielu innych dziedzinach, tak i w dziedzinie hodowli, brak zrozumienia w społeczeństwie zalet materiału krajowego każe nam szukać i sprowadzać za drogie pieniądze często zupełnie bezwartościowy materiał zagraniczny. Czas najwyższy, aby wszyscy sobie uświadomili, że nie przez ślepe naśladownictwo wzorów obcych, lecz tylko przez tworzenie własnych wartości możemy osiągnąć samowystarczalność, uniezależnić się od obcych i tem samym stworzyć mocne podstawy przyszłego bytu.

L. G.



Cienutkie płatki złota i niklu umocowane w krążkach metalowych i drucianych. Światło lampy, umieszczone za płatkami złota, przechodzi przez nie, uwydatniając ich przezroczystość

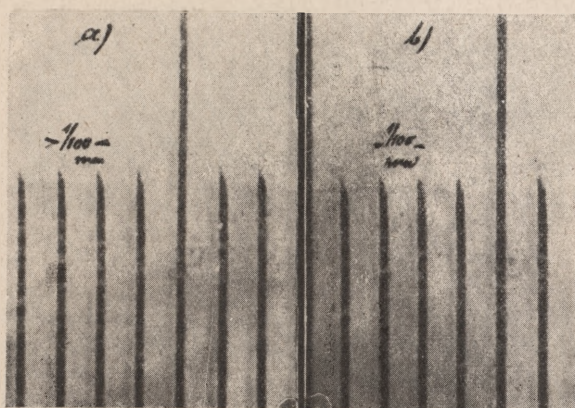
Złoto przezroczyste

Technika dokazuje niewiarogodnych cudów — to, co kilkadziesiąt lat temu zdawało się niemożliwym i co przewidywali tylko niektórzy pisarze w powieściach, które sami uważali za fantastyczne, teraz spełnia się, przechodząc z wet śmiałe ich przypuszczenia. Czytamy już, piszemy i widzimy na odległość, w przeciągu kilku minut możemy zrobić zdjęcie fotograficzne osoby, oddzielonej od nas oceanem, fale radiowe przynoszą nam dźwięki z całego świata, samolot przenosi nas w przeciągu kilku godzin z jednego krańca Eu-

ropy w drugi. Czas przynosi nam coraz to nowe niespodzianki, udoskonalając stare odkrycia i odkrywając świeże wynalazki.

Jednym z ostatnich odkryć w dziedzinie techniki jest odkrycie napozór mało znaczące i doniosłe,

dokonane przez prof. Karola Müllera z Charlottenburga. Uczony ten po wielu próbach i badaniach w swoim laboratorium wynalazł sposób doprowadzenia złota do stanu przezroczystego. Zrobił on ze złota warswę tak ciekłą, że trudno sobie wyobrazić, aby jakkolwiek metal mógł być doprowadzony do ta-



Zdjęcie mikrofotograficzne wycinka skali podzielonego na części wielkości $\frac{1}{100}$ mm. w 400-krotnym powiększeniu. Po lewej stronie zdjęcie zwykłe, po prawej — zdjęcie dokonane przez płatek niklu wynalazku dr. Müllera. Pod względem wyrazistości oba te zdjęcia niczem się nie różnią

kiego stanu — mianowicie do 0,000.001 cm. grubości. Wskutek tego metal nieprzezroczysty stał się przezroczystym, nie tracąc przytem swej jednolitości. Płatki złota i niklu tego wynalazku nie są mniej przezroczyste od najpiękniej szlifowanego szkła.

Cały świat naukowy wykazał zrozumiałe zainteresowanie tą sprawą. Wynalazek ten jest bowiem użyteczniejszy, niż się może pozornie wydaje. Przedewszystkiem wywoła on duży przewrót w dziedzinie przemysłu metalowego i da się zastosować w aparacie do widzenia na odległość. Jak wiadomo, problem widzenia na odległość rozwiązał inżynier węgierski, Djonizy de Michally, stwarzając pierwszy aparat, pozwalający widzieć przedmioty

oddalone od nas o setki mil. Aparat ten, dość skomplikowany, opiera się w znacznej mierze na całym systemie luster i szkła. Otóż szkło w tych aparatach, wymagających dużej wytrzymałości, ze względu na oddalenie przedmio-

tów i przejmowanie stopniowe wizerunku danego przedmiotu, może być zastąpione przez materiał bardziej trwały — złoto.

Wobec tego jednak, że aparaty te nie są jeszcze u nas bardzo rozpowszechnione, narazie największe zastosowanie ma złoto przezroczyste w przemyśle gramofonowym.

Oddanie dźwięku bowiem wymaga możliwie jaknajlejszej drgającej membrany — zaś płatki złota wynalazku profesora Müllera są lepsze od powietrza, drgającego jednocześnie z niemi wskutek dźwięku.

Z punktu widzenia naukowego, odkrycie przezroczystego złota ma doniosłe znaczenie dla badań światła i atomów.

W płatkach przezroczystego złota prof. Müllera uczeni odnajdują tylko trzydzieści pokładów atomów.

leżących na sobie.

Załączone zdjęcia tłumaczą zastosowanie złota przezroczystego w fotografii, gdzie może ono znaleźć szerokie zastosowanie.

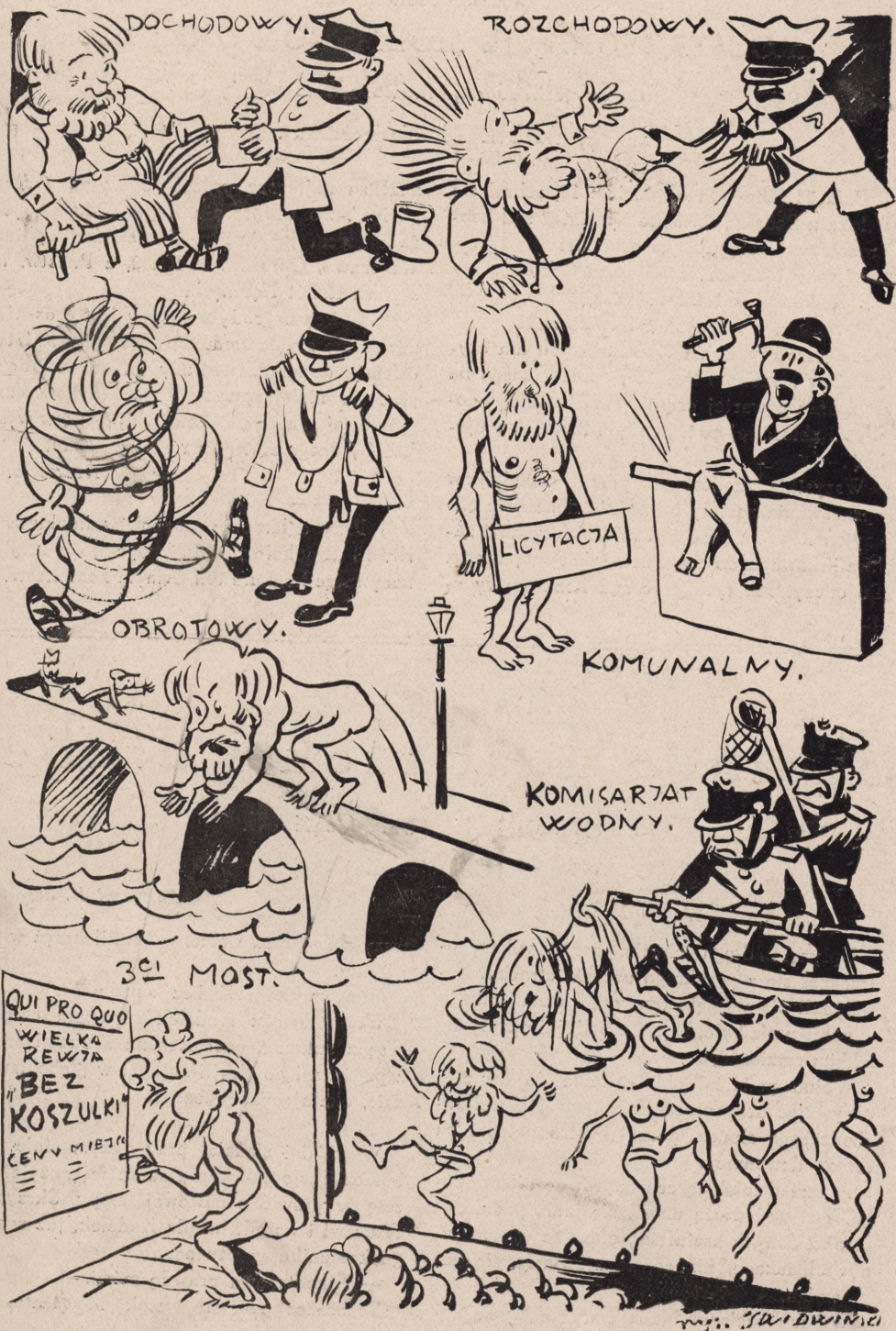
Del.



Zdjęcie berlińskiej wieży radiowej, dokonane przez płatek złota, umieszczonego przed obiektywem. Powiększenie ze zdjęcia migawkowego ($1/150$ sek.)

Ś W I Ę T Y M I K O





TURNIEJ LITERACKI

(Zakończenie)

ROZSTRZYGNIĘCIE SIÓDMEGO KONKURSU

dla czytelników „Naokoło Świata” ¹⁾

(patrz Nr. 18 miesięcznika).

Dnia 21 listopada o godzinie 12, zebrał się w lokalu Redakcji „Naokoło Świata” sąd konkursowy w następującym składzie:

Redaktor nacz. Ferdynand Goetel

Redaktor Józef Moszyński,

Redaktor Władysław Zawistowski

celem rozstrzygnięcia 7-go konkursu dla czytelników „Naokoło Świata”, polegającego na napisaniu czwartej części (zakończenia) opowieści zbiorowej p. t. „Książd Kudełek i djabeł”.

Wszystkie nadesłane przez czytelników opracowania zostały uprzednio dokładnie odczytane. Pewna ilość z pośród nich została zakwalifikowana do wspólnej, ściślejszej oceny. Po odczytaniu tych prac sąd konkursowy u-

znał za najlepszą pracę, podpisaną godłem: „Więc”. Po otworzeniu koperty okazało się, że autorem jej jest p. Aleksander Deptuła, Warszawa, Górczewska Nr. 8, z Państw. Instytutu Robót Ręcznych.

Zdobywca nagrody proszony jest o osobiste zgłoszenie się do Redakcji „Naokoło Świata”, celem otrzymania nagrody za drukowaną w zeszytce niniejszym IV część (zakończenie) opowieści „Książd Kudełek i djabeł”, w wysokości jednego złotego za wiersz druku.

Redakcja.

¹⁾ Przy ogłoszeniu warunków konkursu w Nr. 18 „Naokoło Świata” popełniono omyłkę, nazywając konkurs ten Ósmym konkursem.

Książd Kudełek i djabeł

Opowieść zbiorowa. Część IV.

(Dokończenie)

Ilustrował K. Sopoćko

Upłynęła długa chwila, zanim wikary otrzaskał się z przykrego uczucia strachu. Zawstydił się w głębi duszy i, chociaż nikogo w pobliżu nie było, zapadłe policzki okryły się lekkim rumieńcem.

Wolno podniósł obie dłonie do czoła i, okrywając oczy przed krwistym blaskiem zachodzącego słońca, począł bystro patrzeć na szczyt dzwonnicy.

A tam działo się coś naprawdę niezwykłego. Tuż nad wieżą unosił się jakiś przedmiot nieokreślonych kształtów, pływając w słonecznych blaskach, niknąc, to zjawiając się na przemian.

Wikary zacisnął blade wargi i, wyciągną-

wszy rękę przed siebie, nakreślił krzyż w powietrzu.

Manewr pozostał bez skutku.

Wtedy książd Kudełek strzepnął chłodną rosę z sutanny, energicznymi krokami szedł z pagórka i po chwili zniknął w głębokim sadzie, okalającym plebanję.

W jadalni siedział przy dużym stole proboszcz i, w oczekiwaniu na kolację, czytał gazetę przy świetle naftowej lampy. Skrzypnęły drzwi i wszedł książd Kudełek, już w progu komunikując nowinę:

— Nikodemowa prawdę mówi.

Proboszcz oderwał wzrok od gazety.

— Jaką prawdę?

— Że na dzwonnicy siedzi... szatan...

Odetchnął ciężko wikary i, zupełnie wyczerpany, opadł na krzesło. Skutek jego nowiny był niespodziewany. Proboszcz poczerwieniał jak piwonja, cisnął gazetę na ziemię i zawołał, uderzając pulchną dłoń w stół:

— Dość! Dość mi już tych bredni! Tych djabłów! Szatanów! Policjantów! Nikodemów! I czart wie czego jeszcze! Kiedy się to skończy, do stu tysięcy piorunów!!! Ni dnia, ni nocy, żeby sobie ktoś, coś nie ubrdał we łbie i nie roznosił plotek po mieście! To... to... pa... nie... dzie... ju... dość!!!

Zmieszał się wikary nagłym wybuchem gniewu proboszczowskiego i powstał z krzesła.

— Ależ bo... bo... ja... sam... wi... widziałem — powiedział cicho.

— Co widziałeś, panie dzieju?! Gdzie widziałeś? Ja... coś innego zaraz tu księdzu pokażę!

To mówiąc, porwał dzwonek ze stołu i hałaśliwie zadzwonił. Do pokoju wtoczyła się rumiana Nikodemowa, roztaczając dokoła zapach smażonej kiełbasy.

— Przynieś tutaj tę książkę! Piorunem! No! Czego stoicie!

Gospodyni pociągnęła nosem.

— Jakże mam przynieść, kiedy przecież dobrodziej każe ją spalić.

Proboszcz zatrzęsł się z irytacji.

— I spa... li... łaś?!.

— Przecie. Ktoby tam słuchał. Dałem Jacusowi, to se chociaż obrazków nawycinał!

— Nawycinał... ja... mu... obraz-

ków, aż prababkę sobie przypomniał Natychmiast dawać tu tego smarkacza. Razem z książką! No! Już!

W szarych oczach Nikodemowej błysnęła duma. Podparła się w boki i rzuciła przez zęby:

— Niech przecież dobrodziej nie przymawia prababkom... Moja babka była porządna kobieta i nikt nic do niej nie ma!

Wikary stał jak na torturach. Na obliczu jego malowała się i odraza, i przykreść i niesmak.

Gospodyni potoczyła wzrokiem dokoła i wyszła ostentacyjnie.

Po chwili wróciła, kładąc na stół ostatni numer „Naokoło świata“.

Proboszcz schwycił książkę i, gwałtownie wpychając ją do rąk oszołomionego wikarego, wołał:

— Masz! Czytaj! Ciesz się! O tu! Tu! Tu!!!

Wzrok wikarego padł na otwartą stronicę i nadzwyczajne zdumienie odbiło się na jego obliczu:

Oto na białej stronicy kredowego papieru czerniał tłoczony tłustym drukiem napis.

KSIAZD KUDELEK I DJABEŁ

Proboszcz przez chwilę obserwował wrażenie, jakie wywarł na wikarym, i błysk zadowolenia rozjaśnił jego pocziwą i rubaszną twarz. Rzeki zachęcająco:

— Proszę. Bardzo proszę! Czytaj, księżu. Cieszymy się! Uff!

Otworzył drzwi i rzucił w ciemny korytarzyk rozkaz:



— Nikodemowa!!! Dawać wieczerzę.

Wkrótce zmiatał z apetytem, przegryzając chlebem czarnym, jajecznicę z kielbasą, zaś nieszczęsny ksiądz Jacek, stojąc bez ruchu, nieprzytomnym wzrokiem, wciąż, jak urzeczony, wpatrywał się w tragiczny tytuł.

Nagle zegar szafkowy zaczął wydzwaniać godzinę ósmą i wraz z pierwszym uderzeniem wikary zadrżał, książka z szelestem wypadła ze zdrewniałych rąk na podłogę, z zapadłych oczu spłynęły łzy na wychudłe policzki i piersią wstrząsnął głuchy spazm szlochów.

Proboszcz zerwał się z krzesła.

— Na Boga! Co ci jest? Daj pokój! To głupstwo! Jeszcze nic nie wiesz! Nie czytałeś! Mówię ci, że... no!

Z ust wikarego wydarł się jęk.

— Mój... Boże... mój... Boże...

Rzęsiste łzy ciurkiem spływały po czarnej sutannie i spadały na białe kartki wykwintnego miesięcznika.

Nagle proboszcz w porywie serdecznej sympatii rzucił się wikaremu na szyję, strącając gwałtownym ruchem talerz żółtej jajecznicy na chodnik.

W tej chwili stanęła w drzwiach Nikodemowa i załamała ręce z rozpaczą.

Zapadła głęboka noc. Miasteczko pogrążone w głębokim śnie. Księżyc żegluję po niebie, srebrząc ciemne szyby okien. Lekki chłodny wiatr przebiega ulicę.

Szumia drzewa na proboszczowym sadzie. Z jednego okna plebanji tryska złote światło.

Oświetlone okno należy do gabinetu proboszcza. Duża wilgotna gałąź bzu przytuliła się ciekawie do złotej szybki. Wewnątrz, na wygodnej niskiej sofie, siedzą obaj księża.

Proboszcz opowiada coś, żywo gestykulując, ascetyczne oblicze księdza Jacka w miarę opowiadania ks. Biegaja wyraża coraz większe zdumienie.

— Stało się — mówił — chciałem dobrze dla kościoła, ale „facile dictu — difficile factu” i nawarzyłem piwa. Teraz trzeba już z tem skończyć. Nikodem siedzi w areszcie i baki zbija, a tu pajęczyna już cały żyrandol w kościele oblaża. O nas, dzięki Bogu, już drukują. Tak, panie dzieju, wszystko się pokreśliło, że no!

Ziewnął szeroko i ciągnął dalej.

— Już się zdecydowałem ostatecznie i jutro przenoszę z powrotem relikwie do skarbcza.

Wikary uczynił ruch jakby chciał zerwać się z sofy, ale proboszcz położył mu ciężką dłoń na kolanie.

— Siedz. Możesz się dziwić... słuchaj. Beczałeś, jak baba, musisz wiedzieć czy warto było. Ludziom powie się, że relikwie święte odniósł człowiek, któremu przyrzekłem nie wyjawiać jego nazwiska. Oczywiście, że dla

spokoju sumienia, święcie, panie dzieju, sobie to obecnie przyrzekam! Nie kręć się tak, wikary, bo mi sofę popsujesz.

Uderzył się po kolanach i uśmiechnął wesoło.

— Patrz księżu na biblioteczkę? Z lewej strony na drugiej półce od góry jesteśmy: ty i ja. Co napisali — to napisali. Nie każdemu Pan Bóg udzielił w równej mierze dowcipu i rozumu. Ale dzięki tym pisarkom i za to. Siedźże spokojnie, panie dzieju!

Zawsze ludziska coś naskładali na intencję odnalezienia relikwii i na nagrodę dla tego, który przyczyni się do ich odnalezienia. Nie wiele, ale zawsze wystarczy na rozpoczęcie ro-



Wzrok wikarego padł na otwartą stronicę i nadzwyczajne zdumienie odbiło się na jego obliczu



Wtem tajny agent podniósł się z krzesła, błyskawicznym ruchem wydobył rewolwer z rękawa i skierował go w pierś Ohędużki

bót koło naprawy dachu kościelnego. A czas już, bo i nad wielkim ołtarzem już zacieka. Ale, ale! Jutro przypomnę burmistrzowi obietnicę sprawienia kościołowi kielicha na miejsce tego, niby skradzionego. Obiecał — niech dotrzyma. Niewielec pewnie da, ale i to coś znaczy, bo i podłoga w kościele już zbutwiała w paru miejscach.

Tu przerwał opowiadanie ksiądz Biegaj i obejrzał się trwożliwie dokoła.

— Panie dzieju... panie dzieju... Jednego tylko... nie mogę sobie wytłumaczyć: Kto postawił figurę św. Piotra na chórze? I co to

la... ła...: zi i ska... cze... po dzwon... ni... cy... oj!!!

Coś pisnęło w ciemnym kącie pod oknem i księża mimowoli gwałtownie przysunęli się ku sobie. Po chwili długiej, męczącej ciszy, ksiądz proboszcz wyszeptał.

— Coś... tu ciągle piszczy... Muszę powiedzieć Nikodemowej, ...niech... pułapkę postawi, ale... nie zaszkodzi... nie zaszkodzi odmówić paciorek za dusze zmarłych.

I obydwaj księża pobożnie odmówili „Wieczny odpoczynek“.

— Co tam! Myślmy o czem innem. Oto —

jak postąpić z tym agentem, który siedzi u Ohędużki?

Wikary wtrącił nieśmiało.

— A ja?

Książd Biegaj roześmiał się dobrotliwie.

— Chodzi o „Naokoło Świata”? Napiszemy obaj wyjaśnienie i basta. Jeszcze zarobimy na tem.

Blade policzki księdza Jacka okryły się ceglastym rumieńcem.

— To... nie... moja..., rzecz... ale... jakże... można było... tak... postąpić... z relikwiami?

Proboszcz zamyślił się.

— Relikwie — rzekł po chwili — są w moim ołtarzyku w sypialni. Kielich także mam u siebie. Mam nadzieję też, że święta Barbara przebaczy mi, że ją niepokoił... Bom i tak jest ukaran w swej ambicji, a zawsze na chwałę Bożą to co uczynilem — uczynilem. Nie mogłem patrzeć, jak stary kościół idzie w ruinę a parafianie biedni a trochę skąpi. Więc coś miałem robić? I obmyśliłem sposób, ale „homo proposit — Deus disponit”. Dziś widzisz księżo co się porobiło.

Tu zwinętą dłoń uderzył się lekko w pierś i rzekł:

— Mea maxima culpa.

Południowe słońce szczerze obsypuje stary Lipów, oślepiającymi blaskami. Po przekątni rynku przechodzi tłum mieszczan, gwarząc wesoło i śmiejąc się. Pośrodku tłumu drepce Nikodem, dumnie podnosząc głowę i odpowiadając na pytania ciekawych mieszczan.

Wtem z przeciwnej strony rynku wybiega krępa baba i pędem biegnie na spotkanie idących, śmiejąc się i płacząc naprzemian.



— A mój Nikodemie! O Jezu drogi! Już go puścili! Hej, hej! Nikoś!

Dopadła, roztrąca tłum i z rozmachem rzuca się na szyję mężowi, który ugiął się i omal nie opadł pod tym ciężarem.

Agent policyjny chmurny jak noc siedział za stołem w restauracji i, popijając gorzkie piwo, skarżył się siedzącemu po drugiej stronie stołu Ohędużce.



— Szelma. Miałem go już w garści. Zauważył widocznie, że się nie wymknie, to poleciał do proboszcza i sam odniósł skradzione przedmioty. No! Ale jeszcze wpadnie on w moje ręce!

Ohędużko uśmiechnął się i, fundując następną butelkę piwa — zapytał:

— Oho — ho! To ciekawe. Ja bo nigdy nie zgadlbym, kto to mógłby być tym łotrem?

Agent utkwiał zielonkawę oczka w dobrych oczach pana Jana i powiedział:

— To pan.

Ohędużko osłupiał. Nagle, jak sprężyna podskoczył na krześle.

— Ja...? Ja?

Agent szyderczo uśmiechnął się.

— No, no, bez uniesień. Podobno to nerwom szkodzi. A ja wszystko wiem. Słyszysz pan! Wszystko. Krytycznego dnia pan wieczorem był w kościele! Wczoraj wieczorem był pan u Nóżków! Dziś rano był pan u proboszcza w plebanji!

Pan Ohędużko zsiniał ze zdenerwowania i wyjąkał.

— Przysięgam, że pan się myli! Figurę św. Piotra... figurę... ja... postawiłem na chórze..., bo chciałem nastraszyć Nikodema, ale co... do... świętokradztwa... Jezus! Maria! Czy to możliwe, aby pan mnie posądzał!?

— No, no! Nie trzeba się tłumaczyć naiwnie: Nikodema chciałem nastraszyć. Hahaha!

— Tak, tak... Ni... ko... ko... ko... dema... — bełkotał przerażony pan Ohędużko.

Wtem tajny agent podniósł się z krzesła, błyskawicznym ruchem wy dobył rewolwer z rękawa i, skierowawszy go w pierś oszalałego z trwogi Ohędużki, zastrzelił:

— W imieniu prawa aresztuję pana!

Pan Jan pobladł silnie i zwalił się nieprzytomny na podłogę. Powstało okrocone zamieszanie. Kilku żydków z wrzaskiem wybiegło na rynek, reszta gości rzuciła się jak wściekła po restauracji, szukając wyjść, restaurator jęczał przy szynkwasie, targając w rozpacz brodę.

— Oj waj...: oj waj...: gwałt...!

Przez rynek w kierunku aresztu konwój policji z dwoma szablami prowadził ślaniającego się i bladeo jak śmierć nieszczęsnego pana Jana Ohędużkę.

Więć o aresztowaniu Ohędużki rozbiegła się lotem błyskawicy po mieście, wzbudzając niebывałą sensację i postrach. Rada miejska, której członkiem był pan Ohędużko, zebrała się natychmiast na nadzwyczajne posiedzenie w celu naradzenia się, czy nie należy powziąć jakich decyzji w związku z aresztowaniem jednego z radnych?

Naiwiecej jednak zatroskał się i zirytował ksiądz proboszcz. Bawił właśnie u państwa Nóżków, napróżno usiłując przekonać pannę Anię o konieczności obdarzenia miłością pana Jana, kiedy niebывały wrzask na rynku zwrócił uwagę wszystkich obecnych w innym kierunku. Podeszli do okna, z którego można było obić wzrokiem cały plac miejski.

Mieszczanie w szalonym pedzie biegli przez rynek, na gwałt zamykając sklepy i rozbiegając straszanv.

Myśli jak błyskawica zarażały się i gasły w głowie księdza Biegaja. Pogrom? Wojna? Bandyci?!

Ksiądz Biegaj wysłał jedną sztafetę do plebanii z rozkazem przyrządzenia wystawnego obiadu, drugą na posterunek policyjny, zapraszając unrzejmie aenta i komendanta Bogułę na skromny obiad do plebanji.

Historyczny ten w dziejach miasta Lipowa obiad odbył się ze wspaniałą wystawnością. Po obiedzie proboszcz kazał zaprząć tłuste koniki do bryczki a gdy zajechała z turkotem

przed ganek, policjant i Boguła, podtrzymywani przez Nikodema i Filipa, wdarli się na wysokie siedziska i, trzymając się mocno pod ramiona, odjechali do domu.

Tegoż samego dnia wieczorem pan Jan, pielęgnowany przez pannę Nóżkę, leżał w swoim łóżku, prawie niewidoczny z pod kołdry i ogromnego kompresu na czole.

Na niedzielne nabożeństwie zebrał się tłum wiernych. Po mszy św. ksiądz Biegaj wygłosił wzruszające kazanie, poczem z odwiecznej księgi odczytał z ambony zapowiedzi:

— Aniela Nóżkówna lat 20, panna, Jan Ohędużko, lat 24, kawaler, oboje mieszkańcy parafji tutejszej, wstępują w związek małżeński, zapowiedź pierwsza.

Szmer rozległ się w kościele, zaś znajdujący się w tłumie pobożnych pan Cyrjak Nóżka westchnął głęboko.

Na podwórzu kościelnym, tuż koło dzwonnicy, wikary trzymał mocno za ramię Jacusia — smarkacza, syna Nikodemowego, a drugą kręcił mu ucho, mówiąc słodko:

— A na drugi raz, pamiętaj to sobie, że na dzwonnice nie puszcza się „balunów“ hultaju!

U stóp ich, na zielonej murawie, leżał rozdarty szpetnie ogromny papierowy latawiec ze wspaniałym różnobarwnym ogonem.

Redakcja „Naokoło Świata“ otrzymała z Lipowa długi list, kończący się następującym zwrotem:

„Obywatele m. Lipowa przesyłają Redakcji i Czytelnikom „Naokoło Świata“ serdeczne pozdrowienia i proszą o nadesłanie po jednym egzemplarzu, z autografem Redaktora, tych numerów miesięcznika, w których znajduje się opis wypadków, zaszyłych w naszym mieście w celu umieszczenia tych numerów w archiwum m. Lipowa dla użytku przyszłych pokoleń“.

W imieniu mieszkańców Lipowa podpisali:

Ks. Proboszcz Biegaj.

Ks. Wikariusz Kudełek.

Adam Tłucki, Burmistrz m. Lipowa.

Prowizor Farmacji Nóżko.

Jan Ohędużko z żoną.

(Następuje jeszcze kilkaset podpisów najznamienitszych obywateli).

Lipów, dnia 19 listopada 1925 r.

A. Deptuła

ROZRYWKI UMYSŁOWE

I TURNIEJ ZADANIOWY

15 — 17. ŁAMIGŁÓWKI.

(Za rozwiązanie każdej 1 punkt).

Chociaż jestem w *Rosji*, niema mnie w *Kijo-
[wie]*;
Jestem sobie w *Polsce*, ale nie w *Krakowie*;
Węgry mnie nie mają, lecz jam w *Budapesz-
[cie]*,
Zgadnij, Czytelniku—czemże jestem wreszcie?

Jaka nuta z nutą drugą
Tworzą miarę bardzo długą?...

Jaki *początek* ma koniec
Który jest *końca* początkiem?...

Jagri.

18. ZADANIE LITERACKIE.

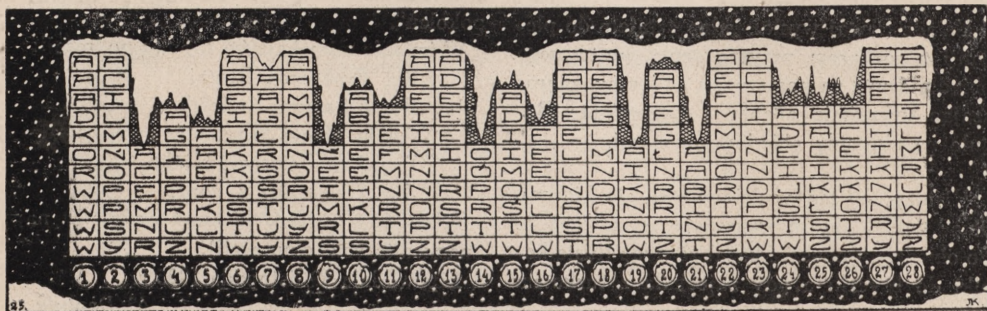
(Za rozwiązanie 3 punkty).

W rzędach pionowych prostokątu równo-
bocznego o 308 kratkach (254 z literami + 54
zakreskowanych) poprzestawiać litery w ten
sposób, aby utworzyły szereg utworów niżej
wymienionych pisarzy. Środkowy rząd pozi-
omy winien utworzyć imię i nazwisko powie-
ściopisarza polskiego, zaś kratki zakreskowa-
ne — jego pseudonim.

Autorzy utworów: rząd 1 — Stendhal, rz.
2 — Orzeszkowa, rz. 3 — Mérimée, rz. 4 —
Gąsiorowski, rz. 5 — Prus, rz. 6 — Kaspro-
wicz, rz. 7 — Sienkiewicz, rz. 8 — Słowacki,

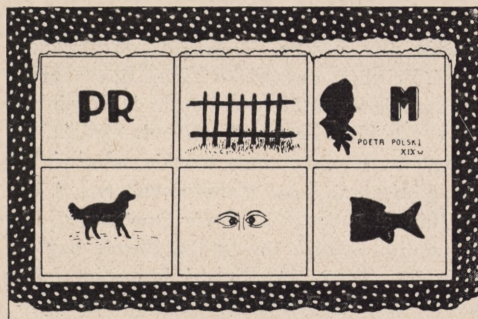
rz. 9 — Dąbrowski, rz. 10 — Kondratowicz,
rz. 11 — Reymont, rz. 12 — Żeromski, rz. 13
— Kraszewski, rz. 14 — Przybyszewski, rz.
15 — Tagore, rz. 16 — Wyspiański, rz. 17 —
Oppman (2 utwory), rz. 18 — Żuławski, rz.
19 — German, rz. 20 — Krasicki (2 utwory),
rz. 21 — Conrad, rz. 22 — Kraszewski, rz.
23 — Orzeszkowa, rz. 24 — Rodziewiczówna,
rz. 25 — Żeromski, rz. 26 — Jeź, rz. 27 —
Jeske-Choiński, rz. 28 — Korzeniowski.

W. Tamin.



19. REBUS—ROZSYPANKA.

(Za rozwiązanie 4 punkty).



Sześć rysunków w ramce poprzestawiać i odczytać rebus, którego rozwiązanie jest wyrazem prostoty nie pozbawionej oryginalności *Cieniła*.

20. SZARADA.

(Za rozwiązanie 2 punkty).

Dziwnie dziś ludzie *pierwsze* — *szóste* na tym [świecie!...]
W pogoni za gotówką lub kawałkiem chleba
Kmieć ziarno chlebobajne w swoich śpichrzach [gniecie,
Choć *ósmie* i *dziwiątę* niem obdzielić trzeba;
A przecież *ósmie* — *siódme* winne nie zastąpią
Pieczywa, jeśli mąki wioski nam poskapią...

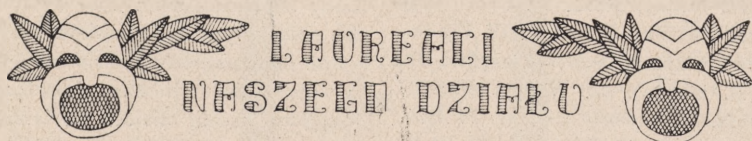
Wszak człek, gdy się tak *czwarte* — *drugie* [należy —
Rozrywką umysłową zajmie się *wyborną*,
Dziwiątę — *trzecie* z łulki puszczając obficie;
Wstecz czwarta — *siódma* piękna, porą mu [wieczorną

Zadania rozwiązywać pomoże... boć wielu
Tak właśnie *drugie* — *piąte* do szarady celu.
Zaś teraz, Czytelniku, wyrzuć z serca żalostę,
Odpowiedz do redakcji wysyłaj z pośpiechem,
Uwagę li zwróciwszy na szarady *całość*,
W objęcia Morfeusza pójdz z losu uśmiechem.
Żuk.

Warunki uczestniczenia w I Turnieju Zadaniowym, który w niniejszym zeszycie się kończy, zostały ogłoszone w Nr. 15 „Naokoło Świata”; termin nadsyłania rozwiązań zadań z bieżącego numeru, jak również — w drodze wyjątku — uzupełnień i braków z całego turnieju (z Nr. 15, 16, 17 i 18) upływa 25-go stycznia 1926 r.; przypominamy o obowiązku wym *dołączaniu do rozwiązań kuponu*, umieszczonego w dziale ogłoszeń.

Zaznaczamy, że w losowaniu specjalnych *na gród miesięcznych* biorą udział wszyscy, którzy rozwiązyali chociażby jedno zadanie z b. numeru.

W rozwiązaniu *Zadania literackiego* należy podać prócz głównego, wyrazy pomocnicze. Najlepiej i najestetyczniej wykonane zostaną umieszczone na łamach naszego działu.



P. Edward Wierchoń
z Warszawy



Inż. Tomasz Oxiński
konsul Rp, Peru w Warszawie

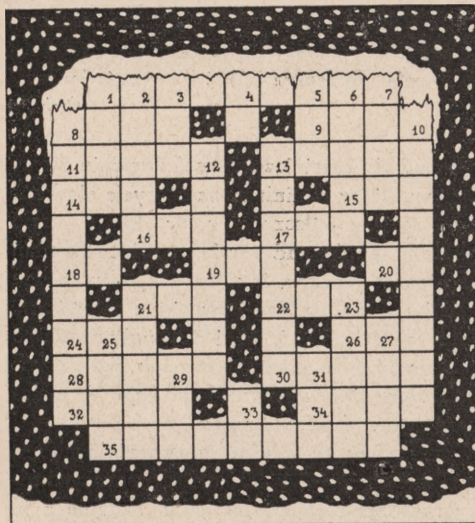


P. Czesław Kozowski
z Warszawy

POZATURNIEJOWE ZADANIA KRZYŻYKOWE

KRZYŻÓWKA 3.

Ułożył Henryk Siedzieniewski z Warszawy.



Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Kąkol ogrodowy. 8. Strzała. 9. Urodzajna miejscowość pustyni. 11. Artysta dramatyczny. 13. Przedmiot starożytny. 14. Konstelacja zodiakowa. 15. Wąwóz. 16. Rodzaj głosu. 17. Część nóg. 18. Inicjały autorki *Nad Niemnem*. 19. Powiadaj!... 20. Inicjały autora *Szkiców węglem*. 21. Rzeczownik (l. mnoga). 22. Wół tybetański. 24. Wykrzyknik. 26. Utwory liryczne. 28. Statek wodny, towarowy. 30. Dzieciak. 32. Ptaki

morskie, pletwonogie. 34. Roślina skrytopłciowa. 35. Przybrane nazwisko Filipa Bounacorsi.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Korab biblijny. 2. Zajęczyca. 3. „C.” 4. Moje!... 5. Dźwięk. 6. Rosyjskie imię żeńskie, zdrobniałe. 7. Imię bohatera *Pana Wołodyjowskiego*. 8. Ubiornia aktorów. 10. Utwór poetyczny. 12. Harmonijny spadek tonów. 13. Ziemie napływowe. 21. Słota. 23. Rodzaj bransolety. 25. Steatyt. 27. Tchnienie. 29. Belka wiązania okrętowego. 31. Kochaj (po łacinie). 33. Trzeci ton gamy E.

Termin nadsyłania rozwiązań *Krzyżówki 3* upływa 25 stycznia 1926; obowiązuje data stempla pocztowego. Rozwiązania należy nadsyłać na ilustrowanych pocztówkach lub z dołączeniem takowych, na których rozwiązujący winien podać swe nazwisko i adres, ewentualnie godło i skierować pod adresem: Redakcja „*Naokoło Świata*” — Warszawa, Zgoda 12, — „Rozrywki Umysłowe”; dołączanie kuponów nie obowiązuje.

Jako nagrody za prawidłowe rozwiązanie *Krzyżówki 3* przeznacza redakcja „*Naokoło Świata*”, w drodze losowania, odpowiednią do liczby uczestniczących ilość kompletów okładek płóciennych do roczników miesięcznika.

Specjalne nagrody przeznacza wydawnictwo za najpiękniej wykonane rozwiązania, które poza tem znajdują miejsce na łamach naszego działu.



— W zeszycie 21 „*Naokoło Świata*” rozpoczęty zostanie II Turniej Zadaniowy, zaś 22 przyniesie pierwszą serję rozwiązań zadań I Turnieju oraz wyróżnione prace Czytelników.

— Wkrótce opuści prasę wydawnictwo *Klu-*

bu Szaradzystów w Warszawie, poświęcone 5-cio-letniemu istnieniu tej organizacji, pod prezesurą weterana szaradzystów — p. Karola Hoffmana. Wydawnictwo zawierać będzie, prócz krótkiej notatki o klubie, 44 zadania najróżniejszego typu, za rozwiązanie których wyznaczono jako pierwszą nagrodę 100 zł., oraz

następne — szereg wartościowych przedmiotów.

— W styczniu 1926 ukaże się nakładem tygodnika „Ilustracja” 1 numer czasopisma „Rozrywki Umysłowe dla Inteligencji” pod redakcją K. Gilewicza. Inauguracyjny zeszyt poświęcony będzie wyłącznie popularnym

Cross word puzzle'om. Bogato ilustrowany numer będzie zawierał 12 krzyżówek do rozwiązania, za które redakcja przeznacza 50 cennych nagród w postaci przedmiotów oraz gotówki. Cena zeszytu — 1 złoty.

— Rysunek końcowy naszego działu przedstawia podobiznę twórcy pierwszego Zadania Krzyżkowego G. Millard'a.



(42 — 48). Brochwicz — Lewiński — Kolo, Deneka J. — Zakopane, Iżycki M. — Warszawa, Kryształ J. — Łódź, L. J. — Kolo, Nowicki W. — Warszawa, Wierchoń E. — Warszawa, Nadesłany materiał wykorzystamy.

(49). Cienciała — Kielce. Cały materiał — wykonany bez zarzutu! — wydrukujemy. Chwilowy brak miejsca nie pozwala wprowadzić część literacką do działu.

(50). Filek A. — Kraków. Drugie zadania od poprzedniego kierownika działu nie otrzymaliśmy; prosimy o odpis i nowe. Rozgoryczenie i sarkazm — dotkliwie rozbijające...

(51 — 52). Kania J. — Wisła, Wolański F. — Rzepińce. Prosimy!

(53). Kłopuski T. — Praska. Załatwione! Bóg zapłać.

(54). Korabski A. — Kraków. Zamieniliśmy nagrodę na kwartalną prenumeratę „Naokoło Świata” (od I—1926 do 31—III—1926). Szaradę damy w rocznicę M. N. Ż. Niecierpliwość

„autorską” musi się pogodzić z niewyplenionym nowotworem okresu wojennego — t. zw. „ogonkiem”...

(55). Kosela R. — Sandomierz. Zamiana rozumie się w wartości mniej więcej identycznej z otrzymaną nagrodą i to wyłącznie na dzieła nakładowe firmy „Gebethner i Wolff”. Za życzenia — dziękujemy!

(56). Paluch K. — Będzin. O ile Sz. P. zgodzi się na pewne przeróbki — skorzystamy.

(57). Płater M. — Wieklań. Z całej pliki prac tylko krzyżówka przedstawia niejaką wartość. Wynagrodzenie proponujemy w postaci jej wydrukowania.

(58). Sawicki T. — Warszawa. Piękne i pomysłowe rozwiązanie znajduje swój epilog na łamach działu. „Tajemnicze płatki śniegu” podamy w ułatwionej modyfikacji.

(59). Teitelbaum W. — Warszawa. Rebus pójdzie. Przekładanka — istna Golgota!...

J. K.



Odpowiedzi grafologa

„Szarotka“. Otwartość, dobre serce, łagodność. Żadnych porywów, mały polot, jakieś oderwane myśli i brak konsekwencji. Poetyczna treść (może przepisana) mówi o chorobliwych marzeniach. Pismo nie wykazuje siły charakteru, energii, woli. Brak estetycznych upodobań i w tym kierunku niedbalstwo. Pociąg do lenistwa.

„Jesień“. Pismo wybitnie dedukcyjne, ale rozumowanie u Sz. Pani kończy się tam, gdzie tu wielkiem zwycięstwem. Stanowczość, szybkość decyzji, logika, wytrwałość i zapał. Uspokojenie zamknięte w sobie.

„Mimoza“. Pseudonim bardzo trafnie dany — ci ludzie nic się nie pomylili. — Mimoza nie znosi nawet lekkiego dotyku i na długo potem smutnie zwiesza listeczki... Natura bardzo subtelna i nieśmiała, łagodna, prosta, harmonijna, lubiąca porządek i systematyczność. Ale Mimoza ma inicjatywę, przedsiębiorczość i... decyzję — więc niech się nie martwi, bo prócz tego, jest siła przyciągająca i władza, aby się *kazać* kochać.

„Stokrotka“. Zapał i żywioł i bujanie w obłokach. — Pretensjonalność, usposobienie zachętne. Wytrwałość, rozrzutność. — Natura szlachetna, ale brak czułości i mało kobieca.

„Stary Emeryt Z. D.“ Uprzejmość i przestrzeganie form towarzyskich. Umiejętne omijanie przeszkód życiowych. Nadzwyczajna fantazja, żywioł charakteru i pojęć, gorąca wyobraźnia i zapał. Tężyzna duchowa, przyczem dobroć, duża zmysłowość i temperament. Natura prosta, jako synonim szlachetności i harmonijna. Odwaga wypowiedzenia się, energia, prędkość charakteru i niecierpliwość. Równowaga życiowa i umiejętne wykorzystanie sytuacji, często bez oglądania się na środki działania i otoczenia. Są cechy egoizmu i uporu i czasem narzucanie swego „ja“. Siła wyobraźni, duża inteligencja, umiarkowana oszczędność — grafolog z niecierpliwością oczekuje „zdjęcia maski“ — sympatycznego i nie banalnego Emeryta,

„Ika“. Zapał i... roztrzepanie. (W adresie brak miejscowości!). Dziękuję za pochlebne słowa. Bezwzględnie, pismo jest obrazem duszy, a także usposobienia — jednakże główne cechy ujawniają się zawsze — mimo nastroju. Prostota, jako synonim piękna. Duże ambicje. Żywioł, trochę oryginalności, delikatność, szczerść, ale pozorna, nierównie usposobienia i wogóle charakteru. Jedno i to samo — potrafi Sz. Pani odmiennie traktować, zależy od... fantazji, a wówczas umie Sz. Pani, nagiąć do siebie. Serca mało. Nieproporcjonalność wogóle — uczuć, zapatrywań etc.

„Biały Kruk“. Lenistwo i brak temperamentu, delikatność, łagodność, nieśmiałość, brak woli i energii. Systematyczność, prostota, harmonia, estetyka, dobre serce. Charakter nie zawsze opanowany. Trochę fantazji, zmienność, krytycyzm. Poczucie obowiązku, spokój, jasność umysłu, wytrwałość i obstawanie przy swoim. Duma i despotyzm wrodzone, ale dobremi instynktami i uprzejmością zupełnie opanowane.

S. K. i S. K. Sporo dedukcji i rozumowania, jednak nie brak intuicji. Pozytywizm i brak czułości — charakter niecierpliwy i łatwo irytujący się. Duża oszczędność, systematyczność i zamyślenie do porządku. Woli i energii mało — szczerść i zaufanie do ludzi. Duża równowaga, bardzo potrzebna w tych czasach, z którą śmiało może Sz. Pan chodzić na seanse bez zachwiania swych trzeźwych zapatrywań.

„Żona Kawalerzysty“. Zadowolenie z siebie, trochę egoizmu. Natura harmonijna, wrażliwa na piękno. Dobroć i słodycz a prztem energja. List zakrótki i co najgorsza, na linjach.

P. M. W. ze Śląska. List za krótki. Nieśmiałość i brak wiary w siebie, stanowczości i odwagi. Dużo dedukcji. Charakter pogodny, spokojny i leniwy.

Zosia Filipowicz przez małe f. Faktycznie, że dziwnie niewypisane pismo, a treść nie na „całkiem dorosłą osobę“ — Osobo! trzeba się

uczyc — by do *harakteru* dodać *c*, a wówczas grafolog będzie mógł dużo więcej powiedzieć. List taki wesoly, a tyle melancholji zdradza pismo. Jest też zapał dla odmiany.

„*Sfinks z nad Wisły*“. Ani jedna litera z przepisane alfabetu niepodobna do tych w liście, — więc pocóż je Pan pisał? Gusta estetyczne i żywość charakteru — owszem są, ale i spokój, a równowaga aż za duża — tak nie po za programem. Pismo jasne, pogodne, łagodność, dobroduszość, wrażliwość estetyczna.

„*Qui pro quo*“. Smutny list Sz. Pani wzruszył mnie — lecz melancholja nie jest Jej naturą. Jest o wpływ chwilowy — który się zmieni. Gorsza, że woli i hartu mało, aby w tem dopomóc. Natura wykwinna, estetyczna, przeczulona i szalenie wrażliwa — takie kwiaty, mróz życia zawsze zwarzy. Serca jednak mało i przypuszczam, że inne są motywy tej rozterki duchowej. Etykieta i uprzejmość wybitnie cechują Jej pismo — Sz. Pani cierpi — ale nic nie robi — aby to zmienić, nie zdecydowała się na nic, bo lenistwo, marzenia i lubowanie się w rozpamiętywaniu — na razie Jej wystarczą. Sposób kreślenia litery *t* mówi, że Pani powinna zdobyć się na decyzję, inicjatywę. Spokój i harmonja; ogromna przezorność i skrytość; drobiazgowość i zamięlowanie do porządku.

„*Jadźwing*“. Tyle pytań — że byłby cały wykład o Grafologii. Zalewanie liter, jest objawem patologicznym. Należy pisać w usposobieniu normalnem, co trudno Sz. Panu przychodzi, bo właśnie chorobliwy zapał i ustrój widzę, może dlatego, że Sz. Pan prawem okiem nie widzi. Brak estetycznych upodobań, niedbalstwo form, nerwowość; duża żywość, ale chorobliwa i nienaturalna. Mało wyobraźni.

„*Ergo*“. Każdy list może być do oceny przysłany, wraz z pieniędzmi na kosztą zwrotu. Wybitna dedukcja, umysł zrównoważony, ja

sny, pogodny, nieprzeciętny. Prostota, dyskrecja, łagodność przy energii i delikatność przy stanowczości. Mimo to usposobienie trochę zaczepne i często, choć nie zawsze zamknięte w sobie. Czy Sz. Pan, ma zdolności artystyczne — to prędzej z ręki można powiedzieć. Pismo jest bezwzględnie harmonijne, mówiące o umiłowaniu piękna i form estetycznych. Porządek.

„*P. P. Cień*“. Na własne pytanie — Sz. Pan tak logicznie sobie odpowiedział, przyczem umysł intuicyjno-dedukcyjny, jak równowaga w zdolnościach, fantazji i rozumu; jasność poglądów, wszystko przemawia, aby Panna zachęcić do tej milej pracy. Niepokoi mnie tylko — dziwnie nieeleganckie pismo. Może Pan jest cudzoziemcem? Pismo jasne, czytelne, a tak mało w nim piękna. Desbazzollesby powiedział: człowiek bez krawata, lub ze złe związane. Szczerość wrodzona, którą warunki życiowe stłumiły i zmusiły do ukrywania. Natura delikatna, prosta, energii i woli mało, a nawet poddanie. Akuratność, porządek, systematyczność, trochę upor. Mała równowaga duchowa — często zapał, który prędko gaśnie, ustępując miejsca, nawet przygnębieniu. Duża oszczędność.

Z. P.

Osoby, życzące sobie mieć ocenę swego pisma, zechcą pod pseudonimem lub nazwiskiem napisać (*nie przepisać*) atramentem, na nielinjowanym papierze 3 str. dla *Grafologa*, załączając 2 złote, jako honorarium.

ODPOWIEDŹ REDAKCJI:

Autorowi pracy p. t. „Promienie śmierci“ (godło: „Ego Victor“). Pracy Pana nie umieszczono na liście nadesłanych na konkurs, ponieważ nie odpowiada ona warunkom konkursu (punkt 5.).

Treść Numeru 20-go

	Str.
<i>Z. Gliński:</i>	
Port w Gdyni (13 ilustracji)	5—20
<i>E. P.:</i>	
Palazzo Davanzati (4 ilustracje)	21—28
Drugi Wielki Konkurs Redakcji Naokoło Świata	29—30
<i>Jerzy Sosnkowski:</i>	
Pijana kabina (7 ilustracji autora)	31—48
<i>St.:</i>	
Ruchome chodniki (3 ilustracje)	49—52
<i>Stanisław Targowski:</i>	
Oł występuku do krat więziennych (16 ilustracji)	53—82
<i>Litt:</i>	
Zakazany owoc (5 ilustracji)	83—88
<i>Janina Stefańska:</i>	
W indyjskiej fermie (10 ilustracji)	89—108
<i>Stel.:</i>	
Hodowla ostryg (5 ilustracji)	109—116
Zawiadomienie o konkursie na nowelę	115—116
<i>K. Laskowski:</i>	
Miss Grace (5 ilustracji A. Świdwińskiego)	117—126
<i>Antoni Lange:</i>	
Zmartwychwstałe światy (19 ilustracji)	127—148
<i>M. Walen'ynowicz:</i>	
Kairouan (12 ilustracji autora)	149—162
<i>L. B.:</i>	
Czerwona krowa (4 ilustracje)	163—174
<i>Del.:</i>	
Złoto przezroczyste (3 ilustracje)	175—178
<i>A. Świdwiński:</i>	
Z teki humorysty. Święty Mikołaj w Polsce	179—182
Rozstrzygnięcie siódmego konkursu Naokoło Świata	183—184
<i>A. Deptuła:</i>	
Książd Kudełek i djabeł (5 ilustracji K. Sopoćki)	183—194
Rozrywki umysłowe	195—202
Odpowiedzi grafologa	203—206
Odpowiedź Redakcji	205—206

Okładkę trójbarwną wykonał W. Borowski.





WYKWINTNE UBIORY

dla dzieci, uczniów i młodzieży

WYKONANE WE WŁASNEJ WYTWÓRNI
Z PIERWSZORZĘDNYCH MATERJAŁÓW

JAK RÓWNIEŻ

ubrania wszystkich zakładów naukowych

POLECA

Specjalny magazyn

UBIORÓW UCZNIOWSKICH

WACŁAWA PRZECŁAWSKIEGO (daw. Winkler i S-ka)

NIECAŁA 8, Tel. 149-41

R. zał. 1858.

JEDYNE W SWOIM RODZAJU **PIECYKI KAFLOWE PRZENOŚNE**

systemu patentowanego 5-o kanałowego „HEKLA” grzeją dłużej i silniej, niż piece pokojowe, są od nich tańsze, estetyczniejsze, oszczędzają 75% opału

POLSKIE ZAKŁADY CERAMICZNE

„HEKLA” H. GALLASI S-ka
Nowy-Świat Nr. 62 (w podwórzu), tel. 36-32

UWAGA. Dostawa kafli kwadratowych, berlińskich i majolikowych, posadzki terrakotowej i płytek glazurowych ściennych w ilościach wagonowych

Wszelkie roboty i instalacje zdrużkie

KUPON do „ROZRYWEK UMYŚLOWYCH”

miesięcznika

„NAOKOŁO ŚWIATA”

Nr. 20 ————— Grudzień 1925.

NUMER GWIAZDKOWY TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

OBJĘTOŚĆ ZNACZNIE POWIĘKSZONA
◡ ◡ ◡ OKŁADKA BARWNA ◡ ◡ ◡
W TEKŚCIE WIELOBARWNE OZDOBY
◡ ◡ ◡ ◡ I ILUSTRACJE ◡ ◡ ◡ ◡

WYSOKIEJ WARTOŚCI PREMII ARTYSTYCZNE
WSPÓŁUDZIAŁ NAJWYBITNIEJSZYCH SIŁ LITERACKICH I ARTYSTYCZNYCH.



WCZEŚNIEJSZE ZAMÓWIENIA PRZYJMUJE
ADMINISTRACJA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12,
WSZYSTKIE KSIĘGARNIE, ORAZ KIOSKI T-WA „RUCH”.

23 W

P-11502

12.

FOURNISSEUR DE S. M. LE ROI DE BELGIQUE

FOURNISSEUR DE S. M. LE ROI DE LÉGE

FOURNISSEUR DE S. M. LE SCHAK D'ESP.

J. FRAGET

ORGANIZUJE w MAGAZYNACH SWOICH
ELEKTORALNA 16, WIERZBOWA 8, NALEWKI 15.

w CIĄGU CAŁEGO GRUDNIA
TANIĄ SPRZEDAŻ GWIAZDKOWĄ
SREBER,
PLATERÓW.



RES